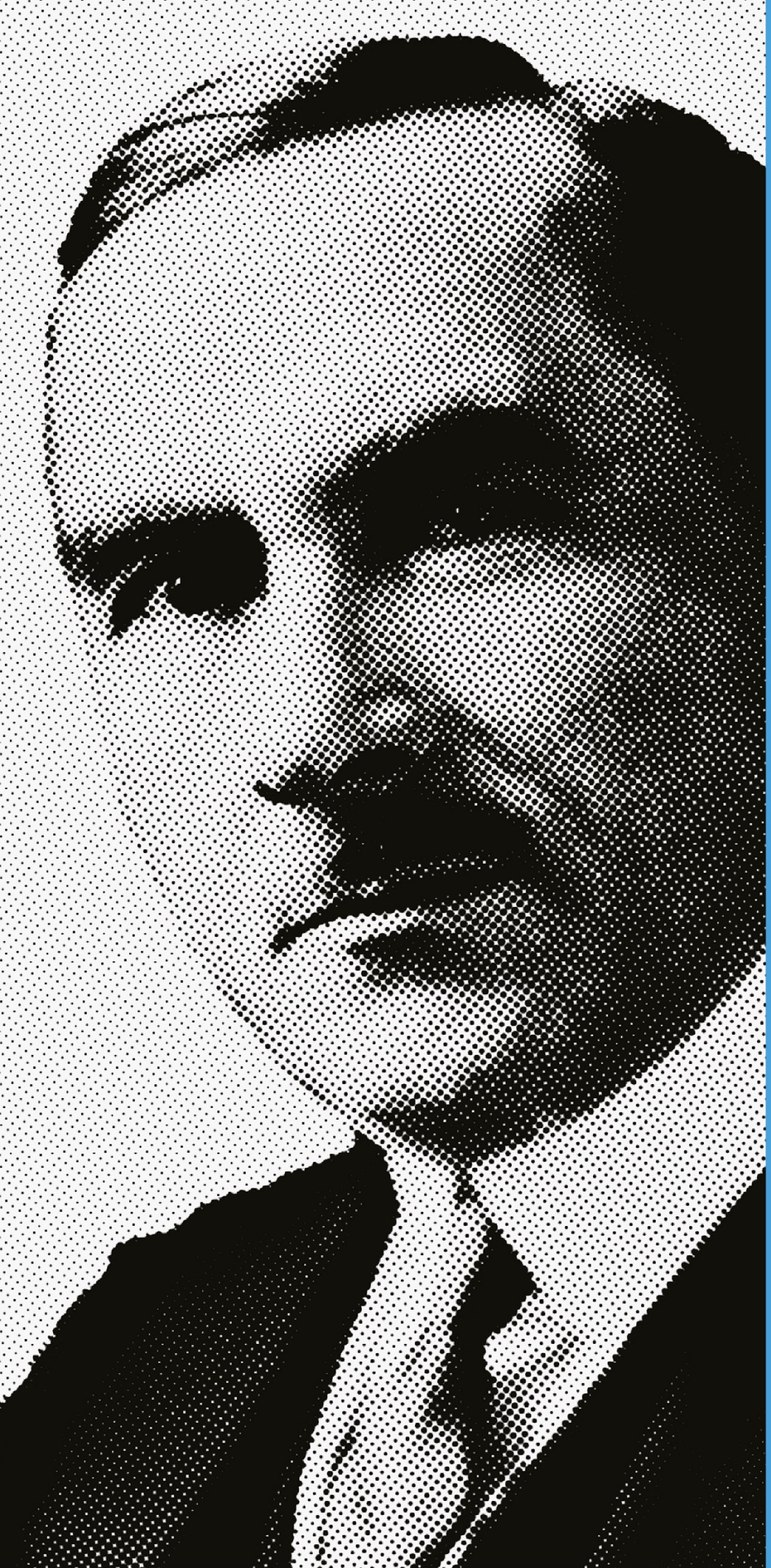


Upadek myśli konserwatywnej w Polsce

Roman Dmowski



Cyfrowa Biblioteka
Myśli Narodowej

Tekst zdigitalizowany i opublikowany został w ramach projektu "**Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej**". Więcej o samym projekcie oraz innych naszych publikacjach można przeczytać na naszej stronie internetowej - cbmn.pl

Tekst opracowany na podstawie: Roman Dmowski, *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce*, Spółka Wydawnicza Warszawska A. Sadzewicz, M. Niklewicz i S-ka, Warszawa 1914 oraz Roman Dmowski, *Pisma, tom IV, Upadek myśli konserwatywnej w Polsce*, Antoni Gmachowski i s-ka, spółka wydawnicza, Częstochowa 1938



Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura w sieci”

***„Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.”***

SPIS TREŚCI

Przedmowa do wydania pierwszego	6
---------------------------------------	---

Konserwatyzm w Galicji i w królestwie

I. Konserwatyzm w Europie i w Polsce	11
II. Konserwatyzm polski w latach powstaniowych.....	14
III. Zwyrrodnienie konserwatyzmu w Galicji	18
IV. Co się stało z polską wiarą konserwatystów krakowskich?.....	22
V. Początki obozu konserwatywnego w Królestwie	26
VI. Emigracja petersburska	29

Narodowa myśl polityczna

I. Stan umysłów w Królestwie pod koniec ubiegłego stulecia.....	34
II. Demokracja narodowa	37
III. Niebezpieczeństwa polskiego bytu	40

Polityka polska i „polityka realna”

I. Zagadnienie patriotyzmu polskiego	51
II. Patriotyzm a trzeźwość	55
III. Scriptor	58
IV. „Narodowcy” i „ugodowcy” w czasie rewolucyjnym	62
V. Początki okresu parlamentarnego.....	65
VI. Kryzys w obozie demokratyczno-narodowym	68

Zwyrrodnienie konserwatyzmu w Królestwie

I. „Polityka realna”	71
II. Kwestia żydowska	76
III. Kwestia samorządu	79
IV. Pozory a rzeczywistość	82
V. Walka z ruchem demokratyczno-narodowym.....	85

DODATKI

O bankructwie metody konserwatywnej w polityce galicyjskiej	93
I. Racja stanu a interes narodu	94
II. Owoce polityki gabinetowej	98
III. Na łasce rządu austriackiego.....	104
Koniec legendy	109
I. Likwidacja moralna szkoły krakowskiej	110
II. Szkodliwy osad	113
III. Podstawy polityki polskiej.....	118
IV. Łamanie solidarności narodowej	122
V. Konsolidacja opinii narodowej	125
VI. Polityka ugodowa w królestwie.....	130
VII. Walka polityczna narodu.....	135

Przedmowa do wydania pierwszego

Na rzecz obecną złożyły się artykuły, ogłoszone w końcu roku ubiegłego i w początku bieżącego w *Gazecie Warszawskiej*. W niektórych miejscach poczyniłem drobne zmiany. W dodatku znajduje się kilkanaście stronic nowych.

Pismo to nie ma pretensji do ścisłej przedmiotowości: jest ono polemiczne. Nie jestem historykiem, jeno szermierzem swoich idei. Nie chodzi mi jedynie o stwierdzenie istniejącego w naszym życiu politycznym stanu rzeczy, ale także, i to przede wszystkim, o stwarzanie pożądanых faktów. Chcę czytelnika nie tylko powiadomić, ale i przekonać. Człowiek, dla którego życie polityczne nie jest jedynie przedmiotem obserwacji, ale przede wszystkim polem działania, nie może żądać, ażeby go uważano za bezstronnego. Sam on musi często zadawać sobie pytanie, czy nie przecenia tego, co uważa w naszym życiu za dobre i czy nie obniża tego, co zwalcza jako szkodliwe. Jedyną właściwie drogą dochodzenia w życiu politycznym prawdy jest szczerą polemiką, uczciwy spór stron przeciwnych, otwarte wykazywanie sobie nawzajem wad i błędów. Nie żądam też niczego innego, jak tylko, żeby rzecz tę uznano za szczerą pismo polemiczne, dążące do usunięcia z naszej polityki tego, co autor uważa za szkodliwe, do utrwalenia i wzmocnienia tego, w czym widzi przyszłość naszej sprawy. Jeżeli ktoś uważa, że przesadzam, że krzywdzę dany kierunek, niech mi szczerze odpowie, niech zbije moje twierdzenia. Może być, że na tym lub innym punkcie się mylę, że moje wiadomości nie zawsze są dostateczne, że chęć osiągnięcia celu każe mi widzieć niektóre rzeczy inaczej, niż to jest w istocie...

Pismo to nie jest skierowane ani przeciw osobom, ani przeciw sferom społecznym, na których obóz, zwący się konserwatywnym, opiera się w naszym społeczeństwie. Wśród ludzi tego obozu niejednego cenię wysoko i niejednemu życzyłbym, ażeby z pożytkiem dla sprawy ogólnej odgrywał większą niż dotychczas rolę w życiu swego społeczeństwa. Nasz naród w obecnym pokoleniu ma tak mało sił zdalnych do pracy publicznej, iż trzeba w niej cenić wielce każdego uczciwego i zdolnego obywatela. Kto chce tworzyć, budować, musi pragnąć zużytkowania w działalności politycznej wszystkich sił dodatnich, istniejących w narodzie. Wiem zaś, że w obozie, o którym mowa, są ludzie posiadający duże, jak na nasze stosunki, dane do użytecznej służby krajowi.

Nikt mnie nie może posądzić o to, bym chciał odsunąć od wpływu politycznego te sfery społeczne, z których czerpie główną siłę obóz konserwatywny. W stronnictwie, do którego należę, przedstawiciele tych sfer odgrywają wydatną rolę i odbija się to z wielką korzyścią na całym kierunku jego działalności. Jest to wielka nasza wyższość nad innymi narodami, pozbawionymi państwowego bytu, że posiadamy warstwy historyczne, dziedziczące polityczną kulturę przeszłości, czynnik pierwszorzędnej wartości w dzisiejszym rozwoju narodu. Tylko pamiętać musimy, że nasza tradycja polityczna posiada olbrzymie braki, będące źródłem naszej słabości, że naród polski, pielęgnując kulturę i ducha moralnego, nie może pielęgnować kierunków swej dawnej polityki, która go prowadziła do coraz większego upadku. Wszyscy bodaj zdajemy sobie sprawę z tego,

że musimy tworzyć politykę nową, jeno różnimy się w poglądach na jej zadania i metody. W tej twórczej pracy duża rola przypada tym warstwom, które niegdyś rządziły Rzeczpospolitą, pod warunkiem zrozumienia ducha i warunków czasu, inaczej bowiem stają one na przeszkodzie rozwojowi politycznych sił narodu i same się skazują na polityczne zwyrodnienie

Nie przeciw ludziom tedy i nie przeciw sferom społecznym występuję, ale przeciw kierunkowi postępowania politycznego, jaki się wyraził w naszym obozie konserwatywnym. Obóz ten, zdaniem moim, po niezbyt długim swym istnieniu, zwyrodniał i stał się bardzo szkodliwym czynnikiem naszego politycznego życia, bez względu na wartość osobistą tych lub innych jego ludzi i na wartość społeczną tych sfer, z których siły swoje czerpie. Chodzi mi o wskazanie źródeł tego smutnego faktu, w miarę mego rozumienia, o wytknięcie błędów, które tkwiły w założeniu naszej polityki konserwatywnej i które fatalnie się pomściły na niej, doprowadzając ją do upadku, i na kraju, utrudniając mu organizację obrony dobra narodowego w tak trudnych i niebezpiecznych warunkach dzisiejszej doby. Jestem chyba wolny od posądzenia, że wszystkie nasze straty narodowe kładę na karb polityki jednego obozu. Jesteśmy za nie wszyscy odpowiedzialni, wszyscy bowiem dalecy jesteśmy od dorównania tym wielkim zadaniom, jakie dzisiejsze położenie narodowe przed nami stawia. Nikt naprawdę rozumny nie może w naszych warunkach być zadowolonym, czy to z obozu, do którego należy, czy z samego siebie. Jestem wszakże przekonany, że to, co się dziś u nas nazywa obozem konserwatywnym, stanowi najpoważniejszą przeszkodę do należytej organizacji naszej narodowej polityki, nie tyle nawet przez własne istnienie, ile przez oparcie, jakie daje pierwiastkom niewątpliwie szkodliwym, dezorganizującym nasze narodowe życie.

Nie mamy dla obrony naszych interesów narodowych tych organów, jakie daje innym narodom własne państwo. Nie rozporządzamy względem swego społeczeństwa przymusem fizycznym i wszystko musimy opierać na przymusie moralnym. Stąd opinia publiczna, będąca potężnym organem życia u wszystkich narodów, dla naszego ma większe niż gdziekolwiek znaczenie. Silne jej zorganizowanie jest pierwszym warunkiem uzdolnienia narodu do jakiegokolwiek politycznego działania. Fałszywa polityka obozu rzekomo konserwatywnego u nas sprawia, że te sfery społeczne, na których, jako na najbardziej kulturalnych, opinia przede wszystkim silnie powinna się opierać, w znacznej swej części nie spełniają tego zadania, ale przeciwnie, przyczyniają się do jej dezorganizacji.

Ogromnym niebezpieczeństwem dla przyszłości narodu jest, kiedy stronnictwa w nim nie grupują się według wielkich, zasadniczych idei i dążeń, kiedy stają się koteriami, towarzystwami wzajemnego ubezpieczenia wpływów. Pod względem dążeń zasadniczych dzisiejsze społeczeństwo polskie coraz wyraźniej rozdziela się na dwa, stojące przeciw sobie obozy: na obóz narodowy, dla którego najwyższą ideą jest dobro narodu, a pierwszym zadaniem politycznym obrona tego dobra na wszelkich stanowiskach i praca nad pomyślnym rozwojem narodu jako spójnej całości moralnej; i stojąca przeciw temu obozowi koalicja różnorodnych kierunków, mniej lub więcej

świadomie stawiających ponad dobro narodu rozmaite oderwane pryncypia lub interesy partykularne, mniej lub więcej wyraźnie popierane przez silnych i wpływowych w naszym kraju Żydów. Rozdział na te dwa główne obozy staje się coraz wyraźniejszym; wszelkie inne podziały zaczynają mieć znaczenie podrzędne. Coraz większe mamy też prawo wymagać od każdej grupy politycznej, ażeby zajmowała stanowisko wyraźne po jednej i drugiej stronie. I jednym z głównych zarzutów, jakie stawiam ugrupowaniom rzekomo konserwatywnym u nas i w Galicji, jest ten, że stanowisko ich w tym względzie jest bardzo wątpliwe. Stąd też głównie pochodzi ich rola dezorganizacyjna w dzisiejszym naszym narodowym życiu.

Żałuję bardzo, że brak czasu nie pozwala mi traktować przedmiotu obszerniej, sprawdzić moich poglądów w źródłach, poprzeć ich mniej lub więcej poważnymi dokumentami, że pisząc rzecz obecną, zmuszony byłem w całości dowierzać swej pamięci. Jeżeli mnie tu lub ówdzie zawiodła, odda mi usługę każdy, kto moje twierdzenia w tym lub innym punkcie sprostuje.

Warszawa, 19 lutego 1914 r.

Roman Dmowski

Część pierwsza
Konserwatyzm w Galicji i w
królestwie

I. Konserwatyzm w Europie i w Polsce

Wyraz konserwatyzm zdobył znaczenie w polityce w XIX stuleciu, w okresie przekształcania się politycznego Europy pod wpływem zasad rewolucji francuskiej. Oznaczał on kierunek myśli, wrogi tym zasadom, broniący się przed nimi. Kierunek ten miał dwa główne źródła: jedno leżało w ogólnych skłonnościach umysłu ludzkiego, we wstręcie do zmian, w dążeniu do opierania się raczej na doświadczeniu niż na teoriach politycznych, drugie w ideałach, aspiracjach, ambicjach i interesach żywiołów społecznych, reprezentujących hierarchię tradycyjną, którą rewolucja degradowała, by na jej miejsce ustanowić nową. Po przejściowej dobie napoleońskiej, która rozniosła zasady rewolucji francuskiej po całej Europie, we wszystkich krajach europejskich stały przeciw sobie dwa obozy: demokratyczny, dążący do zreformowania ustrojów politycznych na zasadach rewolucji, na podstawie dogmatu praw człowieka, pod hasłami wolności, równości, braterstwa; i konserwatywny, walczący o utrzymanie dawnych podstaw politycznego bytu, broniący zwołanego we Francji przez rewolucję tronu, zdegradowanej przez nią, a w znacznej części zgilotynowanej arystokracji, starający się utrzymać przy niej przewodnie uprzywilejowane stanowisko, zasłaniający religię, którą rewolucja oficjalnie zniósł itd. Na czele obozu konserwatywnego stoi arystokracja, szlachta, wreszcie duchowieństwo, a znajduje on się w oparciu się z jednej strony o monarchów i ich władzę, z drugiej o te szerokie żywioły społeczne, które mają największy wstręt do zmian, najsilniejszą obawę niewiadomego, najtrwalsze przywiązanie do urzędów tradycyjnych, a więc przede wszystkim o warstwę włościańską. Na czele obozu demokratycznego stoi silne ekonomicznie i intelektualnie mieszczaństwo, zorganizowane w lożach wolnomularskich i innych tajnych stowarzyszeniach, mające w nich potężne narzędzie do kierownictwa masami i formujące swą siłę bojową z bardziej ruchomych żywiołów społecznych, z ludzi wolnych zawodów, z mas rosnącej szybko w liczbę ludności miejskiej, wreszcie z formującej się na wielką skalę w tym okresie klasy robotniczej.

Walka między tymi dwoma obozami stanowi główną treść wewnętrznej historii politycznej krajów europejskich w ciągu XIX stulecia. Historia ta wyraża się w szeregu zwycięstw demokracji nad konserwatyzmem, zwycięstw, które przekształciły całkowicie polityczną fizjonomię Europy, doprowadziły wszędzie do ustroju demokratycznego, opierającego się na udziale szerokich warstw społecznych w prawodawstwie, które wreszcie bądź odsunęły od władzy arystokrację, bądź zredukowały znacznie jej udział w rządach.

Zdawałoby się, że Polska jako kraj, w którym mieszczaństwo było liczebnie słabe i ekonomicznie ubogie, w którym cała niemal siła ekonomiczna i intelektualna spoczywała w magnatach i szlachcie – była stworzona na najsilniejszą twierdzę konserwatyzmu. Jednakże było całkiem przeciwnie. Konserwatywny kierunek myśli politycznej w znaczeniu zachodnioeuropejskim nie miał w Polsce gruntu, nie mogła go ona z siebie

wydać. Decydowała o tym historia ustroju politycznego Rzeczypospolitej, tak odmienna od historii krajów zachodnich.

Wiara w doświadczenie polityczne w przeciwieństwie do wyrozumowanych teorii nie mogła być silna w społeczeństwie, które miało doświadczenia najsmutniejsze, wskazujące mu tylko, jak nie należy się rządzić i które żyło ciągle w poszukiwaniu jakiejś zbawczej teorii politycznej. Nie mogło być mowy o silnym przywiązaniu do tradycyjnych instytucji politycznych w narodzie, który cały szereg instytucji swego upadłego państwa wyklinał, który wyrzekał się na zawsze *liberum veto*, wolnej elekcji, konfederacji, rządów sejmikowych itd. Trudno było o silną ideę monarchiczną tam, gdzie przez parę stuleci przyuczano się do lekceważenia tronu i gdzie z upadkiem państwa sam tron zginął. Nie miało silnych zasad hierarchicznych społeczeństwo, które właściwej arystokracji feudalnej nie posiadało, które było wychowane w zasadzie równości szlacheckiej, a w którym szlachta stanowiła niezmiernie liczną warstwę, przedstawiającą wszelkie stopnie zamożności i kulturalnego rozwoju, w którym istniał liczny ubogi i ciemny gmin szlachecki. Wreszcie nawet silne stanie przy religii było tu trudniejsze wobec tego, że religia była tu młodsza niż na Zachodzie, że praca Kościoła nie sięgnęła tak głęboko, że wskutek tego umysły w Polsce w różnych epokach okazywały ogromną podatność na religijne nowatorstwo. Najgłówniejsze tedy podstawy, na których konserwatyzm w innych krajach się opierał, w Polsce bądź nie istniały, bądź były bardzo słabe.

Skutkiem głębokiego przeciwieństwa pomiędzy ustrojem i duchem życia publicznego Polski a Zachodu, który to duch w jednym pokoleniu porozbiorowym nie mógł się przecie całkowicie zmienić, pojęcia zachodnie konserwatyizmu i demokracji do Polski wcale nie dały się stosować, o ile zaś były stosowane, przekształcały się tu zupełnie. Ruch polityczny Sejmu Czteroletniego, odbywający się w czasie, który dla Europy był początkiem przejścia od porządku starego do nowego, a dla Polski – przede wszystkim upadku państwa, ruch ten był w istocie swej rewolucyjnym, bo niósł ze sobą przewrót w ustroju państwowym, był demokratycznym, bo rozszerzał prawa polityczne poza stan uprzywilejowany, ale jednocześnie miał pierwiastki konserwatywne w znaczeniu europejskim, dążył bowiem do wzmocnienia tronu i do osiągnięcia silniejszego rządu. Targowica zaś, z którą przecie nie można się, załatwić jako z organizacją jedynie zdrady – była w znacznej mierze wyrazem ducha konserwatywnego, wstrętu do przewrotu, obawy przed „jakobinizmem”, a jednocześnie miała to pokrewieństwo z demokracją, że występowała w obronie wolności, w obronie swobód szlacheckich. To, czego na Zachodzie miał bronić konserwatyzm jako instytucji tradycyjnej, w Polsce bywało hasłem radykalnego przewrotu; to zaś, z czym konserwatyzm tam musiał walczyć, tu było wyrazem zachowawczości, stojącej przy instytucjach tradycyjnych.

Dlatego to Polska w końcu XVIII i w pierwszej ćwierci XIX stulecia przedstawia dziwny obraz narodu, w którym te właśnie żywioły, które na Zachodzie organizowały się do walki z demokracją pod sztandarem konserwatyizmu, skupiają się w łóżach wolnomularskich, w których rozwijają i z których szerzą w społeczeństwie zasady, bliżej lub dalej spokrewnione z zasadami wielkiej rewolucji. Dlatego to w nowoczesnej

organizacji państwowej, jaką otrzymała część ziem polskich, w Królestwie Kongresowym, nie ma mowy o jakimkolwiek obozie konserwatywnym, a wszystko prawie, co stoi na czele życia publicznego w kraju, żyje w atmosferze, będącej kontynuacją ducha czasów napoleońskich, a więc umiarkowaną, złagodzoną atmosferą doby rewolucyjnej. Spotyka się wprawdzie w tym społeczeństwie ludzi z silnym zacięciem konserwatywnym w stylu europejskim, w rodzaju ordynata Stanisława Zamoyskiego, przedstawiciela jednego z nielicznych wielkich rodów, które trzymały się zdała od wolnomularstwa; zjawiają się, zwłaszcza po zniesieniu wolnomularstwa w państwie przez Aleksandra I, tendencje, będące odbiciem zachodniego konserwatyzmu, ale te tendencje są w społeczeństwie niepopularne, uważane niejako za zdradę narodową, nazwiska zaś ludzi, którzy je wyrażali, jak np. Kalasantego Szaniawskiego, pozostały w historii najczarniej zanotowane.

Konserwatyzm, analogiczny do konserwatyzmu europejskiego, zaczął się w Polsce rozwijać dopiero pod wpływem życia w obcych państwach z jednej strony, z drugiej zaś pod wpływem oddziaływania stosunków zachodnioeuropejskich na myśl polską. Najwcześniej rozwinął się on w dzielnicy należącej do Austrii, która najwcześniej i najsilniej współdziałała w zorganizowaniu arystokracji polskiej na modłę zachodnioeuropejską; najgłębiej i najdotadniej się ukształtował później w dzielnicy pruskiej, która w zetknięciu z ustrojem społeczeństwa niemieckiego, a zwłaszcza ze światem katolickim niemieckim, znalazła najpoważniejsze wzory; nie doszedł zaś nigdy do pełnego wyrazu w Królestwie, w którym życie polityczne najdłużej było zburzone, które żyło duchem najbardziej ze wszystkich dzielnic odrębnym i samodzielny, i w którym przechowała się długo atmosfera społeczno-polityczna pierwszej ćwierci stulecia.

II. Konserwatyzm polski w latach powstaniowych

Nie piszemy tutaj historii konserwatyizmu polskiego: nie mamy na to miejsca ani nie czujemy się do tego powołani. Wskazujemy tylko główne momenty, potrzebne do zrozumienia tej ciekawej ewolucji, jaką konserwatyzm polski przeszedł w ostatnich paru dziesięcioleciach. Dlatego musimy na chwilę się zatrzymać nad obrazem myśli konserwatywnej w Polsce, jak się ona ukształtowała po ostatnim powstaniu we wszystkich trzech jej dzielnicach.

Każda z tych dzielnic ma w tym względzie swoje charakterystyczne odrębności. Najbardziej odrębne stanowisko zajmuje Galicja, co pochodzi zarówno z właściwości jej budowy społecznej, jak z historii jej losów politycznych.

Galicja zawsze była krajem wielkich majątków magnackich i szlacheckich, posiadającym mało szlachty średniej i drobnej. Ludność jej włościańska jest gęstsza niż w innych częściach Polski, a stąd własność jej bardzo rozdrobniona. Miasta, jak wszędzie w Polsce, słabo rozwinięte i zażydzone, powstrzymane zostały w rozwoju przez politykę austriacką, planowo niszczącą przemysłową wytwórczość kraju. Stąd chłop tu był najbiedniejszy i najciemniejszy, mieszczaństwo polskie posiadało bardzo mało zdolności do odegrania jakiegokolwiek samodzielnej roli, na demokrację szlachecką wiele miejsca nie było (jakkolwiek i tu wystąpił on w r. 46), a główna rola polityczna przypadła tu na długi czas arystokracji.

Oderwana od Polski już przy pierwszym rozbiornie, nie przeszła Galicja przez ten przewrót duchowy i polityczny, który dał ziemiom przy Polsce pozostałym Sejm Czteroletni i Konstytucję Trzeciego Maja. Duch francuski do niej prawie nie przeniknął; społeczeństwo bezpośrednio z atmosfery polskiej z czasów saskich przeszło w atmosferę państwa austriackiego, stanowiącą przeciwny biegun tego wszystkiego, co niosła za sobą rewolucja-francuska. Sam już duch państwa austriackiego oddziaływał silnie na pogłębienie różnic i przeciwieństw stanowych; nadto rząd austriacki prowadził planową politykę w tym kierunku: utrzymywał on stanowisko uprzywilejowane wielkich rodów magnackich, tworzył nową arystokrację z bogatych posiadaczy, starał się te żywioły jak najbardziej zbliżyć do siebie, a oddalić od reszty społeczeństwa. Jeżeli zaś w stosunku do ogółu szlachty przez długi czas to mu się nie udawało, to zorganizowana przezeń rzeź 46 roku ostatecznie odebrała tej szlachcie wszelką skłonność do demokratycznych porywów. Katolicyzm wreszcie państwa austriackiego dawał grunt do zbliżenia duchowieństwa polskiego z rządem.

Kiedy po Sadowie ustrój państwa radykalnie i trwale się przekształcił w duchu równouprawnienia składających je krajów i narodów, kiedy Polakom oddano rządy w Galicji i przyznano wpływowe stanowisko w państwie – zjawiły się idealne niemal warunki dla organizacji obozu konserwatywnego w tej dzielnicy. Była arystokracja i szlachta, dość bogata w stosunku do reszty ludności, a niezbyt liczna i przez to mająca

stanowisko podobniejsze do szlachty w krajach zachodnich; bardziej zaś niż tam zabezpieczona w swej dominacji społecznej i politycznej skutkiem tego, że nie miała współzawodnika w silnym mieszczaństwie. Był tron, o który można było się oprzeć, był rząd, z którym się można było związać, był wreszcie Kościół, korzystający z pozycji Kościoła państwowego, popierany przez tron i rząd i nawzajem dający mu swe poparcie.

W takich to warunkach organizował się konserwatyzm w dzielnicy austriackiej, konserwatyzm austriacko-polski. Warunki te były tak doskonałe, panowanie obozu konserwatywnego nad krajem było przez nie tak zapewnione, że obóz konserwatywny nie czuł potrzeby szukania dla siebie oparcia w innych żywiołach społecznych poza arystokracją i szlachtą; ta warstwa mogła rządzić krajem sama, bez pomocy innych, wynajmując sobie tylko potrzebne narzędzia. Gdyby była patrzyła dalej w przyszłość i przewidywała nieuniknioną ewolucję społeczeństwa z jednej strony, ustroju zaś państwowego z drugiej, byłaby zrozumiała, że te jej niepodzielne rządy muszą być krótkotrwałe, i pomyślałaby może o pracy nad przygotowaniem sobie oparcia w odpowiednich żywiołach ludowych, pracy, którą podjął konserwatyzm w niejednym kraju. Myśl wszakże konserwatywna w Galicji w tym kierunku nie poszła, w znacznej mierze również z tej przyczyny, że w jednej części kraju lud nie był polski, w drugiej zaś tradycja 46 roku pogłębiła niesłychanie moralny przedział pomiędzy ludem a szlachtą. Konserwatyzm galicyjski poszedł drogą, która mu się wydawała najprostszą, drogą tłumienia myśli, tamowania postępu politycznego ludu, terroryzowania go, wreszcie i demoralizowania, gdy był potrzebny do wyborów.

W innych całkiem warunkach kształtowała się myśl konserwatywna w zaborze pruskim.

Poznańskie w pierwszej połowie ubiegłego stulecia miało w swej psychologii politycznej wiele wspólnego z Królestwem. Żyło ono tradycją prądów reformatorskich i epoki napoleońskiej, w atmosferze politycznej, w której nie było, ściśle mówiąc, miejsca na kierunek konserwatywny. Dopiero, w miarę jak się wspomnienia ubiegłej doby zacierały, jak wyrastały nowe pokolenia pod wpływem duchowym niemieckim, pod wpływem tego społeczeństwa, w którym poczucie kastowości i hierarchii społecznej jest silniej rozwinięte niż gdziekolwiek indziej, gdy dalej obrona przed *Kulturkampfem* związała społeczeństwo ściślej z Kościołem i zbliżyła politykę polską do polityki prześladowanych katolików niemieckich, kraj ten zamienił się szybko w silną twierdzę konserwatywną. Ale był to konserwatyzm biegunowo przeciwny galicyjskiemu. Nie mając oparcia o Koronę, będąc zmuszony do walki z wrogim rządem, broniąc Kościoła prześladowanego przez państwo, musiał on szukać oparcia w szerokich masach ludowych, zbliżyć się do nich, rozwinąć wśród nich poważną pracę. Podobieństwo z Galicją polegało na tym, że i tu jedyną poważną siłą ekonomiczną i intelektualną była szlachta, że jej się zatem wraz z duchowieństwem dostało całkowite przewodnictwo w polityce i w życiu kraju. Tylko z przewodnictwa tego nie mogła ona tak korzystać jak w Galicji: nie służyło jej ono do rządzenia krajem i do krzywdzenia innych warstw ludności: musiała w obronie zagrożonej religii i narodowości szeregować masy ludowe, wzmacniać

je, pracować wspólnie z duchowieństwem nad ich ekonomicznym, kulturalnym i politycznym postępem, posuwać naprzód ich narodową dojrzałość.

Najmniej warunków rozwoju miała myśl konserwatywna w Królestwie. Od upadku powstania listopadowego wszelkie życie polityczne w kraju było stłumione, myśl narodowa pielęgnowała tradycję Trzeciego Maja, doby napoleońskiej i Królestwa Kongresowego, polityka zaś emigracyjna wiązała ściśle sprawę polską ze sprawą demokracji europejskiej. Królestwo było jedyną dzielnicą, żyjącą życiem całkiem samodzielnym, nie wciągającym się w atmosferę państwa, do którego należało. Jego psychologia polityczna, po przejściu w dobie przełomowej przez wpływ francuski, nie podległa w poważniejszej mierze żadnym obcym wpływom. Różniło się ono też od Galicji i Poznańskiego w budowie swojego społeczeństwa. Tu był o wiele silniejszy ekonomicznie i kulturalnie żywioł mieszczański, który po ostatnim zwłaszcza powstaniu zaczął szybko rosnąć; tu była również liczna szlachta średnia i drobna z aspiracjami demokratycznymi. Wszystko to składało się na stan rzeczy, w którym rozwój myśli konserwatywnej był bardzo utrudniony. W momentach, w których społeczeństwo wychodziło ze stanu bierności i apatii, w których szlachta występowała jako siła czynna, jak np. w krótkim okresie, poprzedzającym powstanie 63 roku, ogarniający ją duch miał wiele wspólnego z psychologią Sejmu Czteroletniego, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, tym samym zaś był dość daleki od tego, co rozumiemy pod mianem konserwatyizmu. Duch ten nie zmienił się głębiej i po powstaniu, kiedy nadto zaczęły nań oddziaływać nowe prądy pochodzenia demokratyczno-mieszczańskiego, jak prąd tzw. pracy organicznej.

Jeżeli nie można mówić o istnieniu w Królestwie obozu konserwatywnego w znaczeniu politycznym, to z drugiej strony trzeba stwierdzić, że zarówno szlachta jak inne żywioły społeczne miały wiele cech konserwatywnych, jak przywiązanie do tradycji, do religii, do ustalonych w przeszłości podstaw bytu społecznego itd. Ten właśnie konserwatyzm wystąpił wyraźnie w walce z nowym prądem popowstaniowym, który pod mianem „pozytywizmu warszawskiego” wypowiedział walkę tradycji, religii, wszystkiemu, co do owego czasu było przedmiotem czci narodowej.

Nie zanikło też przecie nigdy poczucie stanowe i przywiązanie do interesów swej warstwy, czynniki odgrywające pierwszorzędną rolę przy organizacji obozów konserwatywnych. Brak wszakże pola politycznego, a stąd niemożność odegrania jakiegokolwiek roli kierowniczej przez arystokrację i szlachtę, sprawiły, że ostatnia zamknęła się w osobistych zabiegach gospodarczych i w życiu towarzyskim, pierwsza zaś zatraciła na ogół wyższe zainteresowania i poważniejsze ambicje. Jeżeli myśl polityczna w kierunku konserwatywnym zjawiała się w Królestwie, to działo się to pod wpływem stosunków z innymi dzielnicami. Znamienną jest rzeczą, że najsilniej wystąpiła ona w tej części kraju, która leży najbliżej Krakowa, w której szlachta miała najwięcej stosunków ze światem konserwatywnym w Galicji. Konserwatyzm też w Królestwie, o ile na widownię polityczną w okresie popowstaniowym wystąpił, nie był, jak w Galicji i Poznańskiem, wytworem ściśle miejscowym, wytworem warunków życia w kraju i w państwie, ale był

niejako echem konserwatyzmu galicyjskiego, jego naśladowaniem, próbą powtórzenia jego polityki w warunkach całkiem odmiennych, nie nadających się do niej.

Bez porównania większą samodzielność wykazała myśl konserwatywna na Litwie i Rusi, gdzie poza arystokracją i szlachtą żywioł polski jest bardzo słaby – jakkolwiek zbyt przez sferę ziemiańską lekceważony – i gdzie polityka rządu, posługująca się w celu rusyfikacji kraju hasłami często radykalnie demokratycznymi, spowodowała niejako utożsamienie stanowiska konserwatywnego ze stanowiskiem narodowym polskim.

III. Zwyródnienie konserwatyzmu w Galicji

Losy konserwatyzmu w Galicji mają wielkie znaczenie dla Polski jako całości. Wskutek tego, że obóz konserwatywny zrobił tu wielką karierę, dostał w ręce realną władzę w kraju i wpływowe stanowisko w państwie, zwracały się ku niemu oczy konserwatystów polskich wszystkich dzielnic, szukały tu natchnień i wzorów. I niedomagania, gromadzące się szybko w galicyjskim obozie konserwatywnym, stawały się, skutkiem tego niedomaganiami całego konserwatyzmu polskiego.

Obóz konserwatywny w Galicji dzielił się na dwa odłamy: liczebnie większy wschodnio-galicyjski i organizacyjnie silniejszy – krakowski.

Konserwatyści wschodnio-galicyjscy nigdy nie stanowili obozu bardzo jednolitego, nie posiadali ścisłej partyjnej organizacji, nie tworzyli politycznej szkoły. Jeżeli odgrywali i dziś jeszcze odgrywają w polityce galicyjskiej doniosłą rolę, to zawdzięczali ją swej liczbie, sile ekonomicznej, pozycji socjalnej, wreszcie wybitnym osobistościom, których nigdy wśród nich nie brakowało. Stanowiąc przodującą warstwę w części kraju, mającej lud przeważnie ruski, łączyli oni w swej ideologii sprawę konserwatyzmu ze sprawą polskości, co podnosiło ogromnie ideową wartość ich obozu. W miarę też, jak wzrastał wrogi Polakom ruch ruski, w walce z nim narodowy ton konserwatyzmu wschodnio-galicyjskiego, a przynajmniej pewnych jego odłamów, podnosił się. W dążeniu do wzmocnienia stanowiska polskiego w kraju wobec Rusinów część konserwatystów zaczęła szukać zbliżenia z innymi żywiołami polskimi, współdziałać narodowemu uświadomieniu włościan polskich we wschodniej Galicji i organizacji polskości po miastach. To wyjście, a raczej próby wyjścia poza granicę jednej warstwy, to zbliżenie się do innych żywiołów społecznych dodało siły moralnej konserwatyzmowi polskiemu we wschodniej Galicji, podniosło jego wartość narodową i zaakcentowało jego ideową szczerłość. Jeżeli też można mówić dzisiaj o idei konserwatywnej w Polsce, o idei, która nie stałą się czczym wyrazem, to we wschodniej Galicji można ją jeszcze znaleźć w znacznej mierze.

Obóz konserwatywny w Galicji zachodniej, zorganizowany pod mianem partii krakowskiej, zwanej popularnie „stańczykami”, górował nad tamtym swą doskonałą organizacją, solidarnością i karnością partyjną, zasadą popierania swoich ludzi a bojkotowania innych, przeprowadzaną tak konsekwentnie, jak u masonów, a przede wszystkim tym, że wystąpił z teorią polityczną, mającą znaczenie dla całej Polski, obalającą panujący do owego czasu systemat myśli politycznej polskiej, z programem wyrwania kierownictwa sprawy polskiej z rąk demokracji i oderwania jej od sprawy demokracji europejskiej.

Dzięki temu właśnie ogólnonarodowemu programowi zdobył on sobie pierwszorzędne stanowisko w całej Polsce i wywarł duży wpływ na jej myśl polityczną.

Ewolucja tego obozu ma też dla nas szczególne znaczenie – z nią ściśle związana jest ewolucja całego konserwatyzmu polskiego.

Trzeba się przyjrzeć bliżej, co się stało z biegiem czasu z konserwatyzmem partii krakowskiej i jakie losy spotkały jej doktrynę, jej program narodowej polityki.

Nieszczęściem konserwatyzmu galicyjskiego było to, że przez dłuższy czas panował on w kraju prawie niepodzielnie, że poza obozem konserwatywnym nie było w Galicji żywiołów, z którymi w polityce można by się było poważniej liczyć, które by miały dane do wzięcia w swe ręce władzy i przez to stanowiły dla konserwatyzmu istotnego współzawodnika. Współzawodnictwo zmusza partię do ciągłej rewizji własnego programu, do rewizji zarówno moralnej, jak politycznej, zmusza ją do starania się o to, by stanowiła jak największą wartość dla narodu. Brak współzawodnictwa wyrabia w partii zaślepienie, sprzyja braniu góry skłonności niższych nad wyższymi, sprowadza prędzej czy później degenerację. Jeżeli dwa wielkie stronnictwa angielskie z tak pomyślnym dla kraju skutkiem przetrwały długo i nie zatraciły zdolności do kierowania polityką narodu, to dlatego przede wszystkim, że siły ich były prawie równe, że skutkiem tego zmuszone były do nieustannej rywalizacji, że jedno nigdy za długo nie pozostawało przy władzy, że każde z nich, przechodząc z kolei do opozycji, było zmuszone do rewidowania swej polityki, do naprawiania jej braków, do zabiegania o większe uznanie narodu.

Konserwatyzm w Galicji rządził niepodzielnie, a oparty o Koronę i rząd tak się czuł zabezpieczony w swej pozycji, że o opinię społeczeństwa poza swoją sferą nie dbał i przestał rozumieć siebie w innej roli, jak rządzącej. To też w obozie konserwatywnym galicyjskim, a w szczególności w partii krakowskiej, której niebezpieczeństwo ruskie nie dokuczało z bliska – wytworzyła się rychło atmosfera samouznania i samouwiełbienia, atmosfera, w której partia sama sobie stała się celem. Wszystko inne zaczęło być stopniowo pojmowane jako środki tylko do podniesienia partii, do wzmocnienia jej władzy.

Konserwatyzm, jeżeli nie jest pustym wyrazem, ma cały szereg zasad świętych, od których nie odstępuje i dla których pracuje, nie wygłaszaniem czczych frazesów, ale czynem. Jednym np. z takich kanonów konserwatyzmu, od których odstąpić nie wolno, jest obrona religii, oraz powagi i wpływu Kościoła. Ten punkt zajął też przodujące miejsce w programie partii krakowskiej, a był tak silnie podkreślany, że przeciwnicy jej demokratyczni ogłaszali ją za partię bigotów i skrajnych klerykałów. Bardzo prędko wszakże pokazuje się, że Kościół w pojęciu polityków krakowskich – to tylko narzędzie do służenia pewnym interesom, nic wspólnego z życiem religijnym nie mającym. Dawano duchowieństwu piękny frazes, okazywano mu hołd zewnętrzny, ale jednocześnie krępowano je w wykonaniu obowiązków kapłańskich tam, gdzie to szkodziło pewnym aż nadto świeckim interesom i zmuszano je do wystąpień, które miały ratować interesy partii, ale powagę i wpływ Kościoła silnie podrywały. Przecież dochodziło nawet do tego, że księżom przeszkadzano nakłaniać lud z ambony do trzeźwości, ażeby uszczerbku nie doznała dająca dochody karczma. Na biskupach wymuszano, że wyklinali pisma, które dla

partii były niedogodne i niebezpieczne, jakkolwiek niczym nie groziły religii i Kościołowi - z tym rezultatem, że doprowadzano lud do demonstracji przeciw władzy duchownej. Widzimy też, jak stopniowo rozluźnia się stosunek między tą partią a Kościołem, jak Kościół w miarę zjawiania się na jego czele ludzi wybitnych i samodzielnych, odsuwa się od niej, tak, że w końcu episkopat występuje przeciw niej na terenie kwestii reformy wyborczej.

Stosunek do Kościoła jest ilustracją stosunków w ogóle do zasad konserwatywnych. Wszystko się traktuje jako środek tylko - jako cel wybija się jedynie dobro partii i interes większej posiadłości rolnej. W dalszej ewolucji okazuje się, że i ten nawet ostatni interes jest pojmowany tylko jako środek, służący do utrzymania i wzmocnienia partii środkiem, który można odrzucać, gdy przestaje być użytecznym.

Pod wpływem szybko postępującej parcelacji większa własność w zachodniej Galicji ogromnie stopniała: są już powiaty, w których większych właścicieli prawie niema. Siła społeczna ludności włościańskiej znacznie wzrosła, postąpiła bądź co bądź znacznie naprzód jej kultura i oświata, a ogólnopolska reforma wyborcza uczyniła z niej o wiele większą siłę polityczną. Ludność ta, odpychana i krzywdzona w ciągu długich lat przez warstwę przodującą, poszła przeważnie pod komendę przywódców, którzy ją zszeregowali do walki z większą własnością. Trzeba im przyznać, że zszeregowali ją otwarcie, pod hasłami takiej nienawiści do "obszarników", że to zakrawało aż na hajdamaczyznę. Przeciw tej robocie, niesłychanie niebezpiecznej z punktu widzenia narodowego, rozwinął swą pracę obóz demokratyczno-narodowy, dążący do związania ludu z resztą narodu w imię wspólnego dobra narodowego i do oczyszczenia obrony słusznym interesom ludu z wszelkich dążeń rozkładowych i hasła dzikiej nienawiści. Patrząc na sprawę z punktu widzenia interesów większej własności, łatwo zrozumieć, że gdy przyszedł czas, kiedy już nie można włościan i ich interesów lekceważyć, korzystniejszy jest kierunek, który włościanina kształci na obywatela kraju, poczuwającego się do łączności z całym narodem i w kulturalny sposób broniącego swych interesów, niż ruch, rozwijający się pod hasłami dzikiej nienawiści do "obszarników" i nie krępujący się w działaniu politycznym żadnymi prawie względami solidarności narodowej. Tymczasem oto stronnictwo „konserwatywne” wiąże się z przywódcami, wychowującymi lud w owej nienawiści, a wiąże się dlatego, że w obozie demokratyczno-narodowym widzi ono współzawodnika do władzy, zagrażającego jego rządowi, i dogodniejsi są dla niego najzjadlejsi wrogowie większej własności, o ile pomagają partii przy władzy się utrzymać.

Wszystko tedy, nawet interes większej własności, okazało się środkiem tylko, a jako cel jedyny pozostał interes partii, utrzymanie rządów w jej ręku. To nie jest konserwatyzm, ale jakobinizm.

Nawet frazeologia konserwatywna w publicystyce partii od szeregu lat stopniowo zanikała. Szeregi jej coraz bardziej pomnażały się ludźmi, którzy wchodziłi do stronnictwa nie dlatego że jest ono konserwatywnym, ale że ma w ręku władzę, z nią zaś rozdawnictwo

zaszczytów i korzyści. Ci ludzie coraz mniej asymilowali się duchowo, wobec tego, że duch konserwatywny w stronnictwie zanikał. Dziś pod szyldem konserwatywnym mówi się tam i pisze rzeczy, będące wprost zaprzeczeniem zasad konserwatywnych. Jeżeli zaś przypominają sobie, że firma konserwatywna do czegoś obowiązuje, i starają się rozwijać konserwatywną frazeologię, to czuć w tym, co mówią i piszą, że jest to robione, sztuczne, że poza tym niema żadnej żywej treści. Z konserwatyzmu pozostał tylko wyraz.

IV. Co się stało z polską wiarą konserwatystów krakowskich?

Wpływową pozycję w całej Polsce dał „stańczykom” ich program narodowy, program polityki ogólnopolskiej. Polegał on na wyrzeczeniu się powstań, na zaniechaniu dążeń do odbudowania państwa polskiego, na zredukowaniu polityki polskiej do wysiłków ku zachowaniu i rozwojowi narodowości przez lojalne związanie się z państwem, do którego się należy, staranie się o życzliwość Korony itd. Ponieważ powstania wywoływała demokracja, wiążąca sprawę polską ze sprawą demokracji europejskiej, ponieważ kierownictwo polityki powstańczej miała w swych rękach emigracja, a w kraju ruch wywoływała młodzież, przeto stańczycy dyskwalifikowali politycznie demokrację, odmawiali emigracji prawa kierowania polityką narodową i potępiali rządy młodzieży.

Gdy chodzi o negatywną stronę tego programu, trzeba przyznać, że mieli całkowitą słuszność. Polityka powstańcza dała Polsce same klęski, klęski straszne, niepowetowane. Prowadząca ją demokracja polska okazała się politycznie niedojrzałą, naiwną, łatwowierną, dała się wyzyskiwać obcym, uczyniła sprawę polską narzędziem cudzych interesów olbrzymim kosztem własnego narodu. Emigracja oddala się prędko duchowo od kraju, zatracza zdolność odczuwania jego potrzeb, jego rzeczywistego dobra, operuje wreszcie w polityce fikcyjnymi siłami. Młodzież nigdzie nie ma danych do dyktowania krajowi polityki, bo do tego więcej niż do czegokolwiek innego, trzeba doświadczenia, męskiej dojrzałości umysłu i charakteru.

Trzeba wszakże przede wszystkim stwierdzić, że program ten przyszedł o dobrych kilka lat za późno. Byłby on zbawiennym, gdyby był wystąpił z całą siłą w dobie, kiedy się przygotowywało ostatnie powstanie, bo może wtedy byłby uchronił kraj od klęski. Wtedy, kiedy się zjawił, nie było w tym względzie tak wiele do roboty. Po rozgromię 64 roku nikt w Polsce do nowych prób powstańczych ochoty nie miał, w narodzie zapanował rozpaczliwy upadek ducha. „Organiczni” Królestwa grzebali program powstańczy o wiele skuteczniej od stańczyków, bez całej ich wielkiej deklamacji i szumnej frazeologii. Demokracja europejska zakończyła już w owej dobie swą karierę rewolucyjną, a zaczęła nową karierę rządzącego, państwowego liberalizmu. Tym samym kończyła się kariera polityczna emigracji polskiej, nie miała już bowiem o kogo się oprzeć, z niechęcią była widziana przez demokrację europejską w nowej jej fazie. Murzyn już spełnił swą powinność... Wśród młodzieży zjawiły się prądy nowe, nic niemające wspólnego ze spiskowaniem powstańczym. Żywioły demokratyczne, silne w Królestwie, niemające tam pola do polityki i wypierające się jej, głosiły hasła „pracy u podstaw”, demokracja zaś galicyjska, uprawiająca przez antagonizm do stańczyków deklamację powstańczo-patriotyczną, chodzącą w czamarach i urządzającą patriotyczne obchody, była tak słaba i tak w gruncie rzeczy o co innego jej chodziło, że jej „tromtadracja”, jeżeli przedstawiała

dla narodu jakie niebezpieczeństwo, to tylko to, że go narodowo demoralizowała, że z rzeczy, które powinny być wielkie i święte, robiła płaską karykaturę.

Wielkie tedy armaty, wytoczone przez stańczyków, strzelały w znacznej mierze w próżnię, broniły ojczyznę od urojonego niebezpieczeństwa. Strzelający z nich w części to niebezpieczeństwo szczerze sobie imaginowali, w części zaś świadomie je fabrykowali, bo do twarzy im było z tą wielką rolą reformatorów narodowego ducha i narodowej polityki, z rolą historyczną, która im dawała urok i znaczenie w całej Polsce. Zbudowali sobie w Krakowie kazalnice, z której gromili naród, nastrajali się na kamerton Skargi, przybierali pozę tak uroczystą i namaszczoneą, że przypominali wodzów czerwonoskórych z powieści Coopera. W swej surowej krytyce postępowania narodu uderzali często nie tam, gdzie należało. Stwierdzając np. zgubność dla narodu rządów młodzieży, gromili samą młodzież, kiedy należało przecie gromić starsze pokolenia za ich niedbalstwo, niedołość, brak odwagi i niezawisłości zdania, bo tylko dzięki tym wadom starszych pokoleń młodzież zdolna jest krajowi swą politykę narzucać. Młodzież mało jest winna, gdy widzi próżnię na pozycjach, które powinni zajmować starsi, gdy te pozycje bez przeszkody zajmuje i pozbawiona rozumnego kierownictwa, głupstwa na nich robi.

Stanowisko, zajmowane przez Polaków, a w szczególności przez konserwatystów polskich w Austrii, stańczycy bardzo umiejętnie zużytkowali na udowodnienie swego politycznego geniuszu. Wszystko to, co było wynikiem niezależnej od Polaków ewolucji państwa austriackiego, co się stało przed wystąpieniem konserwatystów krakowskich i bez ich wpływu, przypisali oni swemu mądrym programowi, tym zaś zasugerowali i olśnili znaczną część opinii całej Polski.

Wiele w tej polityce krakowskiego konserwatyzmu było przebiegłości i aktorstwa, wiele zręcznej roboty w interesie partii, ale też wiele szczerego przekonania, że się dobrze służy narodowi, wiele dobrej wiary polskiej i nawet niemało dla sprawy polskiej pożytku. Programowi ich nie można odmówić, że był po polsku pomyślany i po polsku wykonywany. Stronnictwo też to podkreślało, mówiąc ciągle o miłości ojczyzny, o sumieniu obywatelskim, o odpowiedzialności przed narodem, o odwadze cywilnej, bez której nie ma prawdziwego patriotyzmu.

Tak było na początku.

Stopniowo to stanowisko w rzeczach narodowych zaczyna ulegać coraz szybszej ewolucji. Rozwija się najpierw z niego program nie tylko lojalizmu państwowego, ale nawet związania się z rządem we wszystkich trzech państwach, program – choć tego wyraźnie nie powiedziano – zlikwidowania kwestii polskiej jako całości, rozdzielenia jej na trzy kwestie, od siebie całkiem niezależne. Robi się to w nieświadomym prawdopodobnie dążeniu do zwaleni sobie ciężaru z głowy, do uproszczenia sobie swego położenia i swej polsko-austriackiej polityki. Przynajmniej to dążenie staje się w następstwie coraz wyraźniejszym, myśl partii coraz bardziej opuszcza teren interesów ogólnonarodowych, teren polityki polskiej zamyka się w widnokręgu galicyjsko-austriackim. Na gruncie innych dzielnic zajmuje ją właściwie już nie sprawa polska, ale

interesy spokrewnionych partii. Wreszcie i na samym gruncie galicyjskim pojęcie sprawy polskiej w umysłowości partii zanika, pozostają tylko przywiązania, ambicje i interesy partyjne.

Nie mówimy już o polityce „konserwatystów” krakowskich w kwestii ruskiej polityce, która w żadnym razie nie jest konserwatywną, a której my nie uważamy za narodową. Jest to kwestia bardzo skomplikowana i sporna co do tego, jaki kierunek jej ze stanowiska narodowego należało nadać. Zatrzymamy się na sprawie o wiele wyraźniejszej.

Od paru lat w Galicji zaczęto robić przygotowania powstańcze. Chodzi o to, żeby w razie wojny austriacko-rosyjskiej wywołać ruch zbrojny w Królestwie, a jak niektórzy powiadają nawet, żeby ten ruch wywołać niezależnie i tą drogą Austrię w wojnę wciągnąć. Ta robota jest z jednej strony dziełem młodzieży, z drugiej nowych formacji demokratycznych w Galicji: socjalistów, ludowców, postępowców. Jest to znów robota w interesie cudzym, tym się tylko różni od dawniejszych ruchów, że tamte się wiązały z interesami demokracji europejskiej, ten zaś służy interesom dwóch państw – Austrii i Niemiec. Ręka obca jest tu jeszcze widoczniejsza niż w przeszłości, a zanik samodzielnej myśli narodowej w tej robocie jest już kompletny. Zdaniem naszym jest to robota, obliczona przez tych, co poza nią stoją, na ostateczne pograżenie sprawy polskiej.

Można zrozumieć, że młodzież, niemająca pojęcia o rzeczywistym położeniu międzynarodowym, o stanie i położeniu własnego kraju, daje się pociągać do przedsięwzięć, odpowiadających jej temperamentowi, jej marzeniom o bohaterstwie, wreszcie często spotykanej u naszej młodzieży, a będącej wynikiem nienormalnego położenia kraju i nienormalnych warunków wychowania – politycznej hysterii. Można zrozumieć, że dość obojętne na dobro całości narodowej partie, socjaliści, ludowcy, postępowcy, partie pielęgnujące ducha rewolucyjnego i wychowane w jakobińskich pojęciach o chwytaniu władzy, korzystają z pierwszej lepszej sposobności do jakiegokolwiek ruchawki. Można i to zrozumieć, że żywioły, uzależnione od organizacji międzynarodowych i widzące cel w służeniu ich planom, zadawałają się dla Polski rolą „klina do rozbijania Rosji”, bez względu na to, jaki los ten klin spotka. Można zrozumieć wreszcie, że żywioły bez czci i wiary polskiej gotowe są kosztem Polski robić karierę austriacką lub służyć wprost za pieniądze. To wszystko można zrozumieć, gdy ma się oczy otwarte, gdy się patrzy głębiej w życie społeczeństwa, gdy się widzi całe kotłowisko nurtujących w nim szlachetnych i podłych, rozumnych i głupich instynktów, ambicji i interesów. Ale jak na to wszystko należy patrzeć ze stanowiska programu konserwatystów krakowskich, tego programu, którego proklamowanie na początku swej kariery uznali oni za największą dla narodu zasługę? Czyż może być coś bardziej temu programowi przeciwnego? Co powinien był na tę robotę powiedzieć Szujski, gdyby żył lub Stanisław Tarnowski, gdyby głos w tej sprawie chciał zabrać...?

„Konserwatyści” krakowscy w tej robocie udziału nie biorą; nie mają może słuszności ci, którzy ich oskarżają, że jej sprzyjają i pomagają; jesteśmy przekonani, że

rozumieją oni całe jej niebezpieczeństwo dla naszego kraju i że wiedzą więcej niż ktokolwiek inny, ile w tym jest dzieła obcej ręki. Ale oni milczą, nic nie przeciwdziałają. Dlaczego? Przecież w ten sposób zdradzają sztandar, który wyżej nad wszystkie inne wynieśli? Co więcej, oni są w sojuszu politycznym z ludźmi, którzy stoją u steru przygotowań powstańczych. Jak to wszystko zrozumieć, jak to pogodzić, jeżeli się nie stawia przypuszczenia politycznej niepoczytalności?

Jest tylko jedno objaśnienie, które nie jest zresztą żadnym odkryciem, bo wszyscy je dobrze znają, ktokolwiek ma nieco pojęcia o polityce galicyjskiej. Nie można zwalczać niebezpiecznej dla Polski roboty, nie można stanąć w zgodzie z nauką, którą się narodowi przez dziesiątki lat głosiło, bo można by stracić poparcie rządu dla partii i można by zniechęcić w kraju własnych sojuszników przeciw demokracji narodowej. Opinia nasza tak jest otrzaskana z brakiem dobrej wiary i sumienia obywatelskiego, z wszelkim politycznym cynizmem, tak już oswoiła się z panowaniem wszelkich najmniej uprawnionych interesów, że się temu stanowisku „konserwatystów” krakowskich wcale nie dziwi. I my też nie dziwimy się, niczego innego od nich nie oczekiwaliśmy.

Ale niech nam nie mówią, że tam istnieje konserwatyzm, że w Krakowie, tej do niedawna stolicy i akademii konserwatystów polskich, istnieje obóz, mający jakieś zasady, które uważa za święte, i sztandar, od którego nie odstępuje. Tam jest tylko partia, która sama sobie jest celem, dla której wszelki kompromis jest możliwy, która wszelką zasadę, wszelkie dobro gotowa jest poświęcić dla jednego celu – dla utrzymania się przy władzy.

V. Początki obozu konserwatywnego w Królestwie

Z upadkiem ducha, jaki zapanował w Królestwie po ostatnim powstaniu, łączył się zanik aspiracji i dążeń politycznych. Myśl polska w tym kraju zaczęła się wprost polityki wypierać – wyraźnie to głosił popularny, łatwo przyjmujący się w opinii program „pracy organicznej”. Z drugiej strony, jeżeli Polacy usunięci zostali po roku 31 od wszelkiego wpływu politycznego, od wpływu na zarząd kraju, to teraz już zaczęto im odbierać szybko nawet stanowiska narzędzi rządu, postanowiono przez Rosjan obsadzić całą biurokrację kraju. Znikło dla Polaków we własnym kraju pole do najskromniejszej nawet pracy w dziedzinie politycznej.

W tych warunkach żywiły tradycyjnie przodujące w społeczeństwie, arystokracja i wielka szlachta, odcięte od możliwości dostania się do władzy w najskromniejszym chociażby zakresie, uległy w pokoleniu popowstaniowym zanikowi wszelkich ambicji wyższych – zapanował wśród nich duch bądź użycia, bądź egoistycznego zamknięcia się w sobie. To pociągnęło za sobą obniżenie umysłowe, a często i moralne, przerażające wprost w porównaniu z poprzednimi pokoleniami. Łatwo zrozumieć, że taki stan rzeczy nie tworzył gruntu dla organizacji obozu konserwatywnego w Królestwie.

Jednakże świetna kariera, jaką zrobił konserwatyzm galicyjski, nie mogła pozostać bez wpływu na umysły wyższych sfer ziemiańskich w Królestwie, zwłaszcza jego okolic leżących blisko Krakowa i mających z nim ciągle stosunki, których ziemiaństwo związane było węzłami rodzinnymi z konserwatywną szlachtą galicyjską lub przynajmniej często z nią obcowało.

Konserwatyści krakowscy tak uwierzyli w polityczną wartość swego programu, iż nie tylko byli przekonani o jego skuteczności w państwie austriackim, ale nauczali, że przy pomocy tego programu i wypróbowanej ich taktyki można dojść do czegoś i w pozostałych dwóch państwach. Nauka ich trafiła po drugiej stronie kordonu na ludzi, ma się rozumieć, kulturalnych, często wcale inteligentnych i przeciętnie wykształconych, ale nie przygotowanych do głębszego ujmowania spraw politycznych, do krytycznej oceny tego, co podawały autorytety.

Uczniowie konserwatystów krakowskich w Królestwie nie zrozumieli najpierw tego, że kraj ten ze swą budową społeczną, całkiem różną od Galicji, z względnie silnym mieszczaństwem, z kulturalną inteligencją zawodową, pochodzącą głównie bądź ze szlachty, bądź z dawnej biurokracji polskiej, i przedstawiającą główną siłę umysłową kraju, z liczną wreszcie szlachtą średnią, z instynktów swoich demokratyczną, że kraj ten nie przedstawia jak Galicja gruntu już nie tylko do niepodzielnego panowania, ale nawet do przewagi obozu konserwatywnego.

Skutkiem tego zawiązek obozu konserwatywnego w Królestwie, który zjawił się głównie w guberni kieleckiej i w części radomskiej, wystąpił na widownię z aspiracjami do takiej roli w społeczeństwie, jaką odgrywali konserwatyści w Galicji, nie mając

świadomości, że to są pragnienia, w danych warunkach nieziszczalne. Te fałszywe ambicje, podsycane przez wpływ krakowski, przeszkodziły ludziom tym być tak pożytecznymi dla społeczeństwa, jakimi przy swoich, skądinąd niemałych zaletach być mogli. Zamiast szukać zbliżenia się z innymi, pokrewnymi sobie żywiołami w kraju na gruncie lojalnego porozumienia i wzajemnych ustępstw, poszli oni w kierunku bezwzględnej narzucania swych dążeń, ostrej walki z opinią, a gdy im się nie powodziło, nie zrozumieli, że są ofiarami własnego błędu, niezorientowania się w sytuacji wewnętrznej, jeno uważali się za męczenników idei. Wyrodziła się w tych kołach niezdrowa psychologia polityczna, jakaś pasja przeciwstawiania się ogółowi, delektowania się własną niepopularnością, pewien rodzaj snobizmu, polegający na przekonaniu, że prawdziwie wyższym politycznie człowiekiem jest ten, który się ze swym społeczeństwem zrozumieć nie może.

Przyjęli też oni zanadto bezkrytycznie program polityczny konserwatystów krakowskich. Nie znając Rosji ani jej historii, nie mając ścisłego pojęcia o charakterze państwa rosyjskiego, nie rozumiejąc istoty stosunku tego państwa do Polski, budowali sobie program polityki polskiej w tym państwie na tych samych przesłankach, na których opierała się ona w Austrii.

Byłoby błędem twierdzić, że cały ten kierunek politycznego myślenia miał swoje wyłączone źródło w natchnieniach galicyjskich, że nic nie wzięt z gruntu miejscowego, z historii własnej dzielnicy. Konserwatyści Królestwa nawiązywali swą myśl do świeżej tradycji Wielopolskiego, a nawet sięgali dalej w przeszłość, do czasów Aleksandra I, na którego politykę lubili się często powoływać. Było to jednak robione bardzo powierzchownie, bez prób głębszego wejrzenia w tę przeszłość, zrozumienia motywów, które daną politykę wywołały, i przyczyn, które skazywały ją na niepowodzenie. Stąd budowano sobie bardzo proste zrównania polityczne, w których ze strony rosyjskiej w rachubę wchodziła prawie wyłącznie Korona, a w których opuszczano cały szereg pierwszorzędnych współczynników, przede wszystkim zaś opinię wpływowych sfer rosyjskich, której natury nie rozumiano i nie oceniano potęgi. Nawet Smolka w swej wybornej, opartej na obfitym materiale pracy o Lubeckim, chociaż ten współczynnik dostrzegł i podkreślił, gdy wspominało przeszkodach, spotykanych przez Aleksandra I ze strony „Petersburga i jenerałów”, nie ocenił go należycie, nie wykazał całej jego decydującej, historycznej roli, bo zanadto uległ wpływowi ideologii obozu konserwatywnego, jesteśmy też przekonani, że gdy o Wielopolskim zaczynają pisać ludzie coś więcej niż panegiryki i paszkwile, na krótką jego historię będziemy zmuszeni patrzeć całkiem inaczej, niż ci, którzy wystąpili na widownię w charakterze jego politycznych spadkobierców. Ani czasy Aleksandra I, ani moment działalności Wielopolskiego w historii stosunków polsko-rosyjskich nie zostały dotychczas krytycznie zbadane i głębiej zrozumiane. Nic też dziwnego, że ci, którzy się na tę przeszłość w polityce praktycznej powoływali, czynili to bardzo powierzchownie i doszli do bardzo błędnych uproszczeń. Wcześniej niż historia, życie ich nauczyło, że oceniali położenie błędnie. Ten obraz wrogiego względem nas nastroju i działających przeciw nam potężnych wpływów, nie

liczących się nawet z tym, co ideologia konserwatywna uważała za czynnik absolutnie decydujący, ten obraz, jaki widzimy choćby w dzisiejszej Radzie Państwa, najlepiej świadczy, jak sztuczne, jak mało oparte na realnych przesłankach były owe sylogizmy konserwatywnej publicystyki.

Gdyby nieprzechodząca wszystko, co życie polityczne gdziekolwiek widziało, zarozumiałość konserwatystów krakowskich, którą zarazili oni początkujący obóz konserwatywny Królestwa, prawdopodobnie byłoby w tych poczynaniach mniej pewności siebie, mniej zgubnego lekceważenia opinii, mniej skłonności do uważania wszystkich ludzi innego zdania za głupców, a całego ogółu narodowego za polityczną gawieź.

Nie mamy tu miejsca na rozszerzanie się nad psychologią polityczną, sposobem myślenia i stosunkiem do społeczeństwa tej grupy. Wskazujemy tylko główne rysy, wyjaśniające, dlaczego stanęła ona nieliczna i odosobniona, w antagonizmie do opinii publicznej w kraju, a jednak z przesadnymi pretensjami do kierowania jego polityką, i dlaczego nie mogła się rozszerzyć, zagarnąć nawet tych żywiołów społecznych, które by z natury swej do obozu konserwatywnego były przeznaczone, dlaczego wreszcie nie odegrała tej roli dodatniej, której by od dobrej woli i zalet jej ludzi można było oczekiwać.

Odosobnione, odcięte od szerszych kół opinii publicznej te zaczątki konserwatyzmu politycznego w Królestwie, musiały się rozglądać za jakimkolwiek sojusznikiem; z drugiej strony, pragnąc rozwinąć działalność na terenie państwowym, który był im prawie całkowicie obcy i nieznan, potrzebowały one przewodnika. Dziwną rzeczą kolejną jednego i drugiego znalazły w kółku grupującym się około osoby wybitnego działacza petersburskiego, Włodzimierza Spasowicza. Adwokat i pisarz, w części Polak, w części Rosjanin, związany ściśle z rosyjskim obozem liberalnym i żyjący jego ideologią, sam gorliwy bojownik liberalizmu, stał się przewodnikiem i największym autorytetem politycznym formującej się grupy konserwatystów polskich. Niesłychanie dziwna kombinacja, która musiała też dać dziwne wyniki.

VI. Emigracja petersburska

Wpływ emigracji na politykę zawsze przynosi szkodę krajowi. Dawniej naszą politykę wykolejała emigracja paryska, obecnie ją wykoleja petersburska”.

Te słowa wypowiedział na parę lat przed śmiercią śp. Ludwik Górski, wybitny przedstawiciel istotnego konserwatyzmu polskiego w naszym kraju, uważany za jego głowę w okresie powojennym i niezawodnie dlatego właśnie, że był szczerym konserwatystą i gorącym katolikiem, trzymającym się na boku od grupy, która przewodnika politycznego znalazła we Włodzimierzu Spasowiczu.

Sposób myślenia Spasowicza i ludzi sztab jego stanowiących nic wspólnego z konserwatyzmem nie miał, jednakże gdy mowa o upadku myśli konserwatywnej u nas, trzeba o nim mówić, bo on właśnie i jego ludzie byli bezpośrednimi tego upadku sprawcami.

Spółeczeństwo rosyjskie, tak różne swą budową, swą przeszłością, całą swoją psychiką od zachodnioeuropejskich, konserwatyzmu w znaczeniu europejskim nigdy nie miało i mieć nie będzie. To, co w Rosji stanowi prawicę polityczną jest niesłychanie dalekie od zasad konserwatywnych, może dalsze jeszcze niż najbardziej radykalne kierunki w Europie. Polityk rosyjski ze skrajnej prawicy gotów jest być największym burzycielem, uciekać się do środków najbardziej anarchistycznych, gdy to jego interesom dogadza. Nawet wyraz konserwatyzm nie zdobył sobie prawa obywatelstwa w rosyjskim języku politycznym. Atmosfera rosyjska mniej niż jakakolwiek inna, sprzyja wykształceniu w jednostce pojęć konserwatywnych.

W tej atmosferze wykształcił swą indywidualność polityczną Spasowicz, który do społeczeństwa rosyjskiego prawie w równej mierze jak do polskiego należał. Był on w tym społeczeństwie związany ściśle z obozem umiarkowanie liberalnym, reprezentowanym w Petersburgu przez grupę bardzo wybitnych ludzi. Trzeba przyznać, że była to grupa najbardziej w społeczeństwie rosyjskim europejska, zbliżona do demokracji zachodniej w tej fazie, kiedy porzuciwszy działania rewolucyjne, brała ona rządy w ręce, jako obóz liberalny. Takimi rządzącymi liberałami mieli ochotę być ci ludzie w Rosji, do których obozu należał Spasowicz.

Zadziwiająca jest rzeczą, jak mógł człowiek, wychodzący z tej atmosfery rosyjskiej tak obcej psychice społeczeństwa polskiego w jakimkolwiek jego obozie, zdobyć sobie silny wpływ w tym społeczeństwie, jak mógł taki bezwzględny liberał stać się autorytetem politycznym dla grupy, uważającej się za konserwatywną, niewątpliwie zresztą konserwatywnej w swych instynktach i poglądach. Zrozumieć to można jedynie, gdy się weźmie pod uwagę, że Spasowicz to była istotnie niepospolicie tęga głowa, przerastająca wszystko, co wydało Królestwo w okresie powojennym, a jednocześnie silna indywidualność, wielka energia, niespożyta zdolność do pracy. Tacy

ludzie umieją naginać do siebie najbardziej oddalone duchowo żywioły, zwłaszcza jeżeli są zręczni, praktyczni, przebiegli.

Wydatna i tak już pozycja Spasowicza w kołach liberalnych rosyjskich wzrastała jeszcze przez to, że miał wpływ na Polskę. Tego wpływu szukał on już wcześniej, szukał przede wszystkim w tych kołach, które mu bliskie były poglądami, wśród żywiołów postępowych. Dla zdobycia sobie tego wpływu założył następnie w Petersburgu pismo *Kraj*, do którego znalazł i wyrobił sobie zdolnego kierownika w osobie Piltza. Pismo to z początku miało kierunek wyraźnie liberalny, odpowiadający poglądom jego twórcy, znacznie wszakże bardziej umiarkowany od liberalizmu postępowców warszawskich, którzy nie mając celów ani widoków politycznych, uprawiali właściwie literaturę, a stąd nie czuli się obowiązani do nakładania jakichkolwiek pęt swemu radykalizmowi ideowemu. Pomimo też, że „wskazania polityczne” Świętochowskiego, ogłoszone w książce jubileuszowej dla Jeża, wcale niedalekie były od tego kierunku, który propagował Spasowicz, pomiędzy postępowcami warszawskimi a petersburskim *Krajem* rozwinął się silny antagonizm, wywiązała się nienawiść, mająca swój wyraz w ostrej polemice. Grupie Spasowicza, stanowiącej redakcję *Kraju* wraz z jej tutejszymi współpracownikami, groziło całkowite odcięcie od wpływów na Królestwo, a nawet zdyskredytowanie we wszystkich kołach opinii naszego społeczeństwa.

Zwrócono wtedy uwagę na formującą się pod natchnieniami krakowskimi grupę konserwatywną, która w swych dążeniach do zastosowania u nas programu stańczykowskiego, zaczęła zwracać oczy ku Petersburgowi, a przez to prosiła się niejako, żeby ją wziąć w opiekę. Nie można było zdobyć wpływu na kraj przez postępowców – pozostała próba z konserwatystami.

Stosownie do tego celu petersburski *Kraj* przybrał nowy ton, stał się organem prawie konserwatywnym. Zaczął wychwalać konserwatystów krakowskich, brać w opiekę, arystokrację i wielką szlachtę, mówić z respektem o Kościele, wytrwale nicować zbankrutowaną politykę demokracji, słowem, podawać wszystko to, co organizującemu się konserwatyzmowi w Królestwie najbardziej do smaku przypadło. Była wszakże w tym sosie konserwatywnym podawana strawa liberalna, ale na to, żeby ją rozpoznać, trzeba było ludzi mocnych w doktrynie konserwatywnej, politycznie gruntownie wykształconych, takimi zaś konserwatyści Królestwa nie byli. Trzeba zaś nadto pamiętać, że przy naszych polskich tradycjach politycznych instynkty konserwatywne nasze na najgłówniejszych punktach są bardzo wątpliwe, i Polak, byle mu przyznać, że jest wielkim panem, byle stanąć w obronie jego przywilejów społecznych i interesów ekonomicznych, gotów jest poza tym stać się najdalej idącym liberałem. Liberalizm zaś *Kraju* był to ów nowoczesny liberalizm kapitalistyczny, giełdowy, któremu wcale nietrudno było robić kompromis z interesami wielkiej własności rolnej.

Stosunki tedy między grupą petersburską a grupą konserwatywną Królestwa zaczęły się stopniowo zacieśniać. Wprawdzie założone przez tutejszych konserwatystów warszawskie *Słowo* bardzo się różniło wówczas swoim duchem od petersburskiego *Kraju*,

bo z łamów jego przemawiał konserwatyzm szczery, niemniej przeto oba organy coraz bardziej się zaprzyjaźniały.

Z początku jedynym węzłem pomiędzy naszymi konserwatystami a grupą Spasowicza był program polityczny. Jednakże, przy bliższym przyjrzeniu się i ten program był wspólny tylko w swej stronie negatywnej. Obie grupy godziły się całkowicie w krytyce dotychczasowej polityki narodowej, w potępianiu powstań itd.

W programie pozytywnym różnica była zasadnicza. Bo gdy celem konserwatystów Królestwa było szukanie dostępu do Korony, grupa petersburska głosiła program zbliżenia ze społeczeństwem rosyjskim, co w gruncie rzeczy oznaczało uzależnienie polityki polskiej od polityki rosyjskich kół liberalnych. Gdyby ludzie byli umieli ściśle myśleć, byłiby dostrzegli, że to są dwa całkiem różne programy, ale konserwatyści Królestwa byli tak początkującymi i niewytrawnymi politykami, że różnicy tej należycie uświadomić sobie nie umieli: wystarczyło im to, że ich sojusznicy mówią o powstaniach i spiskach z takim samem oburzeniem, jak stańcycy krakowscy. Później dwa te programy pozytywne zaczęły się do siebie dopasowywać, aż w końcu z ich małżeństwa narodziło się wspólne, jakkolwiek dość nieokreślone hasło – „wejścia do środka państwa”. Właściwie hasło to nie miało poważniejszej treści realnej, dopóki przekształcenie ustroju państwowego i powołanie do życia ogólnopaństwowego przedstawicielstwa ludności nie wprowadziło tym samem polityki naszej na teren państwa, nie zmusiło jej do ścierania się tam z wrogimi nam dążeniami.

Niebezpieczeństwem rozterki między dwiema zbliżającymi się do siebie grupami mógł grozić bardzo odmienny ich stosunek do spraw religii i Kościoła. Konserwatywnym katolikom nie mógł przecież odpowiadać bezwyznaniowy liberalizm Spasowicza i jego przyjaciół. Ostatni jednakże mieli tę zrzeczność, że w sprawach religijnych zachowywali takt, szli nawet często dalej wbrew przekonaniom, byle pociągnąć ku sobie ludzi, przez których zyskali pozycję i wpływ w kraju.

W tym, zacieśniającym się ciągle stosunku klan petersburski, jakkolwiek nikły liczbą, brał coraz bardziej górę przez to, że miał na swoim czele najtęższą głowę, że składał się z ludzi ruchliwych, pomiędzy którymi byli zdolni publicyści, nadający coraz bardziej swymi artykułami ogólny ton całemu obozowi, że wreszcie był ściśle zorganizowany i niezwykle karny, że w przeciwieństwie do ziemian Królestwa, wiedział dobrze, do jakiego celu zmierza. Mały stateczek petersburski holował sprawnie, ciągnął na swoje wody ciężką arkę konserwatyizmu polskiego w Królestwie.

Powiadają, że w nawiązaniu ścisłych stosunków między Spasowiczem a konserwatystami Królestwa odegrał dużą, może nawet główną rolę Jan Bloch, znany swego czasu bankier żydowski, autor obszernych, ale tandetnych dzieł ekonomicznych i politycznych (przede wszystkim zaś „Przyszłej wojny”, której wywody i przepowiednie były bardzo śmiałe, ale za to, jak się niezadługo okazało, całkiem fałszywe), typowy przedstawiciel liberalizmu giełdowego, w końcu życia międzynarodowy agitator pacyfizmu, założyciel muzeum wojny i pokoju w Lucernie. Człowiek ten właściwie bokiem

tylko do społeczeństwa polskiego należał – w swej akcji na terenie międzynarodowym, podczas pierwszej konferencji pokojowej w Hadze, występował jako „rosyjski rzeczywisty radca stanu”. Jeżeli istotnie on był twórcą czy patronem grupy, w której Spasowicz zeszedł się z konserwatystami polskimi, to w takim razie jej polityka staje się o wiele bardziej zrozumiała.

Dopisek z r. 1938:

Nie od rzeczy będzie uzupełnić powyższe przez powołanie się na źródło obce.

Przed wojną światową ukazała się w Niemczech książka Cleinowa *Die Zukunft Polens* w dwóch dużych tomach. W Polsce nie zwrócono na nią zbyt wiele uwagi, a dziś zupełnie ją zapomniano, co zresztą nie powinno nikogo dziwić, gdyż nie posiadała szczególnej wartości. Autor jej, nieznany z innych prac, był podobno urzędnikiem departamentu kolonii, a książkę swą pisał po reportersku, jeździł po Polsce, rozmawiał z ludźmi i opisywał, czego się dowiedział. Więcej nie mogę powiedzieć o człowieku, którego zresztą nigdy nie widziałem. Tom pierwszy jego książki ukazał się na kilka lat przed wojną, tom II, zdaje się, już po wybuchu wojny. Prawdopodobnie była ona napisana na zamówienie rządu niemieckiego, dla przygotowania społeczeństwa niemieckiego do kwestii polskiej na czas wojny. Nie mając, niestety, w tej chwili książki pod ręką, zmuszony jestem powoływać się na nią z pamięci.

Otóż p. Cleinow powiada, że utworzeniu grupy pojednawczej w Królestwie dało początek spotkanie Stanisława hr. Tarnowskiego z Krakowa z Włodzimierzem Spasowiczem z Petersburga u Jana Blocha w Warszawie. Nie wiem skąd się tego p. Cleinow dowiedział. Jeżeli się ono rzeczywiście odbyło, to rozmowa musiała być interesująca: konserwatysta polski, mason polsko-rosyjski, a pośredniczy między nimi polski bankier, rosyjski rzeczywisty radca stanu, międzynarodowy działacz pacyfistyczny, Żyd i niewątpliwie mason. Może ta rozmowa była przyczyną, która mnie zmusiła do napisania tej książki.

Część druga
Narodowa myśl polityczna

I. Stan umysłów w Królestwie pod koniec ubiegłego stulecia

Narodziny dziś istniejących obozów politycznych w naszym kraju przypadają na ostatni dziesięć lat ubiegłego stulecia. Pierwsze trzydzieści lat, które upłynęły od upadku powstania 63 roku, były okresem apolitycznym, w ciągu którego myśl społeczeństwa podlegała głębokiej przeróbce pod wpływem przekształceń społecznych i przenikających do kraju z zewnątrz prądów.

Ten długotrwały brak myśli politycznej w społeczeństwie był zjawiskiem całkiem naturalnym. Myśl polska miała za wiele materiału w innych kierunkach, który musiała przetrwać i który energię jej całkowicie pochłaniał.

Żadne może społeczeństwo w ciągu tak krótkiego czasu nie uległo tak głębokim przemianom wewnętrznym. Ewolucja warstwy włościańskiej po zniesieniu pańszczyzny i uwłaszczeniu; przemiana z tych samych przyczyn charakteru większej własności rolnej, ekonomicznych i społecznych warunków jej istnienia; szybki rozwój przemysłu na skutek przede wszystkim zniesienia granicy celnej pomiędzy Królestwem a Cesarstwem; tworzenie się nowej warstwy robotniczej z dwóch odmiennych żywiołów – w mniejszości z dawnej ludności rzemieślniczej, w ogromnej większości z ciemnego proletariatu wiejskiego; rozwój handlu zewnętrznego, pośredniczącego między Zachodem a Rosją; zjawienie się w miastach ogromnej liczby szukającej chleba inteligencji na skutek nowych warunków ekonomicznych, wyrzucających z ziemi słabiej siedzącą na niej szlachtę, i politycznych, pozbawiających chleba biurokrację polską; szybki rozrost warstwy inteligencji miejskiej, złożonej z ludzi wolnych zawodów oraz pracowników w handlu i przemyśle; powstanie ogromnie licznej inteligencji żydowskiej, korzystającej po reformie Wielopolskiego z równouprawnienia i przyjaznego dla niej prądu w społeczeństwie polskim – wszystko to się składa na obraz przewrotu, daleko głębiej zmieniającego istotę życia, niż wszelkie rewolucje polityczne. Te wszystkie zmiany myśl ludzka musiała przerabiać, przetrwać. Materiał to był tak ogromny, że nie mogła mu podołać, pozostawała w tyle za biegiem życia, gubiła się, doznawała zawrotu.

Trzeba obok tego pamiętać, że ostatnie powstanie, jeżeli było niesłychanych rozmiarów polityczną klęską, niepowetowanym ciosem w polskie interesy narodowe, to w jeszcze większym bodaj stopniu było bankructwem ducha polskiego. To, co stanowiło oś myśli polskiej przez szereg pokoleń, naraz załamało się, zapadło w otchłań – myśl narodu znalazła się w próżni, w której wodziła błędnym okiem, szukając jakiegokolwiek oparcia. Zjawił się pod wpływem tego głód na nowe idee, chwytanie z zewnątrz wszystkiego, co się dało, by rodzimą pustkę ducha zapełnić. Nastąpił okres gwałtownej

imigracji prądów obcej myśli do kraju: wtargnął szerokim wyłomem pozytywizm, materializm i wojujący ateizm, a równoległe z nim hasła demokratyzmu mieszczańskiego, bardzo zaczepne, bardzo wojownicze; za tym podążył niebawem socjalizm, z początku wschodni, zaprawiony nihilizmem, żyjący urokiem i natchnieniami podziemnej Rosji, potem zachodni, ćwiczący się w kanonie socjalnej demokracji niemieckiej; czuć się dał nawet chwilowo ruch umysłów w stylu rosyjskiego *narodniczestwa*¹, który wszakże zanikł prędko, zalany przez prąd rodzimy zbliżenia się do ludu, znajdujący wyraz zarówno w literaturze i publicystyce, jak w pracy realnej nad oświatą.

To wszystko następowało z szybkością zawrotną, wytrącającą myśl społeczeństwa z równowagi. Z tym wszystkim parał się instynkt samozachowania narodowego, utrzymujący uparte przywiązanie do najbardziej elementarnych podstaw narodowego bytu, pod którego nakazami jedni cofali się przerażeni od życia publicznego pełnego tyłu herezji, chowali się po kątach lub występowali nieśmiało do walki z nimi, inni rzucali się w wir nowych prądów, instynktownie je asymilując, przerabiając na polską modłę.

Ta praca myśli polskiej w Królestwie tak ją pochłaniała, iż mowy być nie mogło o zdobyciu się jej na większą energię w dziedzinie polityki, ile że żywa pamięć ostatniej klęski i tragiczne wprost na jej skutek położenie polityczne kraju pogrążyło społeczeństwo w upadku ducha i myśl jego od zagadnień politycznych odstraszało. Tworzyły się w społeczeństwie obozy, które namiętnie z sobą walczyły, nie były to wszakże obozy polityczne – walka się toczyła o zagadnienia filozoficzne, religijne, moralne, literackie i naukowe, wreszcie o społeczne. Nie dotykała ona zagadnień politycznych w ścisłym tego słowa znaczeniu. Te, o ile je poruszano, zajmowały w życiu umysłowym drugorzędne miejsce. Najbardziej jeszcze w dziedzinę polityczną wkraczały, praktycznie raczej niż teoretycznie, organizacje socjalistyczne.

Wielkie zagadnienie narodowej przyszłości pozostawało w zawieszeniu, myśl polityczna, kreśląca drogi takiego czy innego jej budowania, nie szukała dla siebie wyrazu w walce prądów i obozów. Poszczególne jednostki myślą i nawet odzywają się, ale myśl ich nie skupia ludzi, nie wytwarza ognisk, nie daje podstawy do tworzenia się, politycznych obozów. Dopiero w dwadzieścia z górą lat po powstaniu, gdy wyrasta nowe pokolenie, wolne od tej zmyry, jaką było żywe wspomnienie 63 roku, na kilkanaście lat przed końcem stulecia, zaczynają się zarysowywać niejasne dążenia, z uczuć przede wszystkim i instynktów płynące dążenia, które zapowiadają narodziny politycznych obozów. Te dążenia – to z jednej strony podkreślone już wyżej, pod natchnieniami krakowskimi zrodzone aspiracje do wytworzenia obozu konserwatywnego, z drugiej – bunt duszy polskiej budzącej się wśród młodzieży przeciw kosmopolitycznemu, wprost

¹ Ruch narodnicki – ruch rewolucyjny działający w Imperium Rosyjskim w latach 1970-1890. Łączył w sobie poglądy demokratyczne, krytykę systemu feudalnego i kapitalizmu. [redakcja]

antypolskiemu kierunkowi myśli, wniesionemu przez socjalistów i rozciągającemu szeroko swe panowanie nad umysłami młodych pokoleń. Ten bunt jako negacja ideałów kosmopolitycznych, istniał od chwili zjawienia się u nas socjalistycznego prądu, w czasie wszakże, o którym mówimy, zjawia się wśród młodzieży myśl narodowa pozytywna, twórcza, wcielająca się stopniowo w program, a tym samym tworząca podstawę dla nowego obozu politycznego. Są to zadatki przyszłej Narodowej Demokracji.

Powstały zaczątki dwóch obozów politycznych, stawiających zagadnienie narodowej przyszłości, szukających jego rozwiązania, wskazujących drogi, mające doprowadzić do poprawy narodowej doli. Walka między tymi obozami kształtuje charakter każdego z nich i dlatego chcąc mówić o jednym, nie można milczeć o drugim, bo jednego z nich bez poznania drugiego nie można zrozumieć.

II. Demokracja narodowa

Młode żywioły, które na kilkanaście lat przed końcem ubiegłego stulecia zaczęły się grupować pod hasłem narodowym, i z których miał się w następstwie wytworzyć obóz demokratyczno-narodowy, nie były jednolite. Było to pokolenie, na które oddziaływał silnie prąd postępowy, pozytywistyczny, które uległo w ogromnej mierze wpływowi idei socjalistycznych; ci, co się kształcili zagranicą, zwłaszcza w Szwajcarii i Francji, przejmowali się do pewnego stopnia starą ideologią demokratyczną naszej emigracji; wreszcie wśród znacznej części tego pokolenia szybko się rozwijał nowy prąd ludowy, kierunek widzący w chłopie polskim fundament narodowego bytu, wskazujący pracę nad oświatą, ekonomiczne podźwignięcie i narodowe uświadomienie tego ludu, jako główne zadanie. Były tu więc różne odcienie ideowe: postępowy, socjalistyczny, demokratyczny w starym stylu, ludowy – nie dość przemyślane z natury rzeczy, nie dość przetrawione, bo inaczej nie mogło być w młodych umysłach. Wszystko to zbliżało się do siebie pod wspólnym narodowym hasłem, wszystko skupiało się do walki przeciw kosmopolitycznej, wojowniczo-antynarodowej propagandzie partii socjalistycznych.

Do tej młodzieży zbliżali się działacze starszego pokolenia, w celu organizowania jej i nadania jej myślom bardziej określonego kierunku. Pierwsze próby organizacyjne wyszły od emigracji, która na tej drodze starała się swe stare idee oblec w nowe ciało. Nieliczni wszakże działacze w kraju, którzy w tej robocie organizacyjnej z emigracją współdziałali, szli z konieczności w znacznie odmiennym kierunku, oddziaływali w kierunku, z jednej strony ludowym, z drugiej – nacjonalistycznym, wnoszącym silne pierwiastki narodowej zachowawczości w sposób myślenia młodzieży. Byli nawet tacy, którzy usiłowali tę młodzież zbliżyć z obozami radykalnymi w Rosji.

Nie była tedy jednolita pod względem sposobu myślenia sama młodzież i nie były jednolite wpływy starszego pokolenia, które wśród niej działały i próbowały organizacją jej nadać.

Po kilku wszakże latach, kiedy pierwsze szeregi tej młodzieży opuściły ławy uniwersyteckie i zaczęły zajmować stanowiska w życiu społeczeństwa, zaczęła się szybka integracja tego młodego obozu narodowego. Otrząśnięto się przede wszystkim z wpływów emigracyjnych, wyzwolono się z pod władzy organizacyjnej kół, które te wpływy reprezentowały i które usiłowały wprowadzić w życie tego młodego obozu ducha, mającego wiele pokrewnego z duchem wolnomularstwa. Tym sposobem młody obóz już przed dwudziestu laty zyskał samodzielność, a jeżeli miał w swoim łonie autorytety, nieco starsze wiekiem i umysłowo dojrzalsze, jak Popławski i Balicki, to byli to właśnie ludzie tej grupie bardzo myślami swoimi bliscy, mający z nią w swoich pojęciach o wiele więcej wspólnego niż z jakimkolwiek innym kierunkiem myśli polskiej w owym czasie. Tak, wszedłszy na drogę samodzielnego rozwoju, ten młody obóz narodowy zaczął się szybko amalgamować i uwydatniać swoją fizjonomią polityczną, wykazywać twórczość myślową. Okazało się wtedy, że pod pokrywką rozmaitych

zewnątrznych naleciałości i młodzieńczych naśladownictw tkwiły w tym obozie silne zarodki myśli samodzielnej, umiejącej czerpać bezpośrednio z życia, dawać wyraz ideowy temu, co w potrzebach tego życia dojrzało, tworzyć wskazania i wprowadzać myśl polityczną narodu na nowe drogi. W ciągu paru lat z tej pracy młodej myśli wyrosło nowe stronnictwo, rodzime i polskie, nie będące echem czy naśladownictwem czegoś obcego, niemające dla siebie odpowiednika w żadnym innym kraju, ale wyrastające bezpośrednio z potrzeb i aspiracji narodu, w zastosowaniu do warunków jego życia. Wyrosła nowa niejako szkoła myśli politycznej polskiej, niezajmująca się importowaniem wytworów obcych na grunt rodzimy, ale tworząca swój kierunek własną, samoistną pracą, wychodząca z założenia, iż położenie narodu polskiego tak jest odmienne od położenia wszystkich innych narodów, że niewolnicze naśladowanie obcych wzorów na naszym gruncie nie może odpowiadać potrzebom narodowym i żadnego pożytku sprawie polskiej nie przyniesie.

Nasze położenie geograficzne i nasz stosunek do cywilizacji zachodniej przez cały ciąg naszych dziejów, od przyjęcia chrześcijaństwa, sprawiał, żeśmy się trenowali w naśladownictwie wzorów obcych, form obcego życia. Nasza myśl polityczna nie mogła się zdobyć na to, by silnie stanąć na własnych nogach, wejrzeć głębiej we własny naród, formy życia zastosować do charakteru społeczeństwa i jego potrzeb. Polska żyła przenoszeniem na swój grunt instytucji obcych, które tu, wobec innego ustroju społeczeństwa, przybierały często karykaturalną postać. I bodaj, że to jest najgłówniejszą przyczyną upadku państwa polskiego. Po rozbiorach myśl polska ciągle się czepiała prądów, kierunków i organizacji obcych, zaprzęgając przez to sprawę polską do służby cudzym interesom i na tej drodze likwidując dobro narodowe w niesłychanie szybkim tempie. Tak żeśmy się już zżyli z tym sposobem myślenia, że często niezdolni jesteśmy wprost zrozumieć, ażeby w zakresie myśli politycznej mogło istnieć u nas coś, co jest ściśle nasze, przez nas dla nas samych stworzone, wyrosłe z naszego życia i do naszych zastosowane potrzeb. Wobec każdego nowego zjawiska w tej dziedzinie zapytujemy przede wszystkim, czemu ono odpowiada w innych krajach i martwi nas, gniewa, obraża, gdy na to pytanie nie możemy znaleźć odpowiedzi. Ta właściwość naszej umysłowości politycznej znakomicie się uwydatnia po zjawieniu się na widowni życia politycznego Polski obozu demokratyczno-narodowego.

Przez dłuższy czas nie zwracano na tę grupę uwagi, lekceważono ją lub traktowano jako spóźnione, pozbawione żywotności echo dawnych prądów, spisków i planów powstańczych. W miarę wszakże, jak nowy obóz rósł w siły i istnienie swoje coraz czynniej zaznaczał, zaczęto zadawać sobie pytanie, co to za kierunek, jaki jest jego charakter – co u nas w Polsce znaczy: jakim kierunkom zagranicznym odpowiada on w naszym kraju? Na to pytanie dawano sobie najrozmaitsze odpowiedzi. Jedni go określali jako konserwatywny, wsteczny, klerykalny, inni jako burżuazyjny, inni stawiali go na równi z rosyjskim *narodniczestwem*, inni jeszcze jako masoński, byli wreszcie i tacy, co go uznali za echo pruskiego hakatyzmu. Wszyscy czuli, że te określenia nie odpowiadają ściśle istocie rzeczy i dlatego gniewali się, obrażali na kierunek, z którym taki mają kłopot.

Jak może sobie pozwolić istnieć w Polsce prąd myśli nie mający dla siebie wyraźnego odpowiednika w prądach zagranicznych? Musi to być grupa jakichś wariatów albo ignorantów. Nikomu z ludzi, stojących poza tym obozem, nie przyszło do głowy pytanie, czy czasem charakter i ustrój wewnętrzny naszego społeczeństwa, tak różny od tego, co w innych społeczeństwach widzimy, czy nasze położenie narodowe, niemające nic podobnego do siebie gdzie indziej, nie sprawia, że niewolnicze naśladownictwo obcych wzorów i uzależnianie się od obcych prądów nie ma u nas żadnej wartości, że jest raczej dla naszej sprawy wielce szkodliwe? Czy nie jest musem, kwestią wprost naszego bytu, naszej przyszłości, zdobyć się na samodzielność myśli politycznej i tworzyć programy, zastosowane ściśle do warunków i potrzeb naszego polskiego życia?

I w obozie demokratyczno-narodowym świadomość tej potrzeby samodzielności myśli polskiej nie od razu była jasna. I tam z początku było wiele naśladownictwa, wiele wzorowania się; i później, kiedy samodzielny kierunek jego myśli silnie się uwydatnił, ciągle musiał on walczyć wewnątrz z pędem naśladowczym, z grawitacją do tych czy innych szablonów. Jednakże dawał on sobie z tym wszystkim jako tako radę, oczyszczał się z niepotrzebnych i szkodliwych naleciałości, usuwał ze swego łona żywioły, które przewodniej jego myśli zrozumieć nie były zdolne, i rósł tym samym w siłę, jaką kierunkowi politycznemu daje zawsze zgodność z życiem, z duchem i z potrzebami narodu. Ludziom, którzy go rozumieli powierzchownie, oceniali szablonowo, którzy nawet nie podejrzewali myśli, stanowiących jego oś istotną, nieraz się zdawało, że już, już zbliża się jego koniec, że takie czy inne zmiany w warunkach odbierają mu rację bytu i czynią nieuniknionym jego bankructwo. A on tymczasem, przy akompaniamencie złorzeczeń ze wszystkich stron, szedł ciągle naprzód, i jeżeli nasz naród ma w swoim życiu w ciągu ostatniego dwudziestolecia momenty jakiegokolwiek historycznej doniosłości, to tę historię robił przede wszystkim kierunek demokratyczno-narodowy, on się okazał główną siłą twórczą w życiu politycznym narodu.

III. Niebezpieczeństwa polskiego bytu

Wychodząc z moralnego założenia jedności narodowej i z praktycznego stwierdzenia, że zagadnienia bytu polskiego w różnych dzielnicach tak ściśle się ze sobą wiążą i nawzajem uzależniają, iż nie może być mowy o ścisłym zlokalizowaniu polityki polskiej w tej czy innej dzielnicy, kierunek demokratyczno-narodowy postawił sobie ambitny cel objęcia sprawy polskiej w całości, na całym obszarze narodu polskiego. Temu zwolennicy kierunku zawdzięczali nazwę wszechpolaków, którą ich obdarzali przeciwnicy. Narodowcy, jak sami siebie często przedstawiciele kierunku nazywali, nie byli autorami owej nazwy, bo jeżeli ją nawet wyprowadzać od tytułu ich organu, *Przeglądu Wszechpolskiego*, to trzeba pamiętać, że tytuł ten nie był ich dziełem, bo przejęli oni istniejące już pismo pod gotowym tytułem od innych ludzi.

Chcąc budować program polityki polskiej, tak szeroko pojętej, program samodzielny, nie będący naśladownictwem obcych kierunków, a przy tym praktyczny, nie wypływający z jakiejś oderwanej doktryny, jeden tylko punkt wyjścia można dla niego znaleźć. Tym punktem wyjścia może być tylko gruntowne poznanie własnego narodu, jego ustroju i charakteru, jego sił i słabych stron jego budowy oraz jego politycznej psychiki, z drugiej zaś strony – jego kolei dziejowych, zwłaszcza w nowszych czasach, oraz położenia dzisiejszego we wszystkich dzielnicach, przyczyn jego niepowodzeń i najgłówniejszych niebezpieczeństw, zagrażających mu w obecnej dobie.

Tak pojęty punkt wyjścia programu politycznego wymagał od jego twórców wiedzy olbrzymiej, wiedzy, której nikt nigdy w Polsce w zadawalającym stopniu nie posiadał i dziś jeszcze nie posiada, bo nie ma chyba narodu, który by tak mało znał siebie i tak słabo orientował się w swoim położeniu. Co prawda, na usprawiedliwienie nasze stwierdzić należy, że nie ma narodu, który by przeszedł tak niezwykle koleje dziejowe i którego by położenie dzisiejsze tak było skomplikowane. Kierunek tedy demokratyczno-narodowy podjął zadanie niesłychanie trudne, do którego z początku w bardzo tylko słabym stopniu mógł dorastać, dla którego spełnienia potrzebne były lata całe sumiennego badania i dobrze zużytkowanych doświadczeń, ale podjął je z całą świadomością, że to jest jedyna droga, na której sprawa polska ma widoki wydobycia się z tej topieli, w której przez cały ciąg nowszych dziejów pogrążała się coraz bardziej.

W naszym położeniu nie można marzyć o tym, ażeby jakikolwiek człowiek czy grupa ludzi była zdolna do objęcia całości zagadnień polskiego bytu, do odpowiedzi na wszystkie, chociażby najgłówniejsze tylko pytania, jakie się w tym zakresie narzucają. Dobrze jest już, gdy ludzie przynajmniej tych odpowiedzi szukają, gdy nie ustają w badaniach, gdy nie przestają zagłębiać się w przeszłość i patrzeć otwartymi oczyma na teraźniejszość, gdy czynią ciągle postępy w zakresie tej niezbędnej dla polityka polskiego wiedzy. I to jest właśnie najwyższym przymiotem kierunku demokratyczno-narodowego, że nigdy on sobie nie powiedział, iż wie wszystko dostatecznie, że ciągle szukał, ciągle swoje pojęcia sprawdzał i poprawiał, że wskutek tego program polityczny obozu

znajdował się w ciągłej ewolucji. Śmiało mówimy, że może nie ma nigdzie politycznego stronnictwa, które by w takim stopniu uchroniło się od jednostronności, od skostnienia myśli, któremu by walki codzienne i bieżące, doraźne cele tak mało przeszkodziły w wytrwaniu przy pierwotnych szerokich założeniach. Od takiego, będącego powszechnym zjawiskiem, zwyrodnienia ocaliła je bezinteresowność, szlachetność pobudek moralnych i żywotność myśli, umiejscowienie się bronić od doktrynerstwa.

Wiedza polityczna obozu – nie mówimy o tej wiedzy, która znajduje się w książkach i którą łatwo zdobyć, przysiadłszy nieco fałdów, ale o tej, którą pomnażać można jedynie własnym, samodzielny badaniem – szybko posuwała się i posuwa ciągle naprzód. Nie możemy na tym miejscu robić obszernego jej wykładu, musimy odesłać interesującego się przedmiotem czytelnika do literatury kierunku, która nie jest przytłaczająco obszerna, ale której nie można odmówić dwóch rzeczy: szczerzej, uczciwej chęci rozwiązania zagadek polskiego bytu i samodzielności myśli. Tu, na tym miejscu, zatrzymamy się tylko nad tym, czego ominąć dla zrozumienia naszego przedmiotu nie można, mianowicie wskażemy w krótkim wyliczeniu główne strony słabe i niebezpieczeństwa polskiego bytu, tak jak je sobie myśl demokratyczno-narodowa stopniowo uświadamiała.

1) Najpierwszym, najbardziej zasadniczym niebezpieczeństwem, wynikającym z podziału Polski, na które myśl demokratyczno-narodowa zwróciła swą uwagę i które przede wszystkim podkreśliła, jest niebezpieczeństwo politycznej asymilacji Polaków w trzech państwach, grożące narodowi stratą moralnej jedności, zagładą jego historycznego „ja”, co by się równało narodowej śmierci, chociażby nawet język i różne pierwiastki kultury polskiej ocalały. Poczucie tego niebezpieczeństwa dało pierwsze główne rysy kierunkowi demokratyczno-narodowemu, rysy, które sprawiły, że jego konserwatywni czy pseudokonserwatywni przeciwnicy pojmowali go jako kontynuację praktyczną dawniejszych prądów polityki porozbiorowej i fałszywie oskarżali o dążenia powstańcze.

2) Drugie, uznawane już i przez inne kierunki, szeroko w społeczeństwie uświadomione niebezpieczeństwo – to wynarodowienie kulturalne i moralne, grożące zwłaszcza na kresach, nie tylko ze strony narodów, panujących na ziemiach polskich, ale i ze strony nowych prądów narodowych, które zrodziły się wśród plemion, zamieszkujących ziemię dawnej Rzeczypospolitej, wśród Rusinów i Litwinów. Ta kwestia, prosta i jasna dla całego ogółu, gdy chodziło o narody panujące, gmatwała się w pojęciach, gdy chodziło o ruch ruski lub litewski, tu bowiem doktrynerstwo demokratyczne i rewolucyjne XIX stulecia występowało w obronie tego, co podmywało silnie nasze na kresach istnienie narodowe. Na tym też gruncie kierunek demokratyczno-narodowy zmuszony był silnie przeciwstawić się utartym w szerokich kołach pojęciom, co mu zyskiwało ze strony przeciwników miano nacjonalizmu, a nawet hakatyizmu.

3) Związane z powyższymi i mające wspólne z nimi źródła występuje niebezpieczeństwo trzecie – szybkie zmniejszanie się na kresach, zwłaszcza na

niektórych, a nawet w głębi rdzennych ziem polskich, polskiego stanu posiadania, jak to z niemiecka przyjęto u nas nazywać, to znaczy, wymykanie się z rąk polskich ziemi, przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju, instytucji życia publicznego, zmniejszanie się odsetka ludności polskiej, zmniejszenie, osłabienie tego wszystkiego, co daje narodowi tytuł całkowity lub częściowy do danej ziemi. I tu, jak w drugim punkcie, różnice między kierunkiem demokratyczno-narodowym a innymi uwydatniły się głównie tam, gdzie chodziło o niebezpieczeństwo ruskie lub litewskie, następnie zaś – o żydowskie. To były główne, elementarne, najłatwiejsze do zrozumienia niebezpieczeństwa naszego bytu narodowego, na które kierunek demokratyczno-narodowy przede wszystkim zwrócił uwagę. W miarę wszakże zagłębiania się w zagadki tego bytu dostrzegał on stopniowo inne niemniej wielkie, jakkolwiek trudniejsze do stwierdzenia. Spostrzeganie ich pogłębiało z jednej strony myśl polityczną obozu, z drugiej – stawiało go w coraz silniejszym antagonizmie do innych prądów politycznych w kraju. Nad tymi to niebezpieczeństwami należy nam się z kolei zatrzymać.

Największą siłą kierunku demokratyczno-narodowego stanowiło to, że jego myśl zwracała się przede wszystkim na wewnątrz narodu, a jego wysiłki ku pracy w narodzie. Wychodząc z założenia, że losy polityczne narodu zależą przede wszystkim od niego samego, od jego wartości, od jego sił, wśród których pierwsze miejsce zajmują siły moralne, myśl demokratyczno-narodowa coraz pilniej pracowała nad wykryciem słabych stron naszego ustroju narodowego, tych grożących nam niebezpieczeństw, które tkwią w nas samych, szukała środków ich usunięcia i organizowała pracę w tym kierunku.

Trzeba zaznaczyć, że hasło wewnętrznej naprawy znalazło się już przedtem na ustach krakowskiego obozu konserwatywnego i że stamtąd odbijało się echem w grupie konserwatywnej Królestwa, jednakże ograniczano się tam do jednostronnego wskazywania wad narodowych, biadania nad nimi, surowego o nich wyrokowania – wszystko to jednak było raczej środkiem tylko do wywyższenia własnego programu, własnej partii i nie pociągało za sobą głębszej pracy w społeczeństwie, skierowanej ku naprawie. Kto chce wykrywać wewnętrzne braki narodu, musi umieć je spostrzec i w samym sobie, partia zaś, która chciała uchodzić za doskonałą, za wszechmądrą, nie mylącą się nigdy, musiała z konieczności być ślepą na najgłówniejsze nieraz niedomagania naszego życia narodowego, i w celu zachowania pozycji dopuszczać się świadomej u jednych, u innych nieświadomej błagi. Natomiast obozowi demokratyczno-narodowemu trzeba przyznać, że w miarę jego dojrzewania coraz silniej zapanowywała w nim skłonność do krytycznej rewizji własnych poglądów, własnego programu, do stwierdzania i usuwania własnych błędów. Tę swoją wyższość zawdzięczał on nie tyle może większej przenikliwości umysłowej, ile większej szczerości i umiejętności postawienia dobra narodu ponad dobro partii. I to właśnie dawało młodemu obozowi przewagę nad innymi, to mu zapewniło rolę główną w rozwoju naszego życia narodowego ostatnich czasów. Przeciwnicy dziwili się szybkim jego zdobyciom, pomimo wielkich nawet, chwilowych niepowodzeń, w opinii kraju. Nigdy, zdaje się, nie zdali sobie sprawy z tego, iż wszelkie stronnictwo może mieć zapewniony trwały rozwój i rozrost

swego wpływu tylko wtedy, gdy ogół czuje, że kierownikom jego chodzi więcej o dobro narodu, niż o dobro partii. Myśl demokratyczno-narodowa stopniowo sobie uświadomiła najgłówniejsze strony słabe naszego narodowego ustroju i niebezpieczeństwa, zagrażające naszemu bytowi, a tkwiące w nas samych.

4) Niebezpieczeństwem takim jest nienormalnie wielkie oddalenie kulturalne i moralne ludu od warstw historycznych i oświeconych, reprezentujących myśl narodową. Ze stwierdzenia tego groźnego faktu – który dał nam w dziejach porozbiorowych taką katastrofę, jak rok 46 w Galicji – wypłynął program zbliżenia się do ludu i pracy narodowej wśród niego, stanowiący historyczną wprost zasługę obozu. Narodowcy wyszli ze stwierdzenia, że warstwy, reprezentujące aspiracje narodowe, są zbyt słabe, że lud, stanowiący ogromną siłę potencjalną, jest zbyt ciemny, nieświadomiony i bierny, że wreszcie w tym ludzie tkwią głębokie i silne instynkty narodowe, które trzeba tylko na gruncie oświaty uświadomić, ażeby ten lud zamienić na czynną, twórczą w życiu narodowym siłę. Dlatego to wbrew stanowisku konserwatystów poszli oni z pracą do tego ludu i dlatego wbrew socjalistom i ludowcom poszli do włościan jako do współobywateli-Polaków, mających te same co wszyscy inni obowiązki względem narodu; dlatego nie grali na niższych instynktach, nie budowali programu klasowego na podstawie odwiecznych antagonizmów i nienawiści stanowych. O tę pracę musieli oni od początku toczyć walkę z konserwatystami, którzy wszelkie zbliżanie się do ludu uważali za działalność niemal rewolucyjną i widzieli w niej niebezpieczeństwo jakichś nowych dla kraju katastrof, a jednocześnie z żywiołami radykalnymi, które uważały, że moralne oddalenie ludu od warstw oświeconych odda go w ich ręce.

Konserwatyści krakowscy naśladowali w stosunku do ludu najgorsze wzory konserwatyzmu zachodniego – bo przecież i na Zachodzie szczerzy, uczciwy konserwatyzm umiał się do ludu zbliżać, czego przykładem choćby praca centrum katolickiego w Niemczech – naśladowali je z fatalnym, jak się okazało, dla siebie samych skutkiem. Konserwatyści Królestwa naśladowali bezkrytycznie krakowskich, za słabi umysłowo, by dostrzec głęboką, zasadniczą różnicę między położeniem swoim a tamtych. Tamci przynajmniej mieli w ręku władzę krajową i mogli się łudzić, że przy pomocy środków, jakie im ta władza daje, utrzymają na długo lud w karchach. Ci wiedzieli przecież, że władzy nie mają, i mieli w świeżej pamięci program Komitetu Urządzającego po powstaniu. Nie potrzeba wtedy było wielkiego geniuszu politycznego, żeby zrozumieć, czym grozi trzymanie się z dala od ludu na wzór mistrzów z tamtej strony kordonu. Łatwo chyba dostrzec, że jeżeli mamy szukać przykładów za kordonem, to raczej naśladować należy kierunek działalności konserwatystów poznańskich, rozwijanej w położeniu zbliżonym do naszego. Na nieszczęście Kieleckie i Sandomierskie, będące głównym ogniskiem organizującego się u nas konserwatyzmu, leżało bliżej Krakowa niż Poznania, a leniwe umysły jego organizatorów nie umiały szukać nauki dalej, jak tam, dokąd własnymi końmi można dojechać.

Nasze prądy radykalne, a przede wszystkim nasi socjaliści żyli zawsze i żyją tylko obcymi wzorami, tylko naśladownictwem. Tzw. ruch ludowy, jakkolwiek ma charakter

specyficznie polski, jednak ruchem samodzielnym nie jest. Pierwiastek rodziwy w nim jest właściwie wsteczny, wziął on z gruntu ojczystego to, co jest smutnym dziedzictwem smutnych czasów, mianowicie niecywilizowane, wyrosłe na gruncie dawnego ucisku, zastarzałe nienawiści stanowe. Na tym gruncie zaszczerpił bezkrytycznie obcą płonkę socjalistyczną, a z małżeństwa tego wyrósł kierunek, który mieni się postępowym, ale w wielu punktach przedstawia silne pokrewieństwo z programem meternichowskich onego czasu starostów w Galicji i działaczy innych rządów, które tę robotę naśladowały. Jest on zatem ruchem moralnie wstecznym a zarazem przeciwnarodowym i stanowi jeden z najjaskrawszych przykładów tego, jak niebezpiecznym dla naszego życia narodowego jest brak samodzielnej myśli i naśladownictwo obcych programów. Zarówno ludowcy, jak socjaliści, zachowują się tak, jak gdyby istniało państwo polskie, a w tym państwie władza polityczna znajdowała się w rękach uprzywilejowanych warstw posiadających. Słabe ich mózgi nie są zdolne wyprowadzić konsekwencji z tej zasadniczej różnicy położenia naszego kraju a krajów innych, z których niewolniczo przejęli podstawy swych kierunków i formy działania. Ten sam zadziwiający brak samodzielności umysłowej wykazuje tzw. postępową inteligencja, platonicznie sympatyzująca z robotą partii społecznie radykalnych.

Oto dlaczego obóz demokratyczno-narodowy w swych zapatrywaniach na lud i w swym programie pracy nad ludem znalazł się odosobniony od wszystkich innych partii, musiał stanąć na gruncie walki z nimi, i dlaczego ogół polski, stojący poza tamtymi partiami, niekierujący się doktrynami, uznał w tym względzie myśl demokratyczno-narodową, przyjął ją przynajmniej w zasadzie, jeżeli skutkiem przysłowiowej naszej ociężałości nie stosuje jej czynnie w dość szerokim zakresie.

Kierunek demokratyczno-narodowy od samego początku oparł się mocno na założeniu, że losy narodu zależą przede wszystkim od tego, czym on sam jest, od jego sił, od umiejętności zużytkowania tych sił w walce politycznej. Na tym punkcie toczył się nieustanny spór pomiędzy nim a konserwatystami, którzy zdawali się tej prawdy nie uznawać, którzy przez długi czas twierdzili uparcie, że Polacy, jako naród słaby, na swej słabości niejako winni budować swą politykę, winni przekonywać nieprzyjaciół o tym, że dla nikogo szkodliwym być nie chcą i nie mogą, winni unikać wszystkiego, co kogokolwiek może podrażnić, zaniechać nawet takiej pracy wewnątrz, którą by wroga im polityka mogła uznać za skierowaną przeciw sobie. Z tego też stanowiska kierownicy obozu konserwatywnego oskarżali pracę demokratyczno-narodową wśród ludu, twierdzili, że narażając nas i kompromitując wobec rządów, może ona tylko nieszczęścia na nasz naród ściągać.

Zrozumiałą jest rzeczą, że myśl demokratyczno-narodowa, raz z powyższego założenia wyszedłszy i nigdy od niego nie odstępując, musiała ciągle szukać odpowiedzi na pytanie: dlaczego nasz naród, będąc przecież nie ostatnim w Europie pod względem liczby i poziomu kulturalnego, tak pozbawiony jest politycznego znaczenia, iż mniej się z nim liczą niż z jakimiś drobnymi, niedawno narodzonymi narodkami? Sam fakt, że naród nasz ma więcej niż inne i silniejszych wrogów, wystarczającej odpowiedzi na to pytanie

nie daje. Trzeba jej szukać i w sobie samych, w ustroju i politycznej psychice własnego narodu, w brakach wewnętrznych, które mu nie pozwalają wykazać takiej politycznej siły, jakiej by można było od niego oczekiwać ze względu na jego liczbę, na jego bogatą przeszłość, wreszcie na poziom cywilizacyjny.

W tym kierunku myśl demokratyczno-narodowa pracowała od samego początku. Pierwszą przyczynę tej słabości, najgłówniejsze niebezpieczeństwo wewnętrzne naszego narodowego bytu dojrzała ona w tym, o czym już szerzej mówiliśmy, mianowicie w moralnej i kulturalnej przepaści, dzielącej lud od warstw oświeconych. Przepaść ta, jak już wspomnieliśmy, w ostatnich latach kilkunastu zaczęła się szybko wyrównywać dzięki pracy przede wszystkim obozu demokratyczno-narodowego i w ogóle ludzi, którzy w ślad za jego wskazaniem poszli. Na tym jednak nie koniec.

Głębsze wejrzenie w budowę naszego społeczeństwa wskazuje, że Polska w ciągu ostatnich stuleci swego państwowego istnienia podległa w ogóle uwstecznieniu budowy społecznej. Zanikły całe tkanki ciała narodowego, całe warstwy społeczne, naród w swej budowie się uprościł, stał się społeczeństwem bardzo pierwotnym, złożonym z poddanego ludu i z panującej szlachty. Mieszczaństwo prawie zanikło, na jego miejsce miasta obsiedli nienależący do narodu, stanowiący całkowicie odrębną społeczność – Żydzi. Miasta dla kraju są niejako tym, czym ośrodki nerwowe dla organizmu ludzkiego. Naród nie mający swoich miast, chociażby był ciałem wielkim, musi być słabym, jakby sparaliżowanym, wskutek braku, słabości czy chorobliwego stanu swoich ośrodków nerwowych. Jeżeli do zrozumienia tego faktu kierunek demokratyczno-narodowy przyszedł dość prędko, to o wiele trudniej mu szło z szukaniem rady na to głębokie zło narodowego ustroju. Posuwał on się w tym względzie naprzód powoli, stopniowo, skrępowany ogólnym nastrojem społeczeństwa, stanem myśli polskiej, która od czasu ostatniego powstania przestała uważać Żydów za społeczność obcą, uznała ich bądź za Polaków, bądź za materiał na Polaków.

5) Myśl demokratyczno-narodowa zaczęła od kwestionowania wartości tych nabytków, jakie naród polski pośród Żydów robił. Wskazała ona jako wielkie niebezpieczeństwo wewnętrzne, szybki napływ do polskiej sfery inteligentnej żywiołów niepolskich z ducha, owych „pół-polaków”, jak ich w artykule *Przełądu Wszechpolskiego* nazwano. Skutkiem tego napływu, skutkiem istnienia mnóstwa ludzi, którzy Polakami są tylko z imienia i z języka, a którzy wywierają silny wpływ na życie duchowe polskie – ta sfera społeczna, która powinna być mózgiem narodu, twórczynią i kierowniczką polskiej myśli, staje się coraz mniej polską, coraz bardziej duchowo od reszty narodu się oddala, coraz silniej popiera wszelkie dążenia, prowadzące do podkopania naszego narodowego bytu.

Nic może tak nie oburzyło innych w Polsce obozów na kierunek demokratyczno-narodowy, jak stwierdzenie tego właśnie faktu, tego pierwszorzędnego niebezpieczeństwa naszego narodowego bytu. Od chwili wyraźnego wypowiedzenia się w tym względzie, od lat mniej więcej dziesięciu, przeciwnicy, mówiąc o kierunku,

zaczynają już coraz częściej szafować wyrazem „antysemityzm”, w nadziei, że tym go moralnie zabiją. Rzecz szczególna, że w tym chórze nie zabrakło głosu organów, uważających się za konserwatywne, a broniących zawzięcie pozycji, zdobytej przez Żydów w naszym społeczeństwie.

6) W miarę, jak Żydzi, rosnąc w siłę, zaczęli się coraz bardziej otwarcie przeciwstawiać społeczeństwu polskiemu, żądać roli dla siebie w tym kraju, już nie jako dla Polaków, ale jako dla Żydów, którzy są i chcą pozostać tylko Żydami, sytuacja stawała się jaśniejsza.

Umożliwiła ona obozowi demokratyczno-narodowemu nie tylko uświadomienie sobie, ale wystawienie w przekonujący sposób całemu społeczeństwu tego wielkiego, najgroźniejszego właściwie dla naszej przyszłości niebezpieczeństwa, jakim jest niebezpieczeństwo żydowskie, polegające na ciągłym przyroście odsetka Żydów w naszym kraju, na niesłychanie szybkim wzroście ich siły ekonomicznej, na uzależnianiu tą drogą od żydostwa licznych żywiołów w społeczeństwie polskim, wreszcie na wrogich naszemu dobru dążeniach ruchu żydowskiego. Kierunek, któremu nie wystarczało stwierdzenie niebezpieczeństw narodowego bytu, ale który zawsze szukał na nie rady, i w tym wypadku wyciągnął konsekwencje praktyczne. Wyciągnął je późno, dopiero w ostatniej dobie, ale za to poszedł po obranej drodze śmiało, bez wahania, tworząc ruch, który dziś jest najwydatniejszym zjawiskiem naszego życia społecznego. Wyraża się ten ruch w dążeniu do szybkiego wzmocnienia mieszczaństwa polskiego przy współdziałaniu całego społeczeństwa, do pchnięcia naprzód rozwoju polskiego handlu, przemysłu i rzemiosł, do zredukowania liczby Żydów w kraju przez emigrację, wreszcie do izolowania duchowego życia polskiego od wpływów żydowskich.

Tak oto dwa największe niebezpieczeństwa wewnętrzne naszego narodowego bytu, wynikające z nienormalnej ewolucji społecznej narodu w ciągu ostatnich stuleci, z uwstecznienia jego budowy społecznej: nienormalnie głęboki przedział moralny i kulturalny pomiędzy ludem a warstwami oświeconymi narodu, oraz słabość polskości w miastach i rozrost w nich obcego, wrogiego społeczeństwa żywiołu – zostały wyraźnie stwierdzone przez myśl demokratyczno-narodową. Nie to wszakże jest ważne, że je ona stwierdziła, bo to czynili w mniejszej lub większej mierze i inni przedtem, ale to, że wpoila i pogłębiła ich poczucie w narodzie, że skierowała swe wysiłki ku szukaniu rady na nie, że zorganizowała czyn polski, prowadzący ku naprawie. I to jest jej dzieło historyczne. Walki codzienne, zabiegi o wpływy, chwilowe triumfy lub niepowodzenia – wszystko to przeminie i prędko zatre się w pamięci ludzkiej. Ale te dwie rzeczy pozostaną na zawsze jako słupy znaczące pochodź rozwojowy myśli i życia polskiego. Przyszły historyk narodu nie będzie mógł ich pominąć. Dlatego to powiedzieliśmy raz już wyżej, że jeżeli w życiu naszego narodu ostatnich czasów mamy zjawiska historycznej doniosłości, to są one dziełem przede wszystkim kierunku demokratyczno-narodowego.

Obok uwstecznionej a stąd wadliwej budowy społecznej jako drugie źródło słabych stron i niebezpieczeństw wewnętrznych naszego bytu wskazać należy psychikę

polityczną narodu. W związku z niekorzystną ewolucją społeczną ustrój polityczny Rzeczypospolitej w ostatnich stuleciach był fatalną szkołą polityczną: w niej wyrastał cały szereg pokoleń, wychowując w swej duszy braki, których dziedzictwo po dziś dzień na nas ciąży. Nie tu miejsce na szerokie motywowanie wpływu naszej przeszłości na obecny charakter polityczny naszego narodu. Musimy poprzestać na wskazaniu poszczególnych jego braków i niebezpiecznych ich konsekwencji, które myśl demokratyczno-narodowa, pracując bez przerwy, stopniowo sobie uświadamiała.

7) Brak energii politycznej, ospałość i bierność, sprawiająca, że Polacy umieją z założonymi rękami patrzeć na przebieg spraw, najdonioślejsze mających znaczenie dla ich przyszłości narodowej. Pozwalają oni obcym regulować bez przeszkody swe życie, przeprowadzać w nim najgłębsze zmiany, nawet wtedy, gdy mają całkiem legalną możliwość działania, gdy rozumna i wytrwała akcja ze strony polskiej mogłaby wiele zła usunąć i niemałą naprawę położenia osiągnąć. Z tym politycznym lenistwem wiąże się jedna znamienita właściwość psychiki politycznej polskiej, mianowicie oczekiwanie wielkich i prędkich skutków z małych wysiłków, i rozczarowywanie się, zniechęcanie, gdy te skutki natychmiast się nie zjawiają; a obok tego druga – niezdolność do przygotowywania faktu politycznego na dłuższą odległość, branie się do rzeczy, gdy już jest za późno, gdy za mało pozostaje czasu na wykonanie niezbędnej pracy.

Ten brak energii politycznej był od dawna jednym z głównych tematów, na których się zatrzymywała publicystyka demokratyczno-narodowa. Pisano na ten temat nawet całe książki, jak „Myśli nowoczesnego Polaka” – jedno z tych pism, które ściągnęły na obóz najwięcej napaści ze strony jego przeciwników.

8) Związana ściśle z powyższym brakiem skłonność do opierania przyszłości narodu nie na własnych wysiłkach, ale na jakichś podstawach zewnętrznych, od narodu niezależnych. Jedni, w szczególności żywiły konserwatywne, tę podstawę chętnie widzieli w życzliwości, w łaskawości dla nas czynników decydujących w państwach, jak gdyby nie zdając sobie sprawy, że polityką kieruje wszędzie nie sentyment taki czy inny dla kogoś, ale egoistyczny interes, państwowy czy narodowy. Ta właściwość polskiego umysłu politycznego już przed stu laty była źródłem wielkiego nieporozumienia pomiędzy Czartoryskim i Polakami w ogóle z jednej strony a polityką Aleksandra I z drugiej. Gdyby Czartoryski i jego współcześni zdolni byli oceniać politykę tego monarchy inaczej, niż ze stanowiska sentymentu, gdyby zdolni byli zrozumieć właściwe, kierujące nią motywy, gdyby zdali sobie sprawę z tego, że polityka ta wymaga od Polaków odpowiedniej, równoległej akcji – dzieje Polski porozbiorowej pewnie by się były potoczyły całkiem inną koleją. O wiele powszechniejszą jeszcze w Polsce jest skłonność do budowania przyszłości narodu na zwycięstwie jakichś oderwanych zasad sprawiedliwości powszechnej. Są ludzie, którzy w bliskie zwycięstwo tych zasad zdają się wierzyć. Należąc do narodu, który doznaje ciągle krzywd największych, całą swą energię zużywają na pouczanie go, żeby nikogo nie krzywdził, jak gdyby byli przekonani, że nasz naród najlepiej wyjdzie na tym, gdy będzie niewinną ofiarą wszystkich innych, gdy jego

dobro ciągle będzie rozdrapywane, a on sam będzie tylko skarżył się ciągle na swe krzywdy przed jakimś nie istniejącym, fikcyjnym trybunałem.

Z tymi zgubnymi, demoralizującymi politycznie naród skłonnościami kierunku demokratyczno-narodowy walczył od samego swego początku konsekwentnie, w licznych pismach. Najwydatniejszy wyraz ta walka znalazła w „Egoizmie narodowym” Balickiego”.

9) Ta właśnie skłonność wytwarzała dla Polski w ciągu całych jej dziejów porozbiorowych jedno z największych niebezpieczeństw, jakim było uzależnianie postępowania i losów narodu od organizacji międzynarodowych, jak wolnomularstwo lub później międzynarodówka socjalistyczna. Polacy rozumują często, że najlepszym zabezpieczeniem narodu jest oddanie go w opiekę jakiejś organizacji międzynarodowej, która cały świat ma według pewnych zasad urządzić. Nie zdają oni sobie sprawy z tego, że we wszelkiej organizacji międzynarodowej interesy narodów mniejszych i słabszych podporządkowane są interesom większych i silniejszych, że te słabsze, zwłaszcza naiwniejsze politycznie narody używane są tam za narzędzia do celów całkiem obcych ich dobru, ich interesom. Tak my przez całe XIX stulecie byliśmy tylko narzędziem cudzych planów, cudzych interesów, gdy nam się zdawało, że o swoją ojczyznę, o swoją wolność walczymy. Dla naszych czynnych porywów były wybierane nie te momenty, które dla nas były najprzyjaźniejsze, ale kiedy ten czyn innym dla ich interesów był potrzebny. Z krwi przez nas wylanej korzystała Francja, Belgia, Włochy – nam ona dała tylko bankructwo, tylko likwidację naszego historycznego dobra, tylko szybką degradację naszego narodu na poziom ludu, którego imię nawet rzekomi nasi dawniej protektorzy starają się dziś wymazywać.

Historia ostatnich czasów daje świeże przykłady, jak inne, słabe i naiwne narody na takiej opiece wychodzą. Oddała się np. pod nią Turcja, w której za sprawą organizacji wolnomularskiej powstał spisek młodo-turecki, wierzący, że przy pomocy swoich międzynarodowych protektorów odnowi ojczyznę i przywróci jej dawną świetność. Chwilowo nawet, po rewolucji tureckiej, można było mieć złudzenie, że nadzieje te zaczynają się ziszczać. Ale rezultat ostateczny nie dał długo na siebie czekać. Likwidacja Turcji, właśnie w dobie, kiedy młodoturcy oddali ją pod opiekę wolnomularstwa, poszła naprzód w szalonym tempie, i kto wie, czy nie będziemy świadkami rozbioru nawet jej posiadłości azjatyckich.

To niebezpieczeństwo uzależniania sprawy swego narodu od organizacji międzynarodowych i czynienia z niego narzędzia interesów cudzych dziś stało się jeszcze większym na skutek wzrostu w całym świecie potęgi Żydów, którzy w tych organizacjach pierwsze skrzypce grają. Żydzi, jako klasyczny „międzynaród”, z samej swojej natury społecznej są przeznaczeni do tego, żeby w organizacjach międzynarodowych rej wodzili; potęgą zaś ekonomiczną, jaką rozporządzają, daje im możliwość używania tych organizacji w swoim, żydowskim interesie. Przy pomocy łóż wolnomularskich rządzą oni też dzisiaj w coraz większym stopniu życiem wszystkich krajów. Wracając do przykładu, który

przytoczyliśmy, widzieliśmy, jak spisek młodoturecki wysunął Żydów salonickich do pierwszej w Turcji roli, jak pracował nad zwiększeniem wpływu tego żywiołu, któremu wszystko jedno jest, czy mieć uprzywilejowane stanowisko w Turcji, czy też pomagać rozbiorowi Turcji i zdobyć to samo stanowisko pod innymi rządami.

To samo się odnosi w znacznej mierze do organizacji socjalistycznych. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, w jakim stopniu nasze partie socjalistyczne są uzależnione od takichże partii sąsiednich, silniejszych narodów, jak umieją pod ich komendą pracować w ich interesie.

Gdybyśmy się umiejętniej przyglądali naszemu świeżej daty ruchowi powstańczemu w Galicji, dostrzeglibyśmy, że jest on mniej rodzimy, niż to się powierzchownie wydaje, że nie ostatnią jest w nim rola organizacji międzynarodowych, i że tak, jak naiwna młodzież idzie nieświadomie pod ich komendą, one znów same pod komendą obcą służą interesom cudzym, w danym razie przede wszystkim niemieckim.

Obóz demokratyczno-narodowy, który sobie postawił za cel stworzenie kierunku politycznego, wyrastającego z życia i potrzeb polskich, będącego samodzielny wytworem myśli polskiej, który walczył zawsze z bezkrytycznym, zabójczym dla nas naśladownictwem obcych w polityce wzorów, tym bardziej musiał stać się przeciwnikiem jakiegokolwiek uzależniania polityki polskiej od organizacji obcych, międzynarodowych, tym bardziej dziś, kiedy dla ratowania elementarnych podstaw swojej przyszłości musimy, nie oglądając się na to, co tam ktoś o nas powie, jak nas obcy sądzić będą, pracować konsekwentnie nad osłabieniem wpływu żydostwa na nasze życie – uzależnianie się jakiegokolwiek od organizacji obcych, od wpływów międzynarodowych, z punktu widzenia kierunku demokratyczno-narodowego równa się narodowej zdradzie. To jego stanowisko odgrywa doniosłą, pierwszorzędną rolę w stosunku do pewnych u nas kierunków i obozów politycznych.

Część trzecia
Polityka polska i „polityka realna”

I. Zagadnienie patriotyzmu polskiego

We wszystkich krajach spotykamy na widowni politycznej mnóstwo ludzi, dla których pobudką do politycznego działania jest bądź interes osobisty, bądź interes jakiejś grupy, bądź też bardziej oderwany cel sekty, przeciwstawiającej się w swych dążeniach narodowi, jako całości. Ludzie ci wszakże działają, często wbrew swej woli, na korzyść narodu, bo potężna organizacja państwowa, jaką naród ma na swe usługi, zaprzęga ich, zmusza do służby narodowemu dobru. Organizacja ta pozwala z pożytkiem dla narodowej sprawy używać nawet ludzi pozbawionych wszelkich idealniejszych pobudek, nawet cynicznych kondotierów.

Polska, pozbawiona własnej organizacji państwowej, ma bardzo słabe środki zmuszania ludzi do służby narodowemu dobru. Najgłówniejszym z nich jest opinia publiczna, która nie zawsze zdolna jest wykazać potrzebną siłę. To też egoizm jednostki, wolny od wszelkich względów idealnych, w położeniu, w jakim nasz naród się znajduje, popycha ją raczej do działania wbrew narodowemu dobru, na szkodę narodu. Nawet egoizm oddzielnych grup czy klas społecznych miewa silne pokusy do pójścia w tym samym kierunku. Dlatego to w naszym położeniu politycznym działaczy politycznych trzeba mierzyć o wiele surowszą, niż gdzie indziej, miarą moralną, trzeba bardzo pilnie strzec tego, ażeby nie dostawali się do zbyt wielkiego wpływu politycznego ludzie, kierujący się wyłącznie interesem osobistym lub nawet interesem partykularnym jakiejś grupy społecznej. Zbyt szerokie rozparcie się na widowni naszego politycznego życia takich ludzi zagrażałoby niebezpieczeństwem całkowitego zaniku narodowej myśli w naszej polityce, doprowadziłoby do tego, że polityka polska służyłaby wszelkim interesom, tylko nie polskim. Politykę polską w naszych warunkach można budować tylko na silnym, głębokim poczuciu narodowym, na zdolnej do osobistych poświęceń miłości ojczyzny, na patriotyzmie.

Już samo takie postawienie rzeczy nastęrcza ogromne trudności. Kontrola moralna ludzi w działaniu publicznym jest rzeczą niesłychanie skomplikowaną, bardzo łatwo jest popełniać w niej błędy i dopuszczać się nadużyć, z drugiej zaś strony liberalizm, jaki w tym względzie panuje w innych krajach, wpływa i na nasze społeczeństwo, wywołując bunt, oburzenie przeciw zbyt surowym wymaganiom moralnym. Na tym wszakże trudności się nie kończą, sam bowiem patriotyzm polski ma niektóre właściwości, czyniące go dla sprawy narodowej niebezpiecznym.

Elementarne poczucie narodowe, im jest głębsze i silniejsze, tym jest więcej warte; miłość ojczyzny, im gorętsza, tym większą stanowi cnotę obywatela. Ale patriotyzm jest to już miłość ojczyzny, wychowana politycznie w pewnym kierunku, i wartość jego zależy od tego, jaki kierunek to wychowanie mu nadało. O naszym zaś narodzie polskim z całą słuszością można powiedzieć, że poczucie narodowe jest u nas silniejsze może, niż gdzie indziej, gorętsza, niż u innych narodów, miłość ojczyzny, ale polityczna postać, jaką ta miłość przybiera – nasz patriotyzm jest wyjątkowo źle wychowany.

Sprawił to nieszczęsny ustrój naszego państwa w ostatnich stuleciach jego istnienia.

Przesadne swobody, którymi ten ustrój obdarzał świadomą i myślącą część narodu, brak rządu, brak przymusu, brak surowej odpowiedzialności za działanie przeciw publicznemu dobru – wychował u nas typ patriotyzmu, który jest przywiązaniem do swobód, poczuciem praw narodowych, ale w którym brak silnego poczucia obowiązku względem ojczyzny, poczucia odpowiedzialności za swoje czyny, brak karności, zdolności do stałej, służby, do ponoszenia ciężarów na rzecz ojczyzny, do poświęceń, z wyjątkiem momentów szczególnego podniecenia. Polak uczuciami swoimi bardzo nawet przywiązany do ojczyzny, umie się zachowywać praktycznie tak, jakby go losy jej nic nie obchodziły. W chwilach zaś wyjątkowych, gdy ważne wypadki budzą go do czynu, czyn jego nie jest kontrolowany przez własną myśl, przez osobiste sumienie, nie wynika z jego własnego poczucia, że to, co robi, jest dobre lub złe dla narodu; jego patriotyzm polega na tym, żeby robić to, co jest przez innych uważane za patriotyczne, bez względu na to, jakie to skutki dla sprawy narodowej za sobą pociągnie. Stara się on działać tak, żeby za swe czyny nie ponosić odpowiedzialności osobistej, ta mu jest za ciężką, woli odpowiedzialność zbiorową. Jest to niesłychanie niebezpieczna właściwość naszego patriotyzmu, właściwość, z którą się trzeba na długo liczyć, bo grozić nam ona będzie dopóty, dopóki społeczeństwo nie posunie się więcej naprzód w swym moralnym rozwoju, dopóki się nie wychowa w nim silniejsze poczucie odpowiedzialności osobistej. Brak tego poczucia, nie już u ludzi przeciętnych, ale u wyjątkowych nawet, u stojących na czele narodu w najważniejszych chwilach, był jednym z głównych źródeł naszych klęsk narodowych. Sprawiał on, że polityka nasza była pozbawiona steru, który może być tylko dziełem silnej myśli i woli indywidualnej, że rządziła nią psychologia masy, co czyniło z niej łatwe narzędzie interesów i intryg obcych.

Dzieje porozbiorowe wychowały w naszym patriotyzmie inną niebezpieczną stronę. Cierpienia narodu w niewoli, tym silniejsze, że naród ten był wychowany w nadmiernych swobodach, wyźłobiły w duszach tak silną nienawiść do bezpośrednich sprawców tych cierpień, że nienawiść ta u wielu zapanowuje nad miłością ojczyzny. Wyrósł gatunek ludzi, uważających się za najgorętszych patriotów, którzy żyją jedynie myślą zrobienia czegoś złego wrogom ojczyzny, chociażby ojczyzna własna miała wielkimi stratami za to zapłacić. Otóż taki patriotyzm, który myśli przede wszystkim o zemście na wrogu, nie zaś o pożytku własnego narodu, jest niesłychanie groźnym niebezpieczeństwem, bo stanowi prostą drogę do narodowego samobójstwa. Kierowana nim polityka przestaje być polityką polską: rozgląda się ona tylko za wrogami swoich wrogów, ażeby się im wysługiwać, kosztem własnej ojczyzny oddać się im za narzędzie.

Z tym gatunkiem patriotyzmu trzeba się także jako ze stałym faktem liczyć, bo nasze położenie polityczne i ciężkie próby, jakie duch nasz w nim przechodzi, dostarczają mu ciągłego pokarmu, a z drugiej strony potężne czynniki zewnętrzne celowo go

podsycają. Nie tak to dawno nienawiść do Niemców w zaborze pruskim, biorąc górę nad miłością własnego narodu, znalazła swe odbicie w prądzie rusofilskim, który, ma się rozumieć, był mile widziany przez Rosję. Dziś znów Niemcy otwarcie się cieszą, gdy widzą w pewnych kołach polskich taką nienawiść do Rosji, że pod jej falą znika uczucie i myśl polska, skutkiem czego ludzie gotowi są rzucić się w objęcia Niemiec i pogrążając własną sprawę narodową, oddać się im za narzędzie.

Przed ludźmi, usiłującymi organizować politycznie społeczeństwo polskie pod koniec ubiegłego stulecia, leżały trzy drogi:

1. albo odwoływać się do patriotyzmu, szukać w nim oparcia, biorąc go takim, jakim jest, podsycać go nawet w jego złych stronach, bez względu na to, z jakim to będzie skutkiem dla narodowej sprawy;
2. albo wystąpić z nim do walki, gromić jego zdrożności, czynić go odpowiedzialnym za wszystkie narodowe klęski, bronić swe własne szeregi od zapału patriotycznego jako od największego niebezpieczeństwa;
3. albo wreszcie, uznając z jednej strony, że polityka polska tylko na silnym gruncie patriotycznym może być zbudowana, z drugiej zaś widząc te niebezpieczeństwa, jakie wynikają ze złego wychowania politycznego naszego patriotyzmu – oprzeć się mocno na patriotyzmie, ale zając względem niego stanowisko nie bierne, lecz czynne, nie schlebiać i nie poddawać się jego złym stronom, jeno pracować nad jego wychowaniem, oczyszczać go z wad i kształcić w nim zalety, do jakich daje podstawę zdrowe poczucie narodowe i szczerą, gorącą miłość ojczyzny, stanowiące niewątpliwe właściwości naszego narodu.

Pierwsza droga jest najmniej politycznie dojrzała, bądź najmniej sumienna, druga – najbardziej krótkowidząca, trzecia – najtrudniejsza, największego wymagająca wysiłku myśli i gorliwej pracy.

Pierwszą z tych dróg, do której ostatnie powstanie poważniejszą opinię społeczeństwa bardzo zniechęciło, która jednak w szerszych kołach natrafiała na grunt wcale podatny, próbowali iść demokraci galicyjscy w swej walce z konserwatystami, później zaś rozmaite żywioły radykalne, nie wyłączając socjalistów, gdy spostrzegli, że propaganda czysto klasowa, kosmopolityczna natrafia na silny opór w naszych masach. Zwłaszcza w ostatnich czasach wygrywanie bezkrytycznego, ślepego patriotyzmu, schlebianie jego słabym, niebezpiecznym stronom stało się powszechnym sposobem drobniejszych, słabszych grup politycznych, u jednych, mniej dojrzałych umysłowo, z dużą dozą szczerości, u innych, mniej sumiennych, z cynizmem. Pod pokrywką hasel patriotycznych, frazesów, przelicytowujących wszystko i wszystkich, przemycą się do niekrytycznych żywiołów społeczeństwa najszkodliwsze, najbardziej przeciwnarodowe dążenia lub czyni się wysiłki ku zaspokojeniu najbardziej niezdrowych ambicji.

Drugą drogę, wybrali swego czasu konserwatyści krakowscy, tzw. stańczycy, a za nimi w pewnej mierze poszli po tej drodze i konserwatyści Królestwa. Wytworzył się w tych kołach rodzaj pogardy, obejmujący u inteligentniejszych ludzi wady naszego patriotyzmu, zbyt szeroko zresztą pojęte, u mniej inteligentnych zaś – wszelki gorętszy przejaw poczucia narodowego, miłości ojczyzny. Przykazaniem snobizmu polskiego stało się okazywanie przesadnej powściągliwości w uczuciach narodowych, co u ludzi, dla których dobry ton, zapatrywanie się na wyższych, jest jedynym prawie przykazaniem moralnym, pociągnęło za sobą daleko idącą demoralizację narodową.

Po trzeciej wreszcie drodze poszedł w swoim rozwoju kierunek demokratyczno-narodowy.

II. Patriotyzm a trzeźwość

Kierunek demokratyczno-narodowy, wyszedłszy z założenia, że tylko na szczerym, gorącym patriotyzmie można budować politykę polską, szukał od samego początku żywiołów najbardziej patriotycznych w społeczeństwie, by je skupić pod swoim sztandarem. Zgromadził też w swoich szeregach żywioły najgorętsze narodowo, żywioły przede wszystkim młodsze, energiczniejsze, posiadające więcej zapału i gotowości do ofiarnej pracy. Patriotyzm tych pierwszych szeregów kierunku był takim, jakim go zrobiła nasza polityczna przeszłość i nowe warunki politycznego bytu. Miał on zatem swe tradycyjne słabe lub niebezpieczne strony – to było nieuniknione – ale miał zdrowe podstawy w mocnym poczuciu narodowym, w gorącej miłości ojczyzny, w wysokim poziomie moralnym ludzi. Te właśnie zdrowe podstawy dawały nadzieję, że przy głębszej pracy, przy gruntowniejszej analizie naszej przeszłości oraz współczesnego naszego położenia wewnętrznego i zewnętrznego przy umiejętnym zużytkowaniu doświadczeń politycznych, patriotyzm ten będzie się pogłębiał w swoich pojęciach, kształcił, oczyszczał z wad, zdobywał nowe zalety. Tej pracy wewnętrznej w młodym kierunku było wiele. Gdyby ci, co stali od niego na boku, umieli byli patrzeć, widzieliby ją od samego początku i byłiby zrozumieli, że obóz demokratyczno-narodowy jest właśnie tym warsztatem myśli, w którym się wyrabia przyszła polityka polska.

Tego wszakże nie widziano. Najmniej zaś widzieli konserwatyści, dla których zrozumienie pracy obozu demokratyczno-narodowego było rzeczą najważniejszą, o ile im istotnie chodziło o uratowanie w życiu społeczeństwa z zasad konserwatywnych tego, co się da uratować. Bo przecież to chyba nie ulega żadnej wątpliwości, że najlepsze pierwiastki konserwatyzmu, które uczciwemu konserwatyście winny być najdroższe, nie w liberalno-kosmopolitycznych prądach znajdują podtrzymanie, ale jedynie w silnym prądzie narodowym, opartym na przywiązaniu do przeszłości i stawiającym sobie za jeden z najgłówniejszych celów wzmocnienie więzów budowy społecznej narodu oraz walkę z prądami rozkładowymi.

Zorientowanie się w tym dla konserwatystów polskich – mówimy ciągle o szczerych konserwatystach – było wprost kwestią ich bytu jako kierunku politycznego. Konserwatyzm szczerzy, świadomy swoich celów, miał jedną tylko drogę: uznać, że prąd, zwany demokratyczno-narodowym, jest mu najbliższy ze wszystkich kierunków myśli politycznej polskiej, że w walce, jaka się toczyła i toczy o przyszłość życia politycznego Polski, jego miejsce jest po stronie tego kierunku i dążyć do wytworzenia szczerego, uczciwego stosunku z obozem demokratyczno-narodowym, stosunku opartego na wyraźnym stwierdzeniu tego, co oba kierunki mają wspólnego i czym się różnią. Nie było to nawet praktycznie trudne, bo po pierwszym okresie ostrej walki między obu obozami, w organach demokratyczno-narodowych wyraźnie zaczęło się uwydatniać dążenie do zbliżenia z żywiołami, reprezentującymi po tamtej stronie istotny, szczerzy, prawdziwie polski konserwatyzm.

Na to wszakże trzeba było, ażeby konserwatyści polscy, ci co istotnie na to miano zasługiwali, byli żywiołem bardziej świadomym siebie, głębiej myślącym politycznie, więcej samodzielny. Tak zaś nie było. Grzechem pierworodnym konserwatyzmu polskiego w Królestwie było to, że wyrósł on z bezkrytycznego naśladownictwa partii krakowskiej. Ona go zaraziła przede wszystkim swymi ambicjami, swą żądzą niepodzielnej władzy w społeczeństwie, aspiracjami w naszym kraju nieziszczalnymi, wobec wspomnianych już wyżej głębokich różnic w ustroju społeczeństwa i położeniu politycznym dwóch dzielnic. Ona mu też narzuciła swój wstręt do gorętszych przejawów patriotyzmu i swą manię szukania wszędzie spisków i powstańczych przygotowań. Patrząc przez nałożone z Krakowa okulary, konserwatyści Królestwa widzieli z jednej strony w ruchu demokratyczno-narodowym tylko partyjnego współzawodnika, tylko samozwańczego współubiegacza o władzę w społeczeństwie, która im się przecież należy z tego tytułu, że ich duchowi kuzyni mają tę władzę w Galicji; z drugiej zaś strony w patriotyzmie młodego kierunku widzieli tylko niebezpieczeństwo dla kraju, sugerowali się bezmyślnym strachem przed jakąś nową katastrofą narodową, nie umieli dostrzec i zrozumieć całej twórczej pracy, jaką myśl narodowa prowadziła w tym młodym obozie.

To ich zdegradowało jako partię, a co ważniejsze to zgubiło w szybkim tempie myśl konserwatywną w ich szeregach. Bezkrytyczne boczenie się od gorętszych przejawów patriotyzmu, mania strachu przed urojonym niebezpieczeństwem nowych katastrof narodowych, grożących z podniecenia patriotycznego, rzuciła ich w objęcia żywiołów, w których widzieli „trzeźwość”, a które reprezentowały liberalne doktrynerstwo, żywiące wstręt do silniejszych przejawów poczucia narodowego, lub nawet narodową obojętność. Przede wszystkim, jak już wspomnieliśmy, związali się z liberalną, daleką od wszelkiej myśli konserwatywnej grupą petersburską, wytworzyli obóz, ochrzczony przez ogół niewłaściwym mianem „ugodowców”, a następnie przy tym obozie zaczęły się czepiać wszelakie żywioły, którym kodeks patriotyczny zanadto ciążył, dla których komfortu życiowego niezbędne było rozluźnienie karbów opinii obywatelsko-polskiej. Te żywioły, co prawda, niedługo popasały, schowały się one prędko, gdy tylko spostrzegły, że kariera partii jest gorzej, niż wątpliwa.

Tak wytworzony obóz „konserwatywno-liberalny”, w którym konserwatyści dawali przede wszystkim liczbę, a żywioły liberalne – energię i spójność organizacyjną, stanął w stosunku konsekwentnej walki z rosnącym szybko obozem demokratyczno-narodowym.

Zmysł partyjny, przeniesiony z Krakowa i wzmocniony przez kierujących właściwie obozem ludzi szkoły spasowiczowskiej, dyktował jedną przede wszystkim, bardzo praktyczną, ale bardzo niekonserwatywną zasadę: wobec tego, że obóz demokratyczno-narodowy jest w kraju najsilniejszy, partia nasza może się utrzymać przy wpływie, tylko popierając jego przeciwników bez względu na ich barwę, na charakter ich dążeń.

Przed rosyjskim kryzysem państwowym r. 1905 tzw. postępowe żywioły naszego społeczeństwa nie miały jeszcze fizjonomii politycznej i obozu politycznego nie tworzyły. Wobec tego, poza „narodowcami” i „ugodowcami”, jedyną czynną siłą polityczną w kraju byli socjaliści, z pośród których wysuwała się na front Polska Partia Socjalistyczna. Ta wówczas weszła była właśnie w okres nawiązywania do tradycji polskiej polityki emigracyjnej i rozwijała w swych pismach program powstańczy. W braku czego innego publicystyka „ugodowa” postanowiła wejść na drogę popierania socjalistów przeciw obozowi demokratyczno-narodowemu.

Uczyniła to od razu z wielkim rozmachem i determinacją przez ogłoszenie grubego tomu pt. „Nasze Stronnictwa skrajne”, Scriptorum. Nad tą publikacją warto się bliżej zastanowić, gdyż stanowi ona ważny moment w stosunku dwóch obozów i w karierze konserwatyzmu polskiego w Królestwie.

III. Scriptor

W latach 1902 – 1903 ukazały się dwa obszerne tomy jako początek serii „Materiałów i myśli politycznych”. Pierwszy nosił tytuł „Nasza młodzież”, drugi „Nasze Stronnictwa skrajne”. Na obu tomach figurował autorski pseudonim Scriptor², oba były związane jedną tendencją, oba opracowane i wydane wielkim nakładem oraz rozsyłane za darmo w tysiącach egzemplarzy po wszystkich dzielnicach Polski.

Tendencja tego wydawnictwa głównie się wyraziła w tomie drugim. Pod nazwą stronnictw skrajnych mówił on o stronnictwie demokratyczno-narodowym i o socjalistach, w szczególności o Polskiej Partii Socjalistycznej. Celem tego wydawnictwa było dowieść ogółowi polskiemu, że ruch demokratyczno-narodowy przedstawia dla kraju niesłychane niebezpieczeństwo, że grozi mu nowymi katastrofami w rodzaju roku 63, że właściwie jest to ruch w założeniach swoich powstańczy, że znacznie mniejszym złem jest agitacja socjalistów, co do której obawy ogółu są raczej przesadzone. Dla udowodnienia swej tezy autor użył najbardziej przekonującej dla naiwnych, ale zarazem największe przedstawiającej pole do nadużyć metody, mianowicie skleił główną część swego utworu z cytatów.

Cytaty te świadczyły o bardzo skrzętnym zebraniu materiału, o rozczytaniu się w całej publicystyce stronnictwa, a jednocześnie o niesłychanej bezceremonialności, z jaką autor ważne rzeczy chował, a głupstwa bez znaczenia wysuwał na front ze świadomym celem wprowadzenia w błąd czytelnika.

To, co w publikacjach stronnictwa występowało jako podstawa kierunku narodowego, podawał on niewytrawnemu, nieumiejącemu ściśle myśleć czytelnikowi jako punkty programu praktycznego, ideał niepodległości utożsamiał z praktycznym programem powstańczym, ułatwiał sobie zadanie przez przemilczanie najpoważniejszych wynurzeń publicystyki demokratyczno-narodowej, a natomiast sypał pełną garścią cytaty z przemówień i artykułów niedojrzałych studentów, nie dorosłych jeszcze do zrozumienia istoty kierunku lub z utworów starego emigranta³, przechowywanego w obozie narodowym jako szanowna pamiątka przeszłości.

Czytelnik polski, zwłaszcza gdy chodzi o politykę, lubi mieć danie gotowe, nie zagłębia się w to, z czego i w jaki sposób je przyrządzono. Zwłaszcza czytelnik

² Autorem publikacji był Erazm Piltz (1851-1929) – współzałożyciel tygodnika *Kraj*, jeden z głównych publicystów środowiska konserwatywno-ugodowego. [redakcja]

³ Chodzi zapewne o działającego na emigracji pułkownika Zygmunta Miłkowskiego (1824-1915) znanego też pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż – założyciela konspiracyjnej Ligii Polskiej przekształconej potem w Ligę Narodową na czele której stanął Roman Dmowski, Zygmunt Balicki i Jan Ludwik Popławski. [redakcja]

konserwatywny, sugestionowany swym rozumem i dojrzałością polityczną, z rozkoszą czytał „dokumenty” świadczące, że on sam tylko jest mądry w Polsce. Przyjął więc z dobrą wiarą i ze smakiem spożył potrawę, którą mu p. Scriptor tak artystycznie spreparował. Utwierdził się w przekonaniu, że demokracja narodowa – to szaleńcy, głupcy polityczni, którzy niczego się nie nauczyli i świadomie nowe powstanie, nową katastrofę krajowi gotują.

Nie tak łatwo byłoby mu tę opinię narzucić, gdyby sam na własną rękę umiał się w program demokratyczno-narodowy wczytać i jego dążenia zrozumieć, gdyby znał poważniejsze publikacje młodego obozu. W nich nie brakowało wyraźnych wypowiedzi, które jak najbardziej kategorycznie zadawały kłam twierdzeniom p. Scriptora. Wystarczy jeden dobry przykład.

Już w początku roku 1898, w wydawanym przez krótki czas przez stronnictwo demokratyczno-narodowe we Lwowie Kwartalniku naukowo politycznym i społecznym ukazał się artykuł, podpisany literą D.⁴ pt. „Szkice polityczne z zakresu kwestii polskiej. I. Ogólny rzut oka na sprawę polską w chwili obecnej”, który jasno całkiem ducha polityki narodowej, tak jak ją rozumiało stronnictwo, określał. W artykule tym czytamy taki oto niedwuznaczny ustęp (Kwartalnik naukowo-polityczny i społeczny Lwów, 1898, zeszyt II, s. 26):

„Kwestia polska, jako kwestia międzynarodowa, nigdy nie miała tak małego znaczenia, jak w chwili obecnej. Jest to nie tylko rezultat zmian we wzajemnym stosunku między wielkimi mocarstwami, ale także, i to przede wszystkim, przeobrażeń politycznych w samym społeczeństwie polskim, dla którego okres zbrojnych walk o niepodległość już należy do przeszłości. Fakt ten trzeba wyraźnie stwierdzić, na stwierdzenie to trzeba położyć nacisk, nie tylko z potrzeby przedmiotowego uznania prawdy, ale i ze względów praktycznych. Zarówno jednostka ludzka, jak naród, poszukujący drogi do poprawienia swej doli, tym więcej ma widoków na znalezienie właściwej, im bardziej się pozbywa złudzeń co do kierunków, w których nic już zyskać nie można”.

Jasne, nieprawda? To jest język polityczny, którym dziś przemawiamy, którego dziś czasami także używają tzw. realiści, usiłujący kontynuować żywot konserwatystów ubiegłej doby. Tym językiem przemawiali kierownicy ruchu demokratyczno-narodowego już przed piętnastu laty. I tych ludzi przedstawiono bezkrytycznym, jeżeli nie powiedziec bezmyślnym konserwatystom polskim, jako spiskowców, przygotowujących powstanie. Można by śmiać się do rozpuku z naiwności ludzkiej, gdyby nie należało załamywać rąk nad lenistwem myśli polskiej.

⁴ Autorem skrywającym się pod tym pseudonimem jest nie kto inny jak sam Roman Dmowski. [redakcja]

Uwierzył wtedy ogół konserwatywny w straszne niebezpieczeństwo, jakim grozi krajowi ruch demokratyczno-narodowy, tym bardziej zaś się zląkł, że mu przedstawiono, jakie to już dziś oburzenie na Polaków musi wywołać ten ruch w sferach rządowych i jaką niełaskę tych sfer na kraj ściąga. Co innego socjaliści. Socjaliści są we wszystkich krajach, są i w Rosji, więc rząd nie może mieć do nas pretensji, że i my tę partię mamy u siebie. Podsunęto znów bezkrytycznym ludziom doktrynę, dogodną dla tych, co konserwatyzm polski wzięli w kuratelę, doktrynę, mówiącą, że wszelki ruch obcy, z silniejszym lub słabszym zabarwieniem kosmopolitycznym, jest dla kraju mniej niebezpieczny od kierunków narodowej myśli, bo za taki ruch rząd nie może mieć do naszego narodu specjalnej pretensji i nie może zań karać. Bardzo łatwo było narzucić taką niedorzeczną, z polskiego stanowiska nikczemną doktrynę ludziom, którzy mieli oczy zwrócone tylko na rząd, a nie umieli się głębiej zainteresować tym, co się dzieje w kraju, w jakim kierunku pójdzie rozwój wewnętrzny własnego narodu.

Tak został przygotowany sojusz konserwatyzmu polskiego z wszelką robotą rozkładową, mniej lub więcej kosmopolityczną, z ducha swego radykalnie lub umiarkowanie masońską, przeciw szczerym, wyraźnym dążeniom narodowym. Tak uśpiono ich sumienie, znieczulono je na rozmaite plugastwo, zatruwające naszego narodowego ducha, dezorganizujące nasz byt społeczny i wreszcie podcinające sam konserwatyzm w korzeniach.

*Quos Iuppiter perdere vult, dementat prius*⁵. Widocznie Bóg nie chciał zguby konserwatyzmu polskiego, bo dał mu możliwość otwarcia oczu na prawdę i przyjscia do rozumu.

W niespełna rok po ukazaniu się ryzykownej mistyfikacji Scriptora wybuchła wojna rosyjsko-japońska, którą socjaliści uznali za okazję do rzucenia kraju w odmet ruchu powstańczego, jak z początku zamierzali, a następnie, gdy im się to nie udało, polsko-rosyjsko-żydowskiej rewolucji. Obóz demokratyczno-narodowy od pierwszej chwili wystąpił stanowczo przeciw wszelkim zakusom ruchu powstańczego czy rewolucyjnego i z poświęceniem bronił kraju przed zalewem anarchii. Pod tym względem nie było w obozie żadnych wahań i być nie mogło wobec wyraźnego, ustalonego kierunku jego politycznej myśli.

Tu już konserwatyści polscy nie mieli potrzeby rozczytywania się w politycznej literaturze i głębszego myślenia – życie samo przyniosło im bijące w oczy fakty, które mówiły, że zostali przez p. Scriptorą oszukani. Mnóstwo też ludzi pod wpływem tych faktów odwróciło się od grupy, na którą spadała odpowiedzialność za kłamliwą publikację. Ale koncentrującym się w Kieleckim i Radomskim wiernym synom szkoły krakowskiej i to nie wystarczyło. Ich guwernerzy polityczni wytłumaczyli im, że to nie

⁵ (łac.) „Kogo Jowisz chce zgubić, temu wpierw rozum odbiera” [redakcja]

Scriptor ich oszukał, nie oni w niedorzeczny sposób pojmowali położenie wewnętrzne kraju, tylko tamci, demokracja narodowa, w ostatniej chwili nauczyli się od nich rozumu politycznego i w niezdarny sposób ich mądrą politykę naśladowali. To było przecież przyjemniejsze, to schlebiało wierze we własną nieomyślność, tej wykształconej przez Kraków zarozumiałości, to pozwalało z nadętą powagą poklepywać przeciwników po ramieniu: a no, uczycie się od nas rozumu politycznego...

Tak oto, gdy już legenda o powstańczych planach demokracji narodowej musiała być pogrzebana, zdemoralizowany wewnętrznie i zdegradowany w społeczeństwie konserwatyzm naszego kraju, zamiast ujrzeć własne błędy, zerwać ze swymi fałszywymi pojęciami, utwierdzał się tylko w zarozumiałości i pobierał od swych guwernerów lekcje patrzenia na demokrację narodową jako na swych lichych uczniów. Nic dziwnego – szlachcic polski od dawna się uczył siedzieć w ręku faktora, który mu schlebia i który go oszukuje.

IV. „Narodowcy” i „ugodowcy” w czasie rewolucyjnym

Doba przełomu, okres wojny rosyjsko-japońskiej, wstrząśnienia rewolucyjnego w całym ustroju państwowym Rosji, jako początek nowej ery naszego życia politycznego, jest zarazem początkiem dziś istniejących, jawnych i zorganizowanych stronnictw. Istniejące przedtem obozy polityczne bądź nieujęte w żadną organizację, bądź zorganizowane tajnie, wystąpiły jako formalne stronnictwa, obok nich zaś powstały stronnictwa nowe. Dla zrozumienia dzisiejszego układu naszych wewnętrznych stosunków politycznych ważną jest rzeczą zatrzymać się przez chwilę na tej dobie przełomowej i przyjrzeć, jak się w niej zachowywały interesujące nas obozy.

Demokracja narodowa, natychmiast po wybuchu wojny, wyraźnie określiła swoje stanowisko. Pojęła ona położenie międzynarodowe w ten sposób, że wojna na Dalekim Wschodzie pozostanie zlokalizowaną, że w Europie żadnych konfliktów ani żadnych zmian granic za sobą nie pociągnie: co zaś do położenia w państwie, to przewidywała na równi ze wszystkimi wybuch ruchu rewolucyjnego, ale na podstawie tej znajomości Rosji, jaką posiadała, była pewną, że rewolucja rządu nie złamie, jeno przezeń będzie złamana. Natomiast przypisywała duże znaczenie ujawniającemu się już na parę lat przedtem silnemu niezadowoleniu z systemu rządów wśród umiarkowanych kół społeczeństwa i przewidywała stąd poważne reformy w ustroju państwowym, pociągające za sobą korzystną zmianę w położeniu naszego narodu. Wobec tego uważała, że dla społeczeństwa polskiego, dla polskiej polityki jedynie korzystna w tym położeniu rzeczy może być postawa wyczekująca. Wystarczało na razie, w przekonaniu kierowników obozu, bacznie obserwować bieg wypadków w państwie i co najwyżej nawiązywać w nim stosunki, szukać sprzymierzeńców na moment, kiedy Polakom otworzy się pole na gruncie państwowym do politycznego działania.

W tym wszakże planie politycznym, opartym na słusznej, ale jednostronnej orientacji, był jeden gruby błąd. Nie zorientowano się mianowicie co do stanu wewnętrznego społeczeństwa, obliczono zbyt skromnie ilość materiału wybuchowego w tym społeczeństwie, nie doceniono siły żywiołów rewolucyjnych i anarchistycznych. Znadto po akademicku uplanowano sobie pozycję wyczekującą, nie zbadawszy ściśle, czy ona jest możliwa, czy pozwoli na nią stan umysłów w społeczeństwie i nastrój mas, podniecanych wypadkami zewnętrznymi i agitacją wewnętrzną. Działacze demokratyczno-narodowi, pracujący głównie na wsi, wśród ludu włościańskiego, a obok tego w pewnych tylko, zamkniętych kołach inteligencji, za mało znali miasta i ogniska przemysłowe, nie dość byli poinformowani o tym, co się tam przygotowuje, a przy tym za mało się liczyli z prawami psychiki mas, działającymi w czasach rewolucyjnych.

Był to, powiadamy, wielki błąd, który srodze się pomścił zarówno na kraju, jak na samym obozie. Gdy demokracja narodowa wyczekiwała, partie rewolucyjne tymczasem przygotowywały silny ruch, który w następstwie poważnie się dał we znaki krajowi. Natomiast trzeba stwierdzić, że z chwilą, kiedy siła ruchu rewolucyjnego mniej więcej się

ujawniła, obóz demokratyczno-narodowy szybko się przerzucił do roli czynnej i rozwinął energiczną działalność. Plan tej działalności wyszedł z dwóch założeń: wobec tego, że rewolucja w państwie na pewno będzie zgnieciona, im większy zakres obejmie ruch rewolucyjny w naszym kraju, tym szersze przybierze rozmiary klęska, pogrom kraju, a co za tym idzie wyczerpanie sił i upadek ducha w społeczeństwie, właśnie w momencie, kiedy zmiany w państwie otworzą nam pole do politycznego działania; ruch rewolucyjny, w którym wzięły górę pierwiastki niepolskie, wrogie naszemu społeczeństwu, przede wszystkim Żydzi – którzy nabrali dziwnie wojowniczego ducha – przybrał charakter walki nie tylko z rządem, ale i ze społeczeństwem, zaczął szerzyć zniszczenie, rozstrój życia, rozkład sił społecznych i ekonomicznych kraju. Z tych założeń wychodząc, demokracja narodowa przeciwstawiła się bez wahania ruchowi rewolucyjnemu, wstąpiła z nim w walkę zaciętą.

Obóz demokratyczno-narodowy w swej literaturze politycznej zawsze stał na stanowisku, że za to, co się dzieje w kraju, całe społeczeństwo jest odpowiedzialne. Gdy publicyści konserwatywni gromili powstanie 63 roku, oskarżali spiskowców i młodzież o zgubę sprawy narodowej – pisma demokratyczno-narodowe odpowiadały na to, że, jeżeli kraj spotkała klęska, to winni są jej zarówno ci, którzy powstanie wywołali, jak ci, którzy nie umieli mu przeszkodzić, choć klęskę przewidywali. Obóz, który takie zajmował stanowisko, który tak pojmował odpowiedzialność wobec narodu, nie mógł biernie się przyglądać działaniom rewolucyjnym i narzekać, że ci lub inni kraj gubią, ale musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby im w tej zgubnej robocie przeszkodzić.

Demokracja narodowa podjęła tu zadanie niesłychanie trudne. Gromadzić siły do walki z ruchem rewolucyjnym w kraju, w którym przecież społeczeństwo po stronie rządu nie stoi, mieć w tej walce przeciw sobie nie tylko szeregi rewolucyjne, ale i organy rządu, które działalność demokracji narodowej traktowały równie wrogo, jak działania socjalistów – drugiego przykładu podobnego położenia nie znajdziemy nigdzie w historii. Dopiero kiedyś w przyszłości, z dalszej perspektywy ten czyn obozu narodowego polskiego będzie właściwie oceniony.

Działacze demokratyczno-narodowi byli z jednej strony mordowani przez rewolucjonistów, z drugiej – zamykani przez rząd w więzieniach. Cudzoziemiec, nieznający naszych stosunków, nigdy by nie zrozumiał, jak można było w takich warunkach akcję przeciwrewolucyjną zorganizować. Polak z niezamąconym umysłem to zrozumie, bo wie, że w Polsce dla uczciwej sprawy wielkie rzeczy można zrobić przez odwołanie się do poczucia narodowego, do gorącej miłości ojczyzny. Tylko trzeba mieć śmiałość to zrobić i trzeba robić bez wahań, bez zastrzeżeń, omówień, trzeba się nie oglądać na to, czy nasze napięcie uczuć, nasze podniesienie tonu narodowego komu się podoba, czy nas wobec kogo nie naraża...

A cóż wobec tej walki robili nasi konserwatyści? Oni patrzyli na nią z założonymi rękami, choć tam przecież walczone o rzeczy, które każdemu szczeremu konserwatyście muszą być najdroższe. Umieeli tylko skarżyć się na rozszalałą anarchię i szemrać

jednocześnie na mocne hasła narodowe tych, którzy z anarchią walczyli. Robiło to wrażenie, jakby nie rozstrzygnęli sobie jeszcze, z której strony krajowi grozi większe niebezpieczeństwo. Rewolucja jest nieprzyjemna, ale taka sama rewolucja jest przecież i w Rosji, więc rząd nie może mieć za nią szczególnej do nas pretensji; natomiast agitacja narodowa może nas w oczach rządu zgubić. Chociaż ten lub inny, wiedziony zdrowym instynktem, czuł, że jego miejsce jest w obozie narodowym, że tam o jego nawet własną skórę walczą, to guwernerzy polityczni konserwatyzmu polskiego wytłumaczyli mu, że prawdziwy rozum stanu nakazuje od roboty narodowej trzymać się z daleka i widzieć w niej nieszczęście dla kraju. Guwernerzy owi tymczasem liczyli, że demokracja narodowa w tej ciężkiej walce ulegnie, zniszczy się, a wtedy przyjdzie kolej na ich rządy w społeczeństwie, przy podzieleniu się wpływem z partiami radykalnymi.

W obozie „ugodowym” popełniono także jeden niemały błąd, zresztą niemający dla kraju żadnych poważniejszych konsekwencji. W początku doby przełomowej, kiedy sytuacja w państwie zaledwie zaczynała się zmieniać, kiedy nie dojrzała jeszcze do tego, by u góry decydowano się na jakieś stanowcze kroki, kiedy ani pole do działania dla polityki polskiej jeszcze nie było otwarte, ani nie można się było zorientować, jak daleko akcja z naszej strony iść może – wyskoczyli z memoriałem do rządu o potrzebach kraju i społeczeństwa polskiego. Ten fałszywy krok zgubił ich w opinii kraju. Przy ogólnym podnieceniu umysłów, skromne ich żądania uznano niemal za zdradę narodową, a do niesłuchania surowego potępienia ludzi, podpisanych na nieszczęsnym „memoriale dwudziestu trzech”, przyczyniło się ogromnie to, że główne miejsce w tym szeregu zajmowały nazwiska, które opinia wiązała z publikacją Scriptora. Publikację tę w oświetleniu najnowszych wypadków uznano za czyn nieuczciwy, za krzywdę nie tylko dla demokracji narodowej, ale dla kraju. Teraz przy nadającej się sposobności demokracja narodowa za krzywdę krzywdą, niestety, odpłaciła...

Popełniwszy błąd, jak powiedzieliśmy już, nie tak wielkiej dla kraju wagi i zapłaciwszy zań nieproporcjonalnie drogo, osłabiona silnie w opinii społeczeństwa, ta grupa polityczna zesła w najważniejszym okresie do roli całkiem biernej. I kiedy przyszedł czas, otwierający dla niej właśnie pole działania, chwila ogłoszenia manifestu październikowego, nie ośmieliła się żadnego kroku zrobić, choć ją nawet do tego zachęcano. I to był błąd o wiele większy, niż „memoriał dwudziestu trzech”.

Natomiast utrwałała się i pogłębiła w tej grupie dziwna psychika delectowania się niepopularnością, szukania w niej dla siebie dowodu swojej wyższości, swego niepospolitego rozumu politycznego: społeczeństwo jest głupie, a więc my, których ono nie uznaje, jesteśmy mądrzy...

V. Początki okresu parlamentarnego

Po manifeście październikowym i zapowiedzi powołania ludności do udziału w ustawodawstwie wystąpiły w naszym kraju trzy jawne, współzawodniczące między sobą o wpływ ugrupowania partyjne. Obóz demokratyczno-narodowy zorganizował się jako stronnictwo pod tą samą nazwą, wchłonawszy wszakże wiele żywiołów nowych, które przyłgnęły do niego w okresie rewolucyjnym. Grupa tzw. „ugodowców” wystąpiła jako „stronnictwo polityki realnej”. Wreszcie żywioły „postępowe”, niemające dotychczas wyraźnej fizjonomii politycznej, połączyły się w organizację partyjną, która w następstwie rozbiła się na dwie mniejsze grupy: zjednoczenie postępowo-demokratyczne i polską partię postępową. Polityczną fizjonomię nadał sobie ten obóz przez zaszczerpienie programu autonomii Królestwa na ogólnym gruncie programu rosyjskich „kadetów”. Pomijajmy efemeryczne istnienie „Spójni”, będące usiłowaniem stworzenia czegoś w rodzaju stronnictwa... bezpartyjnego. Z chwilą ustanowienia Dumy i Rady Państwa z wyboru walka wyborcza, wobec pozostania socjalistów w cieniu, w organizacjach tajnych, miała się między tymi trzema grupami rozegrać.

Najszczęśliwszym bodaj dla naszej polityki w owym momencie byłoby, gdyby do reprezentacji kraju weszli w poważnej liczbie ludzie nie nowi w polityce – bo tacy zwykle orientować się nie umieją i głupstwa robią – ale nie zaangażowani za bardzo w walki okresu rewolucyjnego, niezależni zatem w możliwej mierze od podnieconej atmosfery czasów rewolucyjnych. Walka parlamentarna wymaga spokoju, rozwagi, niezależności sądu i swobody działania. Tego atmosfera doby rewolucyjnej obozom, biorącym w jej walkach żywy udział, dać nie mogła.

Właśnie „realiści” byli tą grupą, która na walki doby rewolucyjnej patrzyła z założonymi rękami, trzymała się od nich z daleka, zachowywała siebie na spokojniejsze czasy. Pomimo też wad organicznych tej grupy, o których mówiliśmy wyżej, pomimo jej słabości, nie można zaprzeczyć, że miała ona w swym łonie pewną ilość ludzi, którym nie obce były pojęcia polityczne, którzy posiadali sporą, jak na nasze stosunki, polityczną kulturę, że miała też i ludzi, którym więcej chodziło o kraj niż o partię, jakkolwiek ulegali w swym stronnictwie przeciwnym wpływowi. Byłoby też bodaj najlepiej, gdyby weszła do przedstawicielstwa spora liczba ludzi ze stronnictwa polityki realnej, tych właśnie, co reprezentowali w nim żywioł obywatelski, ziemiański, względnie konserwatywny. Wolni od spuścizny okresu rewolucyjnego mieliby oni więcej swobody we wprowadzeniu parlamentarnej polityki polskiej na drogę praktyczną, mogliby się nie krępować hasłami, które w kraju rozbrzmiewały szeroko i którym nie od razu przeznaczone było zcichnąć. Byliby się oni nie uchronili od poważnych błędów, nieuniknionych wobec psychologii politycznej tego obozu, groziłoby im wytworzenie głębokiego przedziału między krajem a jego przedstawicielstwem, ale praktycznie mogliby zrobić niejedno, co dla innych było niemożliwe. Rozumieli to nawet kierownicy demokracji narodowej, którzy starali się wówczas dojść do jakiegoś porozumienia z „realistami” i wyrzucić wpływ na swoje

stronnictwo, żeby się zgodziło pewną ich ilość do Dumy przeprowadzić. Tym wszakże dążeniom stała na drodze zrozumiała całkiem i naturalna psychologia polityczna chwili. Okazało się, że „realiści” zbyt gorliwie pracowali na swą niepopularność, ażeby to się na nich nie pomściło.

Z drugiej strony, obóz postępowy, chociaż liczący sporo zwolenników wśród inteligencji miejskiej, przez swoje doktrynerstwo radykalno-liberalne tak daleko odbiegł od ducha narodu, tak się przeciwstawił instynktom masy społecznej, tak zresztą w działaniu był nieumiejętny i organizacyjnie niesprawny, że miał słabe widoki na zwycięstwo nawet w miastach. Chcąc za wszelką cenę zwyciężyć, oparł się na masie żydowskiej, ale to właśnie usunęło od niego nawet tę część polskiego ogółu, która inaczej by z nim poszła.

Obóz demokratyczno-narodowy, swym zachowaniem się w okresie rewolucyjnym, w którym z początku miał wielkie niepowodzenia, a chwilowo zdawało się nawet, że był całkiem zabity w opinii, w końcu zdobył takie uznanie w kraju, że stał się absolutnym niemal panem wyborów. Przedstawicielstwo kraju w Dumie dostało się całkowicie w ręce stronnictwa demokratyczno-narodowego. Jeżeli w Radzie Państwa „realiści” dostali przewagę, to dlatego, że demokracja narodowa zgodziła się ich tam dopuścić, a zgodziła się znów głównie dlatego, że sama nie miała kandydatów.

Tak wtedy obozowi demokratyczno-narodowemu przypadło w udziale organizowanie polityki polskiej w parlamencie rosyjskim, organizowanie jej w warunkach jak najfatalniejszych. Pominiemy tu warunki zewnętrzne, leżące w państwie, w nieustalonym przez długi czas charakterze przedstawicielstwa rosyjskiego, w zmienności sił, panujących na tamtejszej widowni, bo z tymi trudnościami miałyby do czynienia każde stronnictwo polskie, które by do Dumy poszło; tylko każde niezawodnie inaczej próbowałoby z nimi sobie radzić. Wielkie trudności leżały w naturze samego stronnictwa.

Obok żywiołu głównego, kierowniczego, reprezentującego istotną myśl polityczną obozu, tak jak rozwijała się ona stopniowo od samego początku, jak dojrzewała, nabierając ścisłości i wyrazistości w miarę zdobywania nowej wiedzy o położeniu narodu i nowych doświadczeń, obok tego głównego żywiołu, liczbą wcale niegórującego, szeregi stronnictwa, na których opierało ono swą siłę, składały się z różnych rodzajów ludzi, których należało bądź asymilować dopiero, bądź odrzucać. Byli więc ludzie z przedrewolucyjnego okresu, zaprawieni w działalności tajnej, ludzie, którzy umieli dużo na tym polu zrobić, ale którzy do nowych warunków działania dopasować się nie umieli, którzy często nawet nie rozumieli, że może istnieć jakaś polityka poza organizowaniem tajnych kółek i rozdawaniem pism nielegalnych. Ci ludzie wykonywali w ubiegłym okresie wielką pracę w kierunku, jaki demokracja narodowa sobie nakreśliła, ale myśli politycznej obozu nie rozumieli, nie szli z nią naprzód, im samym i obozowi wystarczyło to, że są praktycznie użyteczni. Część tych ludzi w nowym okresie nie umiała się zorientować, tym bardziej niezdolna była pojąć zadań polityki parlamentarnej; wydawało

im się, że główny pożytek z Dumy jest ten, iż tam można wygłaszać mowy, deklarować w nich szerokie aspiracje narodowe i przy ich pomocy na kraj oddziaływać. Nie umieli oni w polityce wyjść poza stadium uświadamiania. Byli dalej ludzie, często nowi, tak opanowani atmosferą okresu rewolucyjnego, że chcieli całą tę atmosferę kontynuować w działalności parlamentarnej, wyobrażając sobie, że doba wielkiego przewrotu ciągle trwa dalej, wtedy kiedy stanowczo już została zamknięta. Ta zresztą atmosfera za długo przetrwała w całym stronnictwie. Byli wreszcie ludzie bez politycznych idei lub z ideami, które nie miały nic wspólnego z myślą demokratyczno-narodową, którzy mieli sposób myślenia postępowo-kadecki, którzy dlatego tylko nie przyłączyli się do postępowców, że tamci szli z Żydami. Powchodzili oni świeżo do stronnictwa w wielkiej liczbie dlatego, że było ono popularne, że miało w rękę kraj, że przyjemnie było nazywać się demokratą narodowym; wśród nich byli i tacy, którzy dlatego tylko weszli do stronnictwa, że mieli nadzieję swe osobiste ambicje przy jego pomocy zaspokoić. Posiadanie takich ludzi jest zresztą udziałem wszystkich stronnictw, zwłaszcza w momentach, gdy się cieszą powodzeniem.

Reprezentacja polska, uszeregowana z demokracji narodowej, weszła na arenę pracy i walki parlamentarnej z całą spuścizną swej działalności w dobie rewolucyjnej, tej działalności, w której uzewnętrznianie uczuć i aspiracji narodowych nie było krępowane żadnymi względami taktycznymi, w której, przeciwnie, taktyka nakazywała utrzymywać bardzo ostry ton narodowy, jeżeli się chciało zatamować anarchię żydowsko-socjalistyczną. Ciężyła wtedy na niej spuścizna i daleko idących żądań politycznych, o których urzeczywistnieniu w Dumie mowy być nie mogło, i organizacji narodowej przeciwstawiającej się organom państwowym, i akcji w gminie, i strajku szkolnego, który nie ona wprawdzie wywołała, ale który w danych warunkach musiała zaakceptować, nadając mu charakter narodowego bojkotu... Ta spuścizna nadawała przedstawicielstwu odpowiednią fizjonomię polityczną, obowiązywała je często do pójścia po drodze, całkiem niezgodnej z wymaganiami praktycznej polityki parlamentarnej.

To wszystko zdawało się zapowiadać, że stronnictwo demokratyczno-narodowe, jakkolwiek silne i wpływowe w kraju, na terenie parlamentarnym w krótkim czasie kark skręci, a tym samym zdyskredytuje się i w kraju.

VI. Kryzys w obozie demokratyczno-narodowym

Wziąwszy na swoją wyłączną odpowiedzialność przedstawicielstwo kraju w Dumie i jego politykę, stronnictwo demokratyczno-narodowe znalazło się w niesłychanie trudnym położeniu. Dziś, gdy się patrzy wstecz na te pierwsze siedem lat parlamentu rosyjskiego, gdy się widzi i rozumie lepiej czynniki składające się na ewolucję jego polityki, siły, które kierunek tej ewolucji uwarunkowały, gdy sobie zdajemy jaśniej sprawę z psychologii politycznej narodu rosyjskiego, o której panowało w naszym społeczeństwie wiele błędnych z gruntu pojęć – nie mamy prawie wątpliwości, że polityka polska na tym terenie skazana była z góry na niepowodzenie, bez względu na to, jaki by był jej kierunek. Niemniej przeto polityka ta mogła być gorsza lub lepsza, więcej lub mniej zastosowana do właściwości terenu. Polityka przedstawicielstwa, zorganizowanego przez stronnictwo demokratyczno-narodowe, przez długi czas do tych warunków zewnętrznych przystosować się nie mogła, bo charakter stronnictwa, jego niedawna przeszłość na to nie pozwalała. Stąd robiła ona wrażenie polityki, nieorientującej się w położeniu, a liczne jej posunięcia zasługiwały ze stanowiska politycznego realizmu na miano błędów.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe miało w tych warunkach do wyboru: albo wycofać się z terenu parlamentarnego, albo się do niego przystosować. W samych szeregach stronnictwa było wiele żywiołów, które żądały wycofania się, niejednokrotnie wzywały do składania mandatów, do bojkotowania Dumy. W tym samym kierunku starała się wywierać nacisk na reprezentację część przeciwników stronnictwa. Ci wszakże, którzy mieli w stronnictwie przewagę, myśl bojkotu Dumy zawsze odsuwali, uważając ją za niedorzeczną, za wyraz niedojrzałości politycznej tych, którzy ją propagują. Ustąpienie zaś z Dumy po to, żeby kraj wybrał inne przedstawicielstwo spoza stronnictwa, byłoby krokiem ze stanowiska dobra kraju ogromnie szkodliwym. Jedynym silnym w kraju stronnictwem, jedynym posiadającym jakie takie zaufanie ogółu, była demokracja narodowa – wycofanie się jej wtedy oddałoby wybory na pastwę nieskoordynowanych, rozbieżnych dążeń i ambicji, często na pastwę żywiołów całkiem niepolitycznych, niezdolnych do zorganizowania nawet lichej polityki. Wprawdzie stronnictwo polityki realnej dawało do zrozumienia, że umiałoby zorganizować politykę dobrą, korzystną dla kraju, ale należałoby przede wszystkim zapytać, czy umiałoby dostać od społeczeństwa mandaty. Usunięcie się zatem stronnictwa demokratyczno-narodowego od działalności parlamentarnej nie prowadziłoby do dania krajowi lepszej polityki; byłoby jedynie próbą z jego strony uwolnienia się od odpowiedzialności za tę politykę, próbą zresztą płonną, bo odpowiedzialność za politykę kraju ponosi zawsze cały myślący ogół, a przede wszystkim ten obóz, który rozporządza najszerszym wpływem.

Musiało tedy stronnictwo demokratyczno-narodowe zabrać się bez wahania do zwalczania tych trudności – przede wszystkim we własnym łonie – które mu stały na drodze w usiłowaniach do sprostania swym zadaniom na terenie parlamentarnym. Było

to bodaj najcięższe z zadań, jakie kiedykolwiek przed nim stanęło; spełnienie go pociągnęło dla stronnictwa największe koszty. Koszty te wyraziły się we frondach, secesjach, w osłabieniu liczebnym obozu i w zmniejszeniu jego wpływu. Były one wszakże nieuniknione, ocaliły stronnictwo od znalezienia się w położeniu bez wyjścia i umożliwiły szybką, ale stopniową ewolucję myśli politycznej kraju, chroniąc ją od wielkiego, jednorazowego bankructwa, od moralnej katastrofy.

Przy dokonywaniu tej przeróbki swojej polityki stronnictwo zawzięcie było zwalczane przede wszystkim przez swoich „postępowych” przeciwników. Korzystali oni z jego osłabienia, wyzyskiwali niezadowolenie szerszego ogółu, atakowali je za odsuwanie się od liberalnej Rosji, za zdradę „ideałów wolnościowych”; szeregi tych przeciwników zwiększały się przez dezercję z samego stronnictwa. W tych warunkach potrzebny mu był sojusznik szczery, lojalny, mający uznanie dla jego wysiłków w kierunku nadania naszej polityce realnej wartości i sprawności praktycznej. Takim sojusznikiem mogło być tylko stronnictwo polityki realnej. To też kierownicy stronnictwa demokratyczno-narodowego zaczęli dążyć do uczciwego porozumienia się z „realistami”.

Dla słabego liczbą, ale nie będącego wcale *quantité négligeable*⁶ stronnictwa polityki realnej, zjawiała się sposobność wyjścia z roli jałowych krytyków politycznych, śmiałego wystąpienia na widownię kraju w charakterze żywiołu czynnego, twórczego, podjęcia w przymierzu z najsilniejszym obozem kraju walki przeciw temu, co zawsze uznawał głośno za szkodliwe, walki niezawodnie zwycięskiej, która by mu dała tytuł do zasługi i podstawę do szerszego politycznego wpływu. I jesteśmy pewni, że na tę drogę byłoby stronnictwo polityki realnej bez wahania weszło, gdyby było naprawdę polskim stronnictwem konserwatywnym, stronnictwem, któremu chodzi przede wszystkim o umocnienie w życiu narodu tych zasad, które istotę szczerego konserwatyzmu stanowią, i o danie krajowi polityki zdrowej, szczerze polskiej, dążącej do obrony i pomnożenia realnego dobra narodowego, a nieszukającej efektów i niesłużącej obcym interesom. Jesteśmy przekonani, że pomimo licznych wad i słabych stron, jakie miał konserwatyzm polski, organizujący się w Królestwie w okresie popowstaniowym, gdyby był on przetrwał, gdyby nie został zdeorganizowany i znieprawiony przez obce sobie żywioły, byłby ten sojusz uznał za konieczny, byłby weń lojalnie wstąpił i poszedł w nim do walki o to, co mu było najdroższym.

⁶ (fr.) „Wartość pomijalna” [redakcja]

Część czwarta
Zwyrodnienie konserwatyzmu w
Królestwie

I. „Polityka realna”

Grupa konserwatywno-liberalna, zwana przez przeciwników „ugodową”, zorganizowała się po manifestacji październikowej pod nazwą „stronnictwa polityki realnej”. W tej nazwie zawierało się niejako twierdzenie, że polityka wszystkich innych stronnictw jest nierealna.

Twierdzeniu temu można było przyznać w znacznej mierze słuszość. Nie mówiąc już o obozie postępowym, którego stanowisko polityczne było właściwie wyrazem niedojrzałego doktrynerstwa, niezdolnego liczyć się z rzeczywistym położeniem wewnętrznym i zewnętrznym, i stronnictwo demokratyczno-narodowe, zwróciwszy główną swą uwagę na położenie wewnętrzne kraju i na przystosowanie się do niego, nie było zdolne przystosować należycie swej polityki do realnych warunków zewnętrznych, do położenia w państwie. Tę zaś jego niezdolność zwiększała znakomicie niejednorodność jego składu, obecność w nim licznych żywiołów, którym myśl demokratyczno-narodowa była mniej więcej obca, które, przeceniając siłę opozycji rosyjskiej, usiłowały praktykować względem niej taką samą „ugodę”, jak „realiści” względem rządu.

Polityka wszakże samych „realistów” także nie była realną.

Polityka naprawdę realna jest to taka polityka, która wychodzi z trafnej oceny realnego położenia politycznego, zarówno wewnątrz, jak na zewnątrz kraju, i do tego położenia umiejętnie się przystosowuje. Jest to taka polityka, która wskazuje właściwy kierunek działania na zewnątrz i umie kraj w tym kierunku poprowadzić. Chociażby nasza ocena położenia zewnętrznego była najtrafniejsza, chociaż byśmy wskazywali najodpowiedniejsze, najlepszy obiecujące skutek drogi działania na zewnątrz, jeżeli, wskutek nieorientowania się w usposobieniu politycznym kraju, nie jesteśmy zdolni konsekwentnej akcji w duchu naszych wskazań zorganizować, nasze stanowisko polityczne pozostanie akademickim, mniej lub więcej teoretycznym, ale do miana polityki rościć sobie pretensji nie może.

Kraj nasz nie miał wówczas polityki realnej, nie ma jej naprawdę i dzisiaj, a największy optymizm pozwala tylko twierdzić, że jest na drodze do jej wytworzenia, głównie dzięki wysiłkom stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Realizm polityczny stronnictwa polityki realnej przez dłuższy czas polegał na nie robieniu niczego, na zamknięciu się w sobie, w nabożeństwie dla swego rozumu politycznego. Głównym zajęciem „realistów” w owym okresie było polowanie na błędy polityczne demokracji narodowej. Błędów tych, jak już powiedzieliśmy, nie brakowało, „realiści” zaś najwidoczniej byli od nich wolni, bo kto nie robi nic, ten i błędów nie popełnia. Tak wyglądało ich stanowisko w oczach szerszego ogółu. Przy bliższym wszakże przyjrzeniu się, nie można było powiedzieć, że nie robili nic. Robili oni właściwie, co mogli, by osłabić znaczenie przedstawicielstwa w Dumie, by rozwinąć w rządowych i wpływowych kołach rosyjskich przekonanie, że to przedstawicielstwo nie ma silnego

oparcia w poważniejszej opinii kraju, mimo woli zachęcali rząd do walki z przedstawicielstwem i do walki z krajem w celu zmuszenia go, ażeby inne, dogodniejsze dla rządu przedstawicielstwo wysłał. Słów tych nie mówimy na wiatr. Jedną z poważniejszych trudności, na jakie natrafiło przedstawicielstwo kraju w Dumie, było właśnie postępowanie naszych „realistów”, którzy wespół z przedstawicielami Litwy i Rusi w Radzie Państwa zachowywali się w sposób, zachęcający rząd do lekceważenia Koła Polskiego i jego politycznego stanowiska. Było w tym niewątpliwie sporo winy i ze strony Koła Polskiego w Dumie, które swym zachowaniem niewątpliwie utrudniało ułożenie normalnych stosunków między przedstawicielstwem polskim w dwóch Izbach.

Gdy wybrani do Dumy posłowie jechali do Petersburga z programem autonomicznym, przedstawiciele polscy w Radzie Państwa zaczęli od wstąpienia tam do grupy rosyjskiego centrum, jak gdyby umyślnie chcieli zaznaczyć, że się autonomicznego stanowiska zrzekają. Był to aż nadto wyraźny początek rozbieżności dwóch polityk polskich w Petersburgu, które nawzajem siebie paraliżowały i tym samym skazywały się na bezpłodność nawet wtedy, gdyby warunki w państwie były o wiele przyjaźniejsze. Przedstawiciele rządu, w szczególności Stołypin, w rozmowach z Polakami nieraz wyraźnie wypowiadali się, że im milsze jest stronnictwo polityki realnej i dawali do zrozumienia, że oczekują, kiedy kraj dojdzie do rozumu i temu stronnictwu swoje przedstawicielstwo powierzy. A są i fakty, że byli w tych nadziejach utwierdzani, jeżeli nie przez naszych „realistów”, to przez bardzo blisko z nimi spokrewnionych przedstawicieli Litwy. Były zresztą i w kraju fakty przeciwstawiania przez władzę rządową „narodowcom” „realistów” – jako posiadających względne zaufanie rządu.

Wytworzyło się w ten sposób nadzwyczaj niezdrowe położenie polityczne, w którym rząd interweniował w naszych stosunkach wewnętrznych. Ogromna większość kraju obdarzała swym zaufaniem stronnictwo demokratyczno-narodowe i jemu powierzyła przedstawicielstwo swej polityki, rząd zaś dawał swe względne zaufanie „realistom”, mającym w kraju poparcie tylko nieznacznej mniejszości. Rząd, zachęcany do tego poniekąd i ze strony polskiej, traktował przedstawicielstwo polskie wyłonione z demokracji narodowej jako zjawisko przejściowe, i czekał, aż kraj inne przedstawicielstwo wyśle. „Realistów” zaś traktował jako stronnictwo, z którym można się liczyć, ale dopiero wtedy, gdy zdobędzie władzę nad opinią kraju. Z tego wynikł ten skutek, że w okresie przejściowym, w którym wrogie nam siły w państwie jeszcze się naleźycie nie zorganizowały, w którym tedy zewnętrzne szansę polityki polskiej były większe, polityka ta skutkiem swego rozdwojenia była skazana na całkowitą bezpłodność. Oto jedyny w tych początkach okresu parlamentarnego kierunek, w którym „realiści” zaznaczali swe istnienie, w którym coś robili. Ale to, co robili było wielkim i zgubnym dla kraju błędem. Do tego błędu doprowadził jednych bardzo jednostronny punkt widzenia w polityce, patrzenie tylko na rząd i na pewne koła polityczne rosyjskie, przy niezdolności zrozumienia się z własnym krajem, innych, co gorsza, przerost zmysłu partyjnego, ześrodkowanie swych wysiłków na tym, by nienawistne sobie stronnictwo obalić, by samym tą czy inną drogą jego miejsce zająć, bez względu na to, co te ambicje kraj

kosztować mogą. Jako łagodzącą okoliczność wskazać tu należy, że ludziom, słabo orientującym się w psychologii politycznej własnego społeczeństwa, istotnie wydawać się mogło, że stronnictwo demokratyczno-narodowe jest skazane na rychłe bankructwo. Nie rozumiejąc istoty kierunku demokratyczno-narodowego – ci nieliczni, co ją rozumieli, nie dzielili się szczerze myślami swymi z resztą, ale nawet ją umyślnie w błąd wprowadzali – „realiści” nie zdawali sobie sprawy z tego, że taktyka demokracji narodowej w początkach okresu parlamentarnego jest tylko chwilową koniecznością, zdawało im się, że nie będzie ona zdolna tej taktyki porzucić, że będzie się jej bezmyślnie trzymała, jak pijany płota. Z drugiej strony, wydawało im się nieprawdopodobnym, ażeby społeczeństwo długo mogło obdarzać swym zaufaniem stronnictwo, które popełnia tak olbrzymie, jak im się zdawało, błędy. Raz już byli prawnie pewni, że skręci ono kark na sprawie strajku szkolnego, którego wywołanie i całe prowadzenie umiejętnie mu przypisano. Gdy to zawiodło, spróbowano przewalić je w opinii ziemiaństwa w szczególności na kwestii agrarnej, w której zachowanie się Koła Polskiego w pierwszej Dumie istotnie trudne było do obronienia, głównie dzięki występom tych jego członków, którzy czasowo tylko w demokracji narodowej bawili, których myśl polityczna i polityczne metody mało wspólnego miały z istotą kierunku demokratyczno-narodowego. Trzecią wielką okazją do tych nadziei dało zredukowanie przy rozwiązaniu drugiej Dumy przedstawicielstwa kraju do jednej trzeciej pierwotnej liczby, za co przecież nie kto inny był odpowiedzialny, tylko demokracja narodowa, bo ona reprezentowała kraj w Dumie. Nie zapytano nawet samych siebie, czy do tego się nie przyczyniło w pewnej mierze owo rozdwojenie polityki polskiej, zachęcające rząd do bezwzględnej walki z przedstawicielstwem polskim w Dumie, nie mówiąc już o tym, że całkowicie przemilczano ogólnopaństwowe plany, którymi się Stołypin w tym swoim kroku kierował, plany stworzenia nacjonalistycznej większości w Dumie, na której by się rząd mógł silnie oprzeć. „Realiści” nie mogli zrozumieć, jak przy tych wszystkich błędach i porażkach stronnictwo demokratyczno-narodowe utrzymuje swój wpływ w kraju, nie mogli zrozumieć, bo nie rozumieli własnego społeczeństwa. Nie posiadali najpierwszego warunku do prowadzenia polityki naprawdę realnej.

Na szczególną uwagę zasługuje zachowanie się stronnictwa polityki realnej w kraju, wobec walk wewnętrznych, wobec ścierających się ze sobą przeciwnych kierunków. W gorącym okresie rewolucyjnym, w okresie walki kierunku narodowego z socjalistycznym, „realiści” pozostali biernymi, stojąc na boku krytykowali sobie tylko obie strony. Ta dogodna i niewiele kosztująca rola przypadła im widocznie do smaku, bo w następstwie, kiedy zawierucha rewolucyjna ucichła i kiedy miejsce dawnej walki, mającej nawet krwawe epizody, zajęła walka w opinii pomiędzy obozem narodowym a żydowsko-postępowym, „realiści” w dalszym ciągu stali na boku, w pozie poważnych super arbitrów, obojętnych jednej i drugiej stronie, wygłaszających o jednej i drugiej bezstronne sądy. Przy bliższym wszakże przyjrzeniu się ta bezstronność okazywała się tylko pozorną: bardzo często spoza niej wyzierała życzliwość dla obozu żydowsko-postępowego, bardzo często ataki z jego strony na demokrację narodową znajdowały poparcie w prasie realistycznej. Przeciętny „realista” rozumował w ten sposób: ponieważ stronnictwo

demokratyczno-narodowe jest najsilniejsze w kraju, ponieważ ma znaczną przewagę w jego opinii, więc stronnictwo polityki realnej, będąc słabym i dążąc do zdobycia wpływu, musi popierać jego przeciwników, musi na wzór galicyjski dążyć do wytworzenia koalicji wszystkich, najskrajniejszych nawet żywiołów przeciw demokracji narodowej. Jednakże nie ma wątpliwości, że byli w stronnictwie polityki realnej ludzie, którzy mieli o wiele głębsze powody do zbliżenia z Żydami i postępowcami. Stojąc pozornie pod sztandarem konserwatywnym, ale nie mając nic wspólnego z zasadami konserwatyzmu, będąc w gruncie rzeczy wolnomyślnymi liberałami, poczuli się oni do braterstwa ideowego z obozem żydowsko-postępowym. Nie uważając dla siebie za dogodne służyć otwarcie w jego szeregach, służyli jego celom po cichu, przygotowując przy pomocy obozu rzekomo konserwatywnego grunt pod triumf „wielkich zasad liberalnych”. Znaczna część członków stronnictwa polityki realnej nic wspólnego z tymi planami nie miała, lecz była to część bierna, nieumiejąca nie tylko wpłynąć na kierunek działalności stronnictwa, ale nawet nieorientująca się dobrze w tym, co ich własne stronnictwo robi. Ludzie ci w przekonaniu swym uważali się za najlepszych konserwatystów, a nie widzieli, że pod kierunkiem swych, wcale niekonserwatywnych gubernatorów politycznych używani są do walki z tym, co przedstawia właśnie zdrowy pierwiastek narodowo-zachowawczy w społeczeństwie. Tym sposobem ostrożnie prowadzona robota liberałów z grupy Spasowicza, asymilujących stopniowo konserwatyzm polski i oczyszczających go ze wszystkiego, co istotę konserwatyzmu stanowi, robota, która swego czasu zrobiła zbyt śmiało i nieostrożne posunięcie w pismach Scriptora, ze smutnym dla jej autorów rezultatem, która wskutek tego na krótko przycichła – znów zaczęła śmieiej posuwać się naprzód, prowadząc nieświadomych rzeczy ziemian, nieźle już z konserwatyzmu wysterylizowanych, w objęcia radykalnego „postępu”.

Całą potworność, cały dziwaczny fałsz tej sytuacji w obozie demokratyczno-narodowym widziano od dawna. Gdy tedy walka o metodę polityki naszej w Dumie nakazywała demokracji narodowej szukać zbliżenia z realistami, zdawano sobie sprawę, że szczerze i rzetelne zbliżenie się będzie trudne. Byłoby ono możliwe, gdyby chodziło tylko o żywioły wiejskie stronnictwa polityki realnej, gdyby te żywioły miały swą niezależność i swobodę działania, gdyby nie pytały na każdym kroku swych liberalnych gubernatorów, co mają robić. W tych warunkach, w jakich się znajdowało stronnictwo polityki realnej, zbliżenie, jakie nastąpiło, miało charakter bardzo dziwny. Ze strony „polityki realnej” nie pracowano wcale nad wytworzeniem podstaw lojalnego porozumienia z demokracją narodową w celu utrwalenia w życiu kraju pewnych zasad politycznych, które by w tym życiu wzmocniły pierwiastki zachowawcze, ale stale usiłowano wytwarzać jakąś kaszę międzypartyjną, narzucając demokracji narodowej partię postępowe, o których udział w tym kontredansie ze strony realistycznej gorliwie zabiegano i którym starano się zapewnić wpływ nieproporcjonalny do ich siły. Widoczne było, że i w tym momencie, kiedy się ujawniła tak znaczna wspólność poglądów między realistami a demokracją narodową na zadania i metody polityki naszej w ciałach prawodawczych, kierownikom partii realistycznej przede wszystkim chodzi o

wyprotegowanie na poważną pozycję w społeczeństwie niedojrzałych politycznie postępowców.

Dziwna też jednocześnie była taktyka organów prasowych „polityki realnej”. Zamiast pomagać demokracji narodowej w tej ciężkiej pracy, jaką podjęła, chcąc uzdolnić większość naszej opinii publicznej do zrozumienia naszego położenia w państwie, potrzeb i zadań naszej polityki, organy te jakby umyślnie starały się tej pracy przeszkadzać. Periodycznie powtarzał się w nich triumfalny refren: oto demokracja narodowa przeszła na nasze podwórko, oto nauczyła się od nas rozumu, oto przejęła naszą politykę... Nie wiadomo, o co tu więcej chodziło – o zrażenie mniej dojrzałych i mniej krytycznych żywiołów społeczeństwa do polityki stronnictwa demokratyczno-narodowego, czy też o schlebianie próżności członków własnego stronnictwa. Czy może wreszcie liczone, iż sami kierownicy obozu demokratyczno-narodowego są tak niedojrzali, że to może ich podrażnić, wyprowadzić z równowagi i zniechęcić do wytrwałej walki o kierunek polityki, wypływający najściślej z założeń myśli demokratyczno-narodowej. Widoczne było w każdym razie, że dla ludzi, kierujących umiejętnie obozem realistycznym, nie było zbyt dogodne zbliżenie się tego stronnictwa z demokracją narodową, że widoki ich, przeciwnie, dyktowały raczej romans z postępowcami. Robiło to takie wrażenie, jakby się obawiali, żeby przez zbliżenie z demokracją narodową w stronnictwie polityki realnej nie odrodził się i nie wzmocnił polski pierwiastek konserwatywny; dlatego woleliby, żeby istniał między tymi obozami antagonizm na gruncie metod polityki zewnętrznej, ażeby izolowanych od wpływu narodowego swych pupilów politycznych mogli dalej prowadzić bez przeszkody w uplanowanym kierunku.

Jeżeli taką była ich polityka, to nie można jej odmówić dużego sprytu. Ale spryt sam nie wystarcza. Tam, gdzie nie ma tego, co nazywamy rozumem stanu, spryt umie zawodzić nawet bardzo wybitnych ludzi. W każdym razie starczy on tylko na bardzo krótko. To też polityka ta doprowadziła do wytworzenia nowego antagonizmu między demokracją narodową a realistami, tylko już na gruncie mniej dla realistów dogodnym. Ten grunt dała przede wszystkim kwestia żydowska.

II. Kwestia żydowska

Nic nie było tak przeciwnego wszelkim zasadom konserwatywnym, tak im wrogiego, jak program asymilacji Żydów, wprowadzenia ich do środka społeczeństwa polskiego i dania im w tym społeczeństwie wpływowej roli, program, który prawie niepodzielnie zapanował w naszym kraju od czasu słynnej reformy Wielopolskiego.

Żyd nie może być zachowawcą w społeczeństwie europejskim, chociażby nawet to sobie dla jakichś względów postanowił. Cała tradycja tego społeczeństwa jest mu obca, sprzeczna z tym wszystkim, z czym się dusza żydowska w ciągu niezliczonych pokoleń zrosła. Ze wstrętem traktuje on całą przeszłość ludów europejskich, żywi nienawiść do ich religii, na wszelką zaś wyrosła z tych społeczeństw hierarchię patrzy jako na uzurpatorkę stanowiska, należącego się „ludowi wybranemu”. Instynktownie wprost dąży on do zniszczenia w swym otoczeniu europejskim czci dla tradycji, przywiązania do religii, uznania dla jakiegokolwiek hierarchii, lży, wydrwiwa, ośmiesza to wszystko, co dla każdego uczciwego konserwatysty musi być święte. Dzisiejszą swoją pozycję i wpływową rolę zawdzięcza on Wielkiej Rewolucji i dlatego stara się świadomie jej dzieło kontynuować, szerzyć, doprowadzać do krańcowych konsekwencji w pożądanym dla siebie kierunku.

Wtargnięcie potężnej fali żydowskiej w nasze życie, pociągnęło za sobą w tych sferach społecznych, które z Żydami w bliższą styczność weszły, takie zniszczenie wszelkich rysów zachowawczych, taki bunt przeciw własnej tradycji narodowej, rozkład poczucia religijnego i nawet elementarnego szacunku dla religii, taki wstręt do wszelkiej, nawet najbardziej uprawnionej hierarchii, że zagroziło nam w pewnym sensie wprost zdżiczeniem. Gdyby cały ogół temu wpływowi uległ, zatracilibyśmy właściwie zdolności do życia społecznego, stalibyśmy się anarchiczną gromadą bez wewnętrznej organizacji moralnej, zdolną żyć tylko w karbach, nałożonych z zewnątrz.

Tak łatwe przyjęcie się programu filosemickiego w naszym społeczeństwie w okresie popowstaniowym ma swoje dwie przyczyny. Pierwsza – to w ogóle brak silnych zasad konserwatywnych w Polsce, uwarunkowany kolejną naszych dziejów w ostatnich stuleciach, o czym już mówiliśmy wyżej; druga – to umiejętnie narzucona społeczeństwu doktryna, głosząca, że wchłonięcie, zasymilowanie Żydów wzmocni nasz naród, doda mu sił do walki o byt zagrożony. Ta fałszywa swą jednostronnością, czysto materialistyczna doktryna, widząca siłę narodu jedynie w jego liczbie i majątku, mogła być łatwo zaszczipioną tylko w społeczeństwie, mającym nienormalnie słabe poczucie tego, co stanowi moralne podstawy narodowego bytu i bez czego największe siły fizyczne i zasoby materialne żadnej wartości nie mają.

Przeciw panowaniu tej doktryny rodziła się stopniowo reakcja. Zaczęto coraz silniej kwestionować wartość tego nabytku, jaki nasz naród robi w asymilowanych Żydach. Obok bezwzględego antysemityzmu, jaki przedstawiał wyklęty przez większość

inteligencji polskiej Jeleński w swojej *Roli*, już na kilkanaście lat przed końcem ubiegłego stulecia demokratyczny Głos zaczął podejmować krytykę programu asymilatorskiego z narodowego punktu widzenia. Ta krytyka pogłębiała się później stopniowo w obozie demokratyczno-narodowym, który w Żydach coraz wyraźniej widział najsilniejszą przeszkodę do zorganizowania myśli narodowej w naszym kraju.

Wreszcie przyszedł czas, kiedy Żydzi, poczuwszy się dość silnymi, zaczęli zrzucać maskę polską, występować jako Żydzi i tylko Żydzi, kiedy nacjonaści żydowscy okazali się głównymi przywódcami żydowskiej masy, a tzw. asymilowani Żydzi uwydatnili całą niezdolność do stanięcia po stronie polskiej przeciw nowemu ruchowi żydowskiemu, stwierdzając całym swym zachowaniem się, że silniejsze węzły wiążą ich z żydostwem, niż z polskością. Nie trzeba było wyraźniejszych dowodów całego fałszu doktryny o wzmocnieniu narodu polskiego przez asymilację Żydów. Nieubłagana rzeczywistość stwierdziła całkowite bankructwo programu asymilatorskiego.

Kosztownym niesłychanie doświadczeniem, stratą mnóstwa pozycji w życiu ekonomicznym i społecznym kraju ogół polski kupił sobie nową wiedzę o Żydach, zrozumiał w ogromnej mierze niebezpieczeństwo, jakie przedstawiają oni dla narodowego bytu. Tym kosztem wytworzył się moment bardzo przyjazny do odrodzenia pierwiastków zachowawczych w duszy narodu, do podźwignięcia z upadku zasad, o które w ubiegłych czasach walczył konserwatyzm we wszystkich krajach. Gdyby też istniał w naszym kraju obóz konserwatywny, chwyciłby on ten moment skwapliwie, podniósłby śmiało swój sztandar i pod hasłem usuwania rozkładowego wpływu żydowskiego zgromadziłby pod nim wcale niepoślednie zastępy. Takiego obozu wszakże nie mamy, bo konserwatyzm w ogóle w historii narodów europejskich karierę swoją już skończył. Nie znaczy to, żeby zbankrutowały wszystkie wartości moralne, w których obronie stawał. Znalazły się one na sztandarze nowego ruchu, idącego do szerokich mas społecznych z hasłem obrony moralnych podstaw narodowego bytu – ruchu narodowego, zwanego często przez przeciwników nacjonalistycznym, który u nas znalazł swój wyraz w stronnictwie demokratyczno-narodowym. Temu też stronnictwu przypadła rola przewodnika społeczeństwa w wyzwaniu się z pod żydowskiego wpływu.

Jakby dla umyślnego szyderstwa z konserwatyizmu, stronnictwo, które lubi o sobie mówić, że jest konserwatywnym, stronnictwo polityki realnej wystąpiło do energicznej walki w obronie Żydów i żydowskiego wpływu. Organy jego najdłużej wytrzymały na straconej pozycji programu asymilatorskiego, dowodząc najrozmaitszymi sztukami jego żywotności i wartości dla narodu. Kiedy, wobec widocznego zwracania się opinii kraju przeciw Żydom, w prasie warszawskiej zaaranżowano sprytny, acz nieudany figiel,

mianowicie zaatakowano „litwaków”⁷, a przeciwstawiano im Żydów asymilowanych jako beniaminków społeczeństwa polskiego – *Słowo* i *Kurier Polski* wzięły najwyższą nutę w tym chórze. Widoczne było wielkie niezadowolenie tych organów, kiedy im powiedziano z narodowego obozu, że kraj nasz stoi nie wobec „kwestii litwackiej”, ale wobec kwestii żydowskiej, obejmującej nie tylko świeżych przybyszów żydowskich, nie tylko agitatorów nacjonalistycznych, ale całą masę żydowską naszego kraju i również Żydów asymilowanych.

Na żadnym punkcie stronnictwo polityki realnej nie okazało się tak widocznym wrogiem zasad konserwatywnych, jak właśnie w kwestii żydowskiej.

⁷ Litwacy – Określenie ludności żydowskiej emigrującej z głębi Rosji do tzw. „stref osiedlenia” znajdujących się w zachodniej części Imperium Rosyjskiego – terenów dzisiejszej Litwy i Rosji na przełomie XIX i XX wieku. [redakcja]

III. Kwestia samorządu

Jednym z najdobitniejszych świadectw zaniku myśli konserwatywnej w polityce grupy „realistycznej” jest jej postępowanie w kwestii samorządu.

Grupa ta zawsze wysuwała osiągnięcie instytucji samorządu ziemskiego i miejskiego jako najgłówniejszy punkt swego programu. Przez długi czas program ten był jedynie pobożnym życzeniem, do jego zrealizowania brak było chęci ze strony rządu. Ci, którzy się z nim nosili, nie byli przeto zmuszeni do zagłębiania się w praktyczne trudności jego urzeczywistnienia na naszym gruncie, zwłaszcza, gdy idzie o samorząd miejski.

W kraju, w którym większość miast i miasteczek ma przewagę ludności żydowskiej, ludności, idącej zawsze ławą, głosującej solidarnie i zawzięcie broniącej swoich interesów przeciw interesom całego społeczeństwa, trzeba sobie przecież postawić przede wszystkim pytanie, jaki się chce mieć samorząd miast, czy służący interesom kraju, czy też żydostwa? To pytanie, z natury rzeczy, narzucało się zawsze, gdy mówiono o samorządzie miejskim. Politycy wszakże obozu „realistycznego” nie zdawali się widzieć w tym wielkiej trudności: mieli jakoby sposoby na to, żeby, nie zajmując w sprawie samorządu stanowiska przeciwnego Żydom, uczynić jednak ten samorząd pożytecznym dla kraju, zgodnym z interesami społeczeństwa polskiego. To stanowisko wszakże wystarczało dopóty, dopóki kwestia samorządu miejskiego pozostawała w dziedzinie idealnej. Z chwilą, kiedy weszła ona na drogę realizacji, kiedy rząd Stołypina projekt samorządu opracował i wniósł do Dumy, okazało się, że wszystkie, obmyślane przedtem sztuczne kombinacje są nic nie warte, że stanowisko przyjazne dla Żydów nie da się pogodzić ze stanowiskiem polskim, że trzeba wybierać pomiędzy jednym a drugim. I tu zaczęła się tragedia stronnictwa polityki realnej, tragedia, jak ktoś powiedział żartem, w stylu pseudoklasycznym, osnuta na motywie walki między miłością a obowiązkiem, między miłością dla Żydów a obowiązkiem względem kraju. Jest to, ma się rozumieć, żart, bo trudno przecież posądzać „realistów” o jakiś szczególny sentymentalizm w stosunku do Żydów. Tu była inna sprawa.

Niezależnie od względów, jakimi się kierował Stołypin w swoim projekcie samorządu, kwestię żydowską rozwiązał on na sposób zgodny z interesem naszego kraju. Ograniczenie procentowe radnych żydowskich zabezpieczało rady miejskie od bezpośredniego wpływu głosów żydowskich na ich uchwały, ustanowienie zaś wyborczej kurii żydowskiej odbierało Żydom możliwość wywierania wpływu pośredniego przez radnych polskich, którzy, dzięki systemowi kurialnemu, zostali od Żydów uniezależnieni. Wprowadzenie tych ograniczeń dawało możliwość ludności polskiej miast naszych wyłonienia z siebie zarządów miast i kierowania samorządem zgodnie z interesami kraju.

Okazało się wszakże, iż najoczywistsze dobro kraju staje się kwestią sporną tam, gdzie wchodzi w grę interesy Żydów lub gdzie załatwienie sprawy jest możliwe tylko przy nieliczeniu się z oderwanymi doktrynami, z którymi zżyły się pewne obozy

polityczne. Cały też obóz postępowy wielkim głosem zaprotestował przeciw ograniczeniu Żydów, jako pogwałceniu wielkiej zasady liberalnej, zasady równouprawnienia. Przyszło mu to zresztą bardzo łatwo wobec tego, że myśl jego nigdy naprawdę, nie zajmowała się sprawami realnymi, że zawsze bujała w dziedzinie zasad oderwanych, że polityka jego zawsze się sprowadzała do niewinnych zresztą protestów. Natomiast położenie stronnictwa polityki realnej wobec tej sprawy stało się wielce trudnym i skomplikowanym. Stronnictwo to protestów nigdy nie lubiło, do opozycji względem rządu nigdy nie miało wielkiej skłonności, oderwanego doktrynerstwa także nigdy głośno nie pochwalało, w nazwie swojej nawet proklamowało kult „polityki realnej”. Zdawałoby się tedy, że tam, gdzie idzie o realną korzyść kraju, w wyborze drogi wahać się nie powinno. I przez pewien czas istotnie wydawać się mogło, że wahać się nie będzie.

Poszczególni „realiści”, zapytywani jak się zapatrują na sprawę udziału Żydów w samorządzie wobec opracowanego przez rząd projektu, odpowiadali niezawodnie szczerze, iż sposób załatwienia tej sprawy przez rząd odpowiada całkowicie ich dążeniom i przekonaniom.

Odpowiadając tak atoli, nie wiedzieli oni pewnie, co noszą w zanadrzu właściwi kierownicy stronnictwa. Gdy przyszło też do oficjalnego wypowiedzenia się, stronnictwo stanęło w opozycji do projektu rządowego na tym punkcie. Jego stanowisko w tej sprawie przechodziło różne fazy. Był moment, kiedy się zdawało, że bronić będzie całkowitego równouprawnienia Żydów. „To moja religia – równouprawnienie wszystkich obywateli” – wypowiadali się jego przedstawiciele na naradach międzypartyjnych, a zarząd stronnictwa, jakkolwiek wstrzeźliwszy w wyrażeniach, to samo stanowisko najwidoczniej zajmował. Rozmaici ludzie patrzyli na to ze zdumieniem i zadawali sobie pytanie: co to za stronnictwo konserwatywne, którego religię stanowią zasady wielkiej rewolucji? Na tym wszakże stanowisku „praw człowieka” stronnictwo nie wytrzymało. Widocznie nacisk żywiołów, niepozabawionych zdrowego sensu i posiadających poczucie interesów kraju, wywarł swój wpływ i zmusił zarząd do pogodzenia się z koniecznością procentowego ograniczenia Żydów. Natomiast z całą forszą zaczęło stronnictwo zwalczać ustanowienie kurii żydowskiej.

Ci, którzy z bliska patrzyli na to, co się robiło u nas w tej sprawie, wiedzą dobrze, jakich wysiłków, jakich kunsztownie obmyślanych sposobów używali kierownicy stronnictwa, ażeby nie dopuścić do wyrażenia się opinii naszego kraju na korzyść ustanowienia kurii żydowskiej, ażeby wpłynąć na Koło Polskie, iżby się przeciw jej ustanowieniu oświadczyło; wszyscy zaś, czytający gazety, wiedzą, jak bezwzględnie organy „realistyczne” potępiały nasze przedstawicielstwo w Dumie po deklaracji Jarońskiego za kurią. Powstaje pytanie: czym się kierowało tutaj stronnictwo, o co mu chodziło? Na pytanie to dawali odpowiedź sami kierownicy stronnictwa, motywując swoje stanowisko. Według nich nie można było dopuścić do tego, ażeby Żydzi byli odgradzeni od Polaków, gdyż to by położyło tamę dalszemu zbliżeniu tych dwóch żywiołów, powstrzymało „uobywatelnienie” Żydów, ich asymilację; nadto wobec tego, że Żydzi, oddzieleni w osobną kurię, na pewno nie będą wybierali do rad miejskich

przedstawicielei asymilowanej inteligencji żydowskiej, najcenniejsi dla społeczeństwa polskiego Żydzi asymilowani będą praktycznie pozbawieni udziału w samorządzie. To stanowisko jest całkiem zrozumiałe: można uważać za rzecz naturalną, że danej grupie chodzi o zbliżenie żydowsko-polskie, że zależy jej na tym, ażeby asymilowani Żydzi odgrywali wydatną rolę w naszym życiu społecznym. Tylko niech ta grupa nie twierdzi, że jest przedstawicielką konserwatyzmu. Bo przecież nie ma żywiołu bardziej wrogiego wszelkim zasadom i dążeniom konserwatywnym, jak inteligencja żydowska. Nie tylko w naszym kraju, ale wszędzie stoi ona na czele obozów, zwalczających konserwatyzm na wszystkich punktach i niszczących w życiu społeczeństw wszystko to, co uczciwemu, szczeremu konserwatystyście musi być drogie, co jest dla niego święte. Wiemy przecież, w jakim duchu prowadzony jest zarząd tych miast w ościennych państwach, gdzie Żydzi rozporządzają poważniejszym wpływem.

Na tym sprawa się nie kończy. Niepodobna przypuścić, ażeby kierownicy stronnictwa polityki realnej nie zdawali sobie sprawy z tego, że bez wprowadzenia kurii, przy wspólnym głosowaniu Polaków z Żydami większość naszych miast i miasteczek miałaby radnych wybranych przez Żydów. Chociaż ci radni, wobec procentowego ograniczenia Żydów, byłiby w ogromnej większości chrześcijanami, to jednak, przechodząc przy wyborach głównie głosami żydowskimi, byłiby oni od Żydów bezwzględnie uzależnieni, musieliby ich życzeniom dogadzać, ich dążenia popierać, ich interesom służyć. Wytworzyłoby się położenie niesłychanie demoralizujące, mogące leżeć tylko w interesie wrogów naszego społeczeństwa, naszej religii, a także bezwzględnych wrogów konserwatyzmu. To wszystko musieli rozumieć kierownicy stronnictwa polityki realnej, a jednak to im nie przeszkodziło z całą zawziętością walczyć przeciw ustanowieniu kurii żydowskiej.

Dodać należy, że sprawa żydowska w samorządzie – to jedna z nielicznych spraw politycznych, w których stronnictwo polityki realnej zdobyło się ostatnimi czasy na istotną energię, w której zrobiło niemałe wysiłki czynne. Świadczy to, jak ważną, jak drogą była ta sprawa kierownikom stronnictwa.

I po tym wszystkim ci ludzie jeszcze mówią, że są przedstawicielami konserwatyzmu w naszym kraju.

IV. Pozory a rzeczywistość

Zatrzymaliśmy się dość długo nad ewolucją tej grupy politycznej Królestwa, której istnienie zaczęło się od naśladowania konserwatyizmu galicyjskiego. Chodziło nam o wykazanie faktami, jak ta grupa, złożona w znacznej mierze z ludzi dobrej woli, gorąco pragnących przyczynić się do poprawy narodowego położenia, z drugiej zaś strony, z ludzi niepozbawionych zdolności i umysłowej kultury, poszła szybko w swym rozwoju w kierunku, całkiem sprzecznym z pierwotnymi założeniami. To samo, jak już wskazaliśmy, stało się z partią konserwatywną krakowską, ale tam ta ewolucja tłumaczy się zwycięstwem interesu partii nad interesem narodu, dążeniem za wszelką cenę do władzy, polityczną wprost niemoralnością, cynizmem, który znalazł swą przerażającą ilustrację w świeżo ujawnionych zakulisowych działaniach partii. Wprawdzie i tam nie można wszystkich, należących do partii ludzi podciągnąć pod jeden moralny strychulec i jednakowo kwalifikować, i tam znajdujemy w łonie partii żywioły lepsze, które by w innych warunkach uczciwie, po obywatelsku sprawowały narodową służbę. Tylko panująca atmosfera polityczna, wytworzona przez długoletnie rządy partii, zaślepiła tych ludzi lub daje im fałszywy kąt patrzenia, sprawia, że w pogoni za władzą nie zadają sobie nawet pytania, co naród na ich polityce zyskuje lub traci. Tu, w Królestwie atmosfera polityczna jest inna i inni są ludzie.

Wśród ziemian, należących do tzw. „polityki realnej”, nie spotykamy się na ogół z tym cynizmem politycznym, jaki znamionuje polityków krakowskich. Niektórzy czasem ten cynizm udają, zapożyczają jego pozory, żeby wyglądać na dojrzałych i wytrawnych polityków, ale w głębi duszy go nie ma, bo żadna doktryna ludzi gruntownie nie zdemoralizuje, jeżeli temu nie sprzyjają praktyczne warunki życia. Warunki zaś nasze, w których polityka nie daje osobistych korzyści, a jeżeli w bardzo skąpy sposób zaspakajać może pewne ambicje, to wymaga za to niemałych ofiar, warunki te pola do takiej demoralizacji nie przedstawiają. To też wśród ludzi, o których mowa, spotykamy się często ze szczerą, gorącą chęcią zrobienia dobrze dla kraju, wybrania w polityce drogi najkorzystniejszej dla narodu, ludzi których ambicją jest stawać we wszystkich sprawach na stanowisku szczerym, uczciwym, obywatelskim.

Pomimo to stronnictwo, do którego ci ludzie należą, przechodzi ewolucję, w ciągu której działania jego stają się coraz jaskrawszym zaprzeczeniem jego ideowych założeń, wierzeń jego członków, nawet dziś proklamowanych głośno jego haseł. Ogłasza ono, że jest konserwatywnym i wielu jego ludzi uważa się za rzetelnych konserwatystów – a popiera w życiu politycznym kierunki, najbardziej wrogie konserwatyzmowi, pracujące gorliwie nad zniszczeniem resztek pierwiastków zachowawczych w naszym narodzie; stara się uchodzić za jedyne naprawdę katolickie, istotnie dbające o Kościół, ma w swym łonie niejednego szczerego, gorącego katolika, nie szczędzi też frazesu katolickiego w swych organach i wyrazów hołdu dla hierarchii kościelnej – a w praktycznym działaniu politycznym wysila się dla zapewnienia siły i wpływu żywiołom najbardziej wrogim

religii i Kościołowi, przede wszystkim zaś Żydom; wywiesiło na swoim sztandarze realizm polityczny, uznało za swoją główną zasługę od początku swego istnienia walkę z frazesem, obronę, umiarkowania i zasady kompromisu przeciw nieprzejednanej bezmyślności – a umiało podczas ostatnich wyborów do Dumy stanąć w Warszawie po stronie tzw. koncentracji i, nieśmiało co prawda (niektórzy jego członkowie – z furją), poprzeć kandydata⁸, reprezentującego właśnie bezmyślny frazes nieprzejednany, nieszkodliwego zresztą człowieka, który z demokracji narodowej usunął się był, zarzucając jej zbytnią kompromisowość.

Ostatni ten fakt jest bardzo znamieny i tym ciekawszy, że na prowincji „realiści” poszli inną drogą: w Kieleckim nie zwalczali kandydata, który się naraził Żydom przez złożenie w Dumie słynnej deklaracji w sprawie ograniczeń i kurii żydowskiej, w Radomskim zaś popierali kandydata demokracji narodowej przeciw politycznemu współwyznawcy warszawskiego kandydata koncentracyjnego. Ujawniła się tym sposobem ciekawa rozbieżność między „realistami” prowincjonalnymi a sztabem warszawskim.

Można by cały świat schodzić i nigdzie by się wśród stronnictw politycznych nie spotkało takiego dziwoląga, jak nasze stronnictwo polityki realnej. Robi ono wrażenie grupy politycznej, niemającej żadnej przewodniej myśli, niewiedzącej dobrze, czego chce, a w każdym razie wybierającej środki, prowadzące do całkiem przeciwnego celu, niż ten, który sobie założono. Jest w tym jego charakterze coś monstrualnego, co by się nie dało w żaden sposób wytłumaczyć, gdybyśmy nie wiedzieli o genezie stronnictwa, o jego dwoistym początku. Nieszczęściem jego było to, że powstało z połączenia dwóch sprzecznych, całkiem przeciwnych sobie żywiołów, z małżeństwa konserwatywno-liberalnego, w którym liberalna żona, ofiarowawszy się na skrzętną gospodynię i skorzystawszy z dobroduszości i ociążałości umysłowej konserwatywnego męża, mówiąc trywialnie, wzięła go dobrze pod pantofel. I tak, jak żona często, zachowując sobie władzę i decydowanie o wszystkim, mężowi łaskawie ofiarowuje pozory autorytetu – liberalni kierownicy stronnictwa, prowadząc je umiejętnie w duchu swoich dążeń, ubierają swą politykę we frazes konserwatywny dla zadowolenia tych członków i przyjaciół stronnictwa, którym jeszcze coś z aspiracji konserwatywnych pozostało.

My, Polacy, pod pewnymi względami jesteśmy jednym z najbardziej młodzieńczych narodów w Europie. Trudno gdziekolwiek znaleźć ludzi, którym by, tak

⁸ Chodzi o Jana Kucharzewskiego (1876-1952) – polskiego polityka powiązanego początkowo z Ligą Narodową i Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Kucharzewski, wraz z grupą innych działaczy wystąpił z Ligii i Stronnictwa (tzw. „secesja”) na skutek prorosyjskiego stanowiska władz organizacji. W 1912 wystartował w wyborach do Dumy w ramach komitetu „Koncentracji Narodowej” wystawionego przez secesjonistów. W latach 1917-1918 Prezydent Ministrów Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego. [redakcja]

jak nam, pozory za treść starczyły, którzy by umieli tyle poświęcić, tyle się wyrzec rzetelnej treści dla zdobycia lub utrzymania pozorów. Rzadko zastanawiamy się nad tym, czym jesteśmy, ale ani na chwilę nie przestajemy troszczyć się o to, za co jesteśmy uważani. Nasz patriotyzm polega na tym, żeby być uważanymi za dobrych Polaków, nasza religijność – żeby wyglądać na dobrych katolików, nasza mądrość – żeby wygłaszać zdania, które przez innych będą uważane za rozumne, nasza kultura – żeby robić to, co robią ludzie cywilizowani, nie zadając sobie nawet pytania, dlaczego i po co to się robi. Ta nasza właściwość nie jest jakimś tragicznym kalectwem charakteru narodowego, nad którym należałoby rozpaczać; jest to tylko wyraz naszej niedojrzałości, wynik naszej historii, która na długi czas, na parę stuleci, przestała być szkołą, wychowującą jednostkę ludzką, posuwającą naprzód jej moralne dojrzewanie. Jeszcześmy nie doszli do tego wieku męskiego, w którym człowiek ma swój własny rozum i swoje własne sumienie, ma miarę złego i dobrego w samym sobie. Jak niedojrzały młodzieniec, szukamy tej miary poza sobą, naśladujemy niezrozumiałe wzory, wysilamy się na to, żeby na coś wyglądać, nie zapytując siebie nawet czy naprawdę tym jesteśmy. Ściśle mówiąc, przeważnie jeszcze nie chodzi nam wcale o to, żebyśmy czymś naprawdę byli. Na najwyższych szczeblach naszego społecznego życia i na najwyższych poziomach naszego umysłowego rozwoju mamy ludzi, którzy nie myślą o tym, czym są, ale jak wyglądają.

Dlaczegożby w tych warunkach nasz konserwatyzm nie miał polegać na tym, żeby wyglądać na konserwatystów, nie troszcząc się wcale o to, czym się jest w istocie? Na tym właśnie polega dobra orientacja psychologiczna kierowników stronnictwa polityki realnej, iż zrozumieli oni, że zwolennikom dać trzeba przede wszystkim pozory, że można w treści pozwolić sobie nawet na konsekwentną walkę z konserwatyżmem, byle się pozory, byle się frazes konserwatywny zachowało.

V. Walka z ruchem demokratyczno-narodowym

„Konserwatyzm jest siłą, obudzoną do działania przez rewolucję francuską i walczącą przeciw tendencjom tej rewolucji”. Tak go określa jeden z najwybitniejszych dziś przedstawicieli stronnictwa konserwatywnego w angielskiej Izbie Gmin⁹. Te parę słów ściśle wyraża istotę konserwatyizmu, jego genezę i znaczenie w życiu politycznym Europy. Konserwatyzm był kierunkiem, organizującym obronę tego, co rewolucja obalała.

Obrona ta, jakkolwiek w rozmaitych krajach zacięta, była prowadzona bez wielkiego powodzenia. Przez całe XIX stulecie, w walce z obozami, wyprowadzającymi swój program z rewolucji francuskiej, konserwatyzm musiał ustępować pozycję za pozycją, aż w jednych krajach całkowicie zbankrutował, w innych zaś został zepchnięty na podrzędne stanowisko w politycznym życiu. Roznosicielka zasad rewolucji po Europie, liberalna demokracja szła naprzód przez całe to stulecie w zwycięskim pochodzie, wywracając w duchu swoich dążeń ustroje polityczne państw i opanowując życie narodów. Dopiero w ostatnich czasach zaczyna ona znajdować potężnego przeciwnika w siłach, które sama wyprowadziła na widownię, w powołanych do życia politycznego szerokich masach, które, doszedłszy do głosu, ujawniają w życiu politycznym swe instynkty narodowe. Od dłuższego czasu rozlega się po Europie głos skargi na wzmożenie się, wyłączności narodowej, na nacjonalizm, szowinizm, militaryzm, coraz silniej ujawniający się w życiu narodów, na reakcje, idącą od dołu, na barbarzyństwo, dążące do zniszczenia wielkiego dzieła humanitarne. To epigonowie rewolucji francuskiej, którzy już widzieli się panami świata, wyrażają troskę o przyszłość swych idei, zagrożonych przez ich własne dzieło. Ich żal i oburzenie jest zrozumiałe. Zdawało im się, że urządzenie świata według dogmatów rewolucji jest na ukończeniu, że to dzieło, rozpoczęte zgilotynowaniem lub wyrzuceniem za granicę arystokracji i szlachty francuskiej, a później prowadzone szybko naprzód przez zwycięstwa nad obozami konserwatywnymi we wszystkich krajach, nie napotka już żadnej poważnej przeszkody. Nie przewidzieli, że znajdzie ono najpotężniejszego, niezwykłego wroga w instynktach narodowych mas, na których się oprze nowy kierunek, kierunek narodowy, który postawi ojczyznę ponad wszelkie doktryny i dogmaty polityczne i który w imię tej ojczyzny wystąpi do walki z kosmopolitycznym doktrynerstwem, z rządami międzynarodowego masoństwa i żydostwa, który podniesie wypuszczony z rąk przez konserwatyzm sztandar obrony tradycyjnych podstaw społecznego bytu. Nie spodziewali się tego, że koniec XIX stulecia, moment, kiedy po stuletniej walce zaczepnej przeciw zajmującemu pozycję obronną konserwatyzmowi mogli już otrąbić swoje całkowite prawie zwycięstwo, jest tylko momentem, w którym zaczyna się nowa walka. W tej walce nowej im pozostaje już

⁹ Lord Hugh Cecil. *Conservatism*. Londyn 1913.

pozycja obronna, a rola zaczepna przypada nowemu prądowi narodowemu, idącemu do ataku w imię ojczyzny.

Żywioły konserwatywne w rozmaitych krajach bądź w ten nowy prąd weszły, bądź szukają z nim zbliżenia, rozumieją bowiem, że w nim tylko mogą znaleźć ocalenie te ich aspiracje i dążenia, którym warunki życia nowoczesnego żyć pozwalają.

To jest treść dzisiejszego życia politycznego w Europie. W tym życiu okres walki między demokracją a konserwatyzmem jest właściwie zamknięty, a rozpoczął się już okres nowy: jego treść stanowi walka pomiędzy kierunkiem narodowym a mniej lub więcej wyraźnie kosmopolitycznymi epigonami rewolucji francuskiej, zorganizowanymi w partie liberalne, radykalne, postępowe, socjalistyczne itp.

W Polsce, dla przyczyn, o których mówiliśmy na początku, konserwatyzmu w znaczeniu europejskim nie było. Te żywioły społeczne, które na Zachodzie stanowiły ostoję konserwatyzmu, u nas, zorganizowane w lożach wolnomularskich, pracowały nad częściowym przynajmniej wcieleniem w życie zasad rewolucji francuskiej. Konserwatyzm polski organizuje się naprawdę dopiero w drugiej połowie XIX stulecia, pod wpływami zachodnimi, przede wszystkim zaś pod wpływem dwóch zachodnich państw rozbiorczych, Austrii i Niemiec, organizuje się wtedy, kiedy już gdzie indziej chylił się ku swemu upadkowi. Nie mając silnych podstaw wewnątrz społeczeństwa, przy coraz słabszym podtrzymaniu z zewnątrz – w Austrii rząd coraz więcej był zmuszony do kokietowania z demokracją w jej różnych formach, w Niemczech zaś katolickie centrum coraz bardziej ujawniało dążenia narodowe niemieckie i oddalało się od Polaków – tak późno narodzony konserwatyzm polski nie był w stanie dojrzeć i spotężnić. Ze wszystkich jego ugrupowań – w zachodniej i wschodniej Galicji, w Poznańskim, a później i w tutejszej dzielnicy – jedna tylko partia konserwatywna krakowska wykazała zarówno sprawną organizację, jak i poważniejszą siłę intelektualną i polityczną twórczość. Dzięki temu stała się ona główną przedstawicielką i duszą konserwatyzmu polskiego, na nią żywioły konserwatywne wszystkich dzielnic zaczęły się oglądać i od niej natchnienia odbierać.

Ta wszakże partia bardzo prędko zwyrodniała. Żądza władzy, interes partyjny rozrósł się w niej tak potwornie, że w jego cieniu uschły wszystkie słabe płonki ideałów konserwatywnych. Do jej steru przyszli ludzie, którzy nigdy naprawdę konserwatystami nie byli, którzy nawet myśleć konserwatywnie nie umieli, którzy w wyborze stronnictwa dla siebie posługiwali się jedną tylko miarą – czy to stronnictwo może im zapewnić stanowiska, korzyści, wpływy, władzę... Przy ich rządach stronnictwo zaczęło mieć wszystko na sprzedanie, byle sobie władzę mogło kupić. W twierdzy konserwatyzmu polskiego, w Krakowie, pod jego sztandarem została zorganizowana polityka sojuszków z wszelkiego rodzaju bandytyzmem politycznym, matactwa bez wiary, bez przekonań, bez żadnego wyższego celu, intryg, przekupstwa, czerpania z funduszków dyspozycyjnych rządu... Byle rządzić, byle panować, byle utrzymywać w swych rękach władzę nad krajem i dostęp do dobrodziejstw, płynących od rządu – mniejsza o to, co się w ten sposób

przygotowuje dla przyszłości narodu, co będzie po nas. *Après nous, le déluge*¹⁰... Konserwatyzm wywietrzył – pozostał osad, pachnący mafią.

Tak skończyła swój żywot myśl konserwatywna polska w głównej swojej, przodującej organizacji – w partii krakowskiej. Nie przyczyniło się to do wzmocnienia jej w innych organizacjach, w których życie tej myśli od początku słabszym biło tętnem – wśród konserwatystów wschodnio-galicyjskich lub poznańskich. Niemniej przeto tam myśl ta jeszcze żyje i stara się znaleźć swój wyraz w życiu. Natomiast ewolucja partii konserwatywnej krakowskiej fatalnie wprost oddziaływała na żywioły konserwatywne Królestwa, które na niej się wzorowały, od niej odbierały natchnienia, ją uważały za niezachwiany autorytet. Wyrodnienie partii krakowskiej ogromnie ułatwiło zniszczenie zaczątków konserwatyizmu w Królestwie tym, którzy to sobie za cel postawili. Krótka historia konserwatyizmu polskiego w naszej dzielnicy, jak świadczy wyżej podany jej zarys, jest tragikomedią, niemającą nic sobie podobnego w polityce całego świata.

Państwo rosyjskie do początku XX stulecia broniło się od pójścia za Europą w przekształceniu swego ustroju. W społeczeństwie, trzymanym z daleka od rządów, od udziału w prawodawstwie, nie mogło tedy być mowy o właściwej walce obozów politycznych. W większym jeszcze stopniu trzeba to powiedzieć o społeczeństwie polskim pod panowaniem rosyjskim, usuniętym nawet od udziału w zarządzie gospodarczym kraju i surowo strzeżonym przez policję i cenzurę, niepozwalającą na żaden wyraz politycznej myśli. Skutkiem tego walka obozów europejskich nie mogła tu znaleźć ścisłego odbicia politycznego. Z tym większą namiętnością rozwinęła się ona w postaci oderwanej od praktycznego działania, występując jako walka o idee filozoficzne, religijne, etyczne, literackie itd.

Do ostatniego powstania zasady rewolucji francuskiej przenikały do Polski w tej postaci, w jakiej je mogła przenosić na nasz grunt kierująca życiem narodu szlachta. Ta, z natury rzeczy, przejmowała się głównie politycznymi ideałami demokracji europejskiej. Po bankructwie tej polityki, którą by z pewną słuszością można było określić, jako szlachecko-rewolucyjną, po upadku ostatniego powstania, myśl polska w naszej dzielnicy weszła w nową fazę: zjawił się silny prąd, dla którego i rewolucyjny demokratyzm szlachecki był wstecznictwem, który na gruncie niepolitycznym poszedł z furią do ataku na całokształt pojęć społeczeństwa, na jego wierzenia religijne, na ideały narodowe, na przywiązanie do tradycji, na wszelką hierarchię...

Była to w pewnym sensie niekrwawa rewolucja mieszczańska przeciw panowaniu w społeczeństwie szlachty z jej wierzeniami, przywiązaniami, z jej całą dotychczasową ideologią.

¹⁰ (fr.) „Po nas choćby potop” [redakcja]

Na krótki czas zawrzała zacięta walka między tym nowym ruchem a obozem szlachecko-konserwatywnym, walka, w której nowy prąd szybko czynił zdobycze. Bardzo prędko wszakże ta walka ucichła, uwaga od niej została odciągnięta w innym kierunku. Stało się to w sposób dosyć sztuczny.

Zwyczajny prąd liberalny rozszczepił się na dwa odłamy: jeden, radykalniejszy, na długo pozostał w dziedzinie całkowicie niepolitycznej i pod nazwą postępowego otwarcie zwalczał wszelki pierwiastek zachowawczy w społeczeństwie; drugi, umiarkowańszy związał się ze świeżo powstającą pod natchnieniami Krakowa grupą konserwatywną, żywiącą aspiracje polityczne, po to, by nie walcząc otwarcie z konserwatyzmem, przy pomocy umiejętnej pedagogii politycznej doprowadzić do rozkładu wszelkie pojęcia konserwatywne w tej grupie. Ten drugi odłam, wysunawszy na front zagadnienia polityczne, zagadnienia stosunku do rządu i do państwa, odwrócił, całkowicie uwagę konserwatystów od walki z rosnącym ciągle w społeczeństwie liberalizmem i radykalizmem, a skierował ich do walki z prądem narodowym, wskazując w nim jedyne niebezpieczeństwo dla kraju.

Powoli nawet, stopniowo nauczył on konserwatystów, że liberalizm, radykalizm, nawet socjalizm może być dla nich pożądanym sojusznikiem do walki z niebezpieczeństwem ruchu narodowego.

Gdy się okazało, że niebezpieczne zamierzenia, jakie przypisywano obozowi narodowemu, występującemu pod nazwą stronnictwa demokratyczno-narodowego, są właściwie mitem, pochodzącym z nie dość głębokiego poznania jego ideologii lub też z umyślnej mistyfikacji jego przeciwników – początkujący konserwatyści tak już byli związani z liberałami, tak zdemoralizowani przez nich politycznie, tak umocnieni w poczuciu interesu partyjnego, nakazującym szukać wszelkich, najbardziej nawet nieprawych sojuszów przeciw demokracji narodowej, jako stronnictwu najsilniejszemu w kraju, że nawrócenie już na jedyną, właściwą dla konserwatyzmu polskiego drogę było niemożliwe. Przepaść między nimi a obozem demokratyczno-narodowym, która w zakresie jątrzących do niedawna zagadnień polityki zewnętrznej w znacznej mierze się wyrównała – bo nowe warunki zmusiły obie strony do zmiany praktycznego stanowiska – ta przepaść zaczęła się coraz bardziej pogłębiać w zakresie zagadnień wewnętrznych. Wśród tych największą rolę odegrała kwestia żydowska. Ludzie, uważający się za konserwatystów i katolików, a przynajmniej firma tych ludzi umiejętnie została zużytkowana do obrony pozycji i wpływów żydostwa w naszym kraju. Konserwatyści polscy pod umiejętną komendą swych liberalnych kierowników pomaszzerowali z Okopów Świętej Trójcy do Kahału...

Ludzie, należący u nas do stronnictwa polityki realnej, mieniącego się konserwatywnym i katolickim, mają złudzenie, że zajmują stanowisko ponad innymi stronnictwami, stanowisko jakby superarbitrów w sporach partyjnych. To im niezmiernie schlebia. W złudzeniu tym utrzymuje ich prasa stronnictwa, nadająca sobie odpowiedni ton i z wysokości koturnów dająca innym stronnictwom nauki, z których

sobie zresztą nikt nic nie robi, ile że najwidoczniej sami autorzy tych nauk poważnie ich nie traktują. Ukontentowani swą rzekomą rolą superarbitrów i mediatorów, nie widzą oni, że właściwie stronnictwo ich jest organem pomocniczym akcji, stawiającej sobie za cel zniszczenie w naszym społeczeństwie resztek zachowawczości, osłabienie jego narodowych instynktów, wzmocnienie w nim rozbieżnych dążeń klasowych, wpływu żywiołów obcych, a przede wszystkim Żydów, dezorganizacją wszelkich usiłowań zjednoczenia go w konsekwentnej polityce wewnętrznej i zewnętrznej, w polityce, która nie służy żadnym doktrynom ani partykularnym interesom, ale której jedynym celem jest realne dobro narodu i jego przyszłość. Tym ludziom wystarcza to, że w organach swojego stronnictwa czytają wygłaszane ze sztuczną powagą napomnienia pod adresem tej lub innej grupy, że „postępowcom” zgani się tam jedno, a „ludowcom” drugie. Nie zadają oni sobie nawet pytania, czy te platoniczne uwagi mają jakiegokolwiek znaczenie; a tymczasem „postępowcy” i nawet „ludowcy” wiedzą bardzo dobrze, iż autorzy tych uwag gorąco im życzą, ażeby jak najlepiej im się udawało podkopywanie wpływów demokracji narodowej i anarchizowanie społeczeństwa we wszystkich jego warstwach. Ileż to razy słyszeliśmy wybitnych „realistów”, jak z błyskiem radosnej nadziei w oczach mówili nam, że nasze dzieło moralnego i politycznego zbliżenia ludu z oświeconymi warstwami narodu musi być krótkotrwałe, bo przeciwieństwa klasowe prędzej czy później muszą wziąć górę... Widocznie głęboko zapadła im w duszę nauka krakowska, że lepiej mieć do czynienia ze Stapińskimi, z organizatorami nienawiści klasowej, niż z ludźmi, którzy idą do ludu, wskazując mu jego jedność z całym narodem i jego obowiązki obywatelskie.

Tymczasem, jeżeli polityka konszachców ze Stapińskimi zadała ciężką ranę naszemu narodowi w Galicji, w tej dzielnicy, gdzie władza znajduje się w rękach polskich – u nas byłaby ona wprost morderczą. Jeżeli u nas klasowe interesy zwyciężą, to trzeba będzie postawić krzyż nad sprawą polską w całym jej zakresie.

Odmienne koleje dziejowe naszego narodu od reszty Europy i wynikająca stąd różnica naszego charakteru politycznego od charakteru innych narodów sprawiła że w społeczeństwie naszym nie było gruntu dla konserwatyizmu w znaczeniu europejskim, że zjawił się on u nas dopiero bardzo późno, pod wpływami obcymi, że nie miał czasu dojrzeć ideowo, że nie miał zresztą do tego danych, bo w samych jego przedstawicielach instynkty konserwatywne nie były mocne. Zwyródniał on też bardzo prędko – z konserwatyizmu został prawie tylko wyraz.

Tak samo odmienne właściwości charakteru politycznego, odmienny duch naszego narodu, a przy tym wyjątkowe jego położenie polityczne po upadku własnego państwa, sprawiły, że w ruchu narodowym, stawiającym ojczyznę ponad wszelkie doktryny i dogmaty polityczne, wyprzedziliśmy inne narody. Wyprzedziliśmy je nie tylko w ekspansji tego ruchu, w liczebnej jego sile, ale poniekąd także w jego ideologii, w pogłębieniu teoretycznych podstaw kierunku. W pismach nacjonalistów francuskich lub włoskich dopiero dziś zjawiają się niektóre myśli, niektóre pojęcia o istocie narodowego bytu i narodowej polityki, które u nas od dłuższego czasu już były w obiegu. Nasz obóz demokratyczno-narodowy może śmiało powiedzieć, iż o wiele głębiej swoje

cele rozumie, o wiele jaśniej zdaje sobie sprawę ze swych zadań, niż nacjonalizm w krajach starszych cywilizacyjnie. Zdobył on też przeważający wpływ na opinię kraju wtedy, kiedy tam dopiero analogiczne obozy zaczęły się organizować do walki z panującymi w społeczeństwie epigonami rewolucji francuskiej.

Na tym się nie kończą jeszcze te różnice.

Gdy konserwatyzm na Zachodzie, zmuszany przez całe XIX stulecie do ustępowania przed zwycięskim pochodem demokracji, w końcu tego stulecia spostrzegł wyrastający z szerszych mas nowy ruch narodowy, od razu zrozumiał, że w nim znajdują ocalenie te zasady zachowawcze, które w dzisiejszym życiu ocalić się dadzą. Widzimy też, jak w rozmaitych krajach do tego ruchu się zbliżył lub z nim związał. W Anglii dawny toryzm, związawszy się z odszczepieńcami od partii liberalnej na gruncie sprawy czysto narodowej, mianowicie w opozycji przeciw irlandzkiemu *home rule'owi*¹¹, wytworzył stronnictwo unionistyczne, które dziś w swoim głównym charakterze nie jest niczym innym, jak organizacją nacjonalizmu angielskiego. I jeżeli to stronnictwo ma widoki zwycięstwa nad rządzącymi dziś liberałami i radykałami, to wie ono dobrze, że osiągnąć je może jedynie na gruncie zagadnień ściśle narodowych. Jeżeli naród angielski odda mu z powrotem rządy, to tylko jako lepszemu organizatorowi obrony kraju i interesów narodu przed niebezpieczeństwem ze strony obcych wrogów oraz jako wrogowi na zewnątrz małodusznych humanitarystów, których dziś opinia angielska nazywa „małymi Anglikami (*little Englanders*)”. We Francji niedobitki konserwatystów widzą właściwie całą swoją nadzieję w rozwoju ruchu nacjonalistycznego. W Niemczech konserwatyzm niejako utożsamiał się z nacjonalizmem, a nawet prześladowana do niedawna konserwatywna organizacja katolików niemieckich, centrum, dziś coraz silniejszym jest wyrazem narodowych dążeń niemieckich. W Polsce żywiły, które wystąpiły na widowie polityczną pod mianem konserwatystów, w nowym ruchu narodowym, wyrażającym politykę narodowego interesu, i w organizacji tego ruchu uznały... głównego swego wewnętrznego wroga. Poszły one na sojusze z najzaciętszymi wrogami konserwatyizmu i niszczycielami pierwiastków zachowawczych w społeczeństwie – liberałami, postępowcami, ludowcami, socjalistami, z Żydami wreszcie, byle tylko przy ich pomocy skutecznie się obozowi narodowemu przeciwstawić. Takim okazem polityki „konserwatywnej” żaden kraj na świecie pochwalić się nie może...

Wszelkie życie, wszelkie postępowanie wbrew naturze mści się zawsze okrutnie. To też nienaturalne te związki polityczne doprowadziły konserwatyzm polski do całkowitego zwyrodnienia. Nie tylko wszakże sam konserwatyzm zapłacił ich koszta.

¹¹ Home rule – określenia na żądania stawiane Wielkiej Brytanii przez irlandzkie partie polityczne od 1870 roku na drodze parlamentarnej, dążące do federalizacji Zjednoczonego Królestwa i nadania Irlandii pełnej autonomii oraz równouprawnienia katolików. [redakcja]

Płaci je kraj, płaci cały naród. Wynikiem tej polityki *contra naturam*¹² jest wewnątrz społeczeństwa anarchia myśli, rozwydrzenie wszelakich antagonizmów i marnych ambicji, brak wszelkiej wewnętrznej karnośći w społeczeństwie, brak silnej opinii narodowej, której zorganizowaniu obóz rzekomo konserwatywny systematycznie przeszkadzał i przeszkadza, rozpanoszenie się w naszym życiu politycznym niewiary, intrygi, kłamstwa. Tym samym otrzymujemy fatalny wynik na zewnątrz – mianowicie całkowitą niezdolność naszego narodu do zorganizowania polityki obrony swego dobra przed obcymi zamachami, polityki rozumnej, konsekwentnej, celowej. Żywioty, z którymi tzw. konserwatyści wiążą się sojuszami, chociażby miały nawet dostateczną siłę liczebną, takiej polityki nie organizują, bo nie umieją narodowo i politycznie myśleć. Obóz narodowy nie organizuje jej także, bo ci, od których jako od względnie dojrzałych i rozważnych, powinien doznać poparcia, myślą tylko o tym, żeby mu się nie dać wzmocnić, i w tym celu popierają przeciw niemu wszelką anarchię. Toteż w ciągu całych naszych dziejów porozbiorowych nie było momentu, kiedy by w naszym narodzie panowała taka anarchia myśli politycznej, taki chaos rozbieżnych dążeń, taka bezradność, nie bierna, ale pozornie czynna wobec zewnętrznych ciosów. Jesteśmy, jak organizm ze sparaliżowanymi ośrodkami, zdolny tylko do odruchów, do bezplanowego i bezsensownego wierzenia we wszystkie strony, który tym szamotaniem się sam jeszcze swoje siły coraz bardziej wyczerpuje. Doszliśmy już do znieczulenia nawet na największe potworności polityczne w naszym życiu. Nie ma bodaj najbardziej szkodliwych dążeń, najbardziej nieprawnych aspiracji, które by ze strony „poważnej i rozważnej” nie doznały głośnej lub milczącej opieki.

Na szczęście zanoszą się bodaj na duże zmiany w naszych stosunkach wewnętrznych. Ostatnie fakty z zakresu naszej pseudokonserwatywnej polityki są już tak jaskrawe, tak potworne, że najbardziej znieczulone społeczeństwo nie może ich chyba strawić. Uważać je można za znaki zbliżającej się likwidacji tego, co się w Polsce nazywa konserwatyżmem, a co od dawna straciło do tego prawo. Im prędzej ona nastąpi, tym lepiej dla ludzi i dla narodu...

Nie przesądzamy, czy w społeczeństwie naszym jest grunt dla obozu istotnie konserwatywnego. Jeżeli jest, to niechże taki obóz powstanie. Ale niech będzie szczerze, uczciwie konserwatywny, niech pracuje rzetelnie nad rozwojem pierwiastków zachowawczych w życiu narodu, niech wzmacnia podwaliny jego wewnętrznej budowy, niech pod firmą konserwatywną nie prowadzi roboty negacyjnej, w gruncie rzeczy rozkładowej, która wszelkiego konserwatyżmu jest zaprzeczeniem.

¹² (łac.) „Przeciwko naturze” [redakcja]

DODATKI

**O bankructwie metody
konserwatywnej w polityce
galicyjskiej**

I. Racja stanu a interes narodu

Konserwatyzm jako kierunek polityczny, wyraża się nie tylko w danych zasadach, w danej idei, ale także i w metodzie.

Metoda konserwatywna odcinała się wyraźnie w początkowym okresie walki pomiędzy konserwatyzmem a demokracją w krajach europejskich. Była ona logiczną konsekwencją zasady hierarchii społecznej. Konserwatyzm, broniąc polityki przed zdemokratyzowaniem, starając się zachować przywilej rządzenia przy warstwach historycznych, nie używał tych sposobów, którymi walczyła demokracja. Gdy ta agitowała wśród mas, szeregowała je i prowadziła do walki, bądź zbrojnej, w wybuchach rewolucyjnych, bądź niekrwawej, w wielkich manifestacjach, które odnosiły czasami większy skutek, niż zamachy zbrojne – konserwatyzm bronił swych pozycji lub zdobyte odbierał przy pomocy środków, jakie dawała organizacja państwowa i tradycyjna pozycja jego przedstawicieli w społeczeństwie, opierał się na Koronie, na biurokracji, policji, armii, wreszcie na tych żywiołach społecznych, które zachowały tradycyjną uległość względem arystokracji i duchowieństwa. Prowadzenie akcji politycznej było w obozie konserwatywnym udziałem tylko wybranych, tylko „elity”. Stąd polityka jego z metody swej była, że tak powiemy, gabinetową, gdy polityka demokracji była „polityką ulicy”.

Konieczność wszakże zmuszała konserwatystów coraz bardziej do odstępowania od własnych metod, do przyjmowania metod demokracji. Będąc bitym przez masy, konserwatyzm musiał sobie do tych mas torować drogę, zaczął agitować wśród nich, szeregować je pod swoim sztandarem, zaczął się liczyć z ich psychologią i z ich wymaganiami. Widzimy, jak torysowie angielscy organizują tłumne mityngi i oddziałują na masy tymi samymi metodami co liberałowie. Widzimy, jak centrum katolickie w Niemczech organizuje lud i powołuje „ludzi z dołu” do kierownictwa swojej polityki.

Im szersze masy społeczne dochodzą do praw politycznych, konieczność ta rośnie i polityka konserwatywna tam, gdzie jest żywotna, gdzie zachowuje siłę, coraz mniej różni się w metodach swego działania od demokratycznej.

Konserwatyzm polski w tym zastosowaniu metod do zmienionych warunków nie umiał – z wyjątkiem w pewnej mierze zaboru pruskiego – pójść za konserwatyzmem zachodnioeuropejskim. Złożyło się na to parę przyczyn.

Przede wszystkim, polityka konserwatywna w Polsce stała na niższym poziomie umysłowym niż w Zachodniej Europie. Organizatorowie konserwatyizmu polskiego mało rozumieli ewolucję polityczną Europy XIX stulecia i to, w czym inni widzieli proces nieunikniony, konieczność dziejową, w ich oczach bywało tylko jakimś chwilowym zboczeniem, przemijającą chorobą społeczną. Zdawało im się, że może wrócić w życiu to, co niepowrotnie minęło. Brak rozumienia ducha czasu, a zarazem lekkomyślność i lenistwo, będące, niestety, wybitnymi właściwościami politycznymi naszego społeczeństwa jako całości – złożyły się na straszne krótkowidztwo. Było to

krótkowidztwo i w przestrzeni, i w czasie. Ludzie, nie widzieli, co się dzieje tuż, o miedzę, wśród narodów sąsiednich i nie przewidywali, że w ich własnym społeczeństwie nie zawsze tak będzie, jak było.

Wielką dalej zachętą dla naszych konserwatystów do trwania w pojęciach przestarzałych było zacofanie naszych mas ludowych, które pozostawały o stulecie co najmniej w tyle za ludami krajów zachodnich.

Wreszcie nie trzeba zapominać, że konserwatyzm polityczny polski, narodziwszy się właściwie dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia pod wpływem wzorów obcych, był kierunkiem bardzo świeżej daty i mało samodzielnym. Miał on w swej psychologii wiele z prozelityzmu, a stąd starał się być często konserwatywniejszym od wzorów, które naśladował. Nawrócony Żyd jest często bezwzględniejszym katolikiem od ludzi urodzonych w wierze i dziedziczących przywiązanie do niej długiego szeregu pokoleń; świeżo upieczony hrabia jest zwykle bardziej nieprzejednanym arystokratą od przedstawicieli najstarszych rodów... Dlatego to konserwatyzm angielski jest najmniej skrajny, i dlatego świeżej daty konserwatyzm polski łatwo dochodził na pewnych punktach do zarozumiałego zaślepienia.

W dobie, kiedy konserwatyzm polski występował na widownię, pole dla metod konserwatywnych w polityce już było bardzo ścieśnione i bliskie zamknięcia. Mechanizm życia politycznego w całej Europie, z wyjątkiem w pewnej mierze Rosji i Turcji, był już do głębi zmieniony skutkiem przekształcenia ustrojów politycznych, dopuszczenia szerokich mas społecznych do udziału w rządach, przejścia prawodawstwa w ręce przedstawicielstw narodowych.

Podmiotem polityki przestało w znacznej mierze być państwo, tj. Korona i nieliczna sfera jej doradców, a stał się nim naród, który zaczął patrzeć na państwo jako na swoje jedyne narzędzie. Zanikło w znacznej mierze pojęcie interesu państwa, racji stanu jako motywu kierowniczego polityki, a na jego miejsce występuje interes narodu, państwo zaś przybiera rolę środka do popierania i obrony narodowego interesu. Panowanie interesu narodowego w polityce staje się tak bezwzględne, że w państwach, różnolitych narodowo, polityka państwowa służy tylko jednemu narodowi, mającemu nad innymi górę, z krzywdą pozostałych, służy mu nawet wtedy, kiedy to prowadzi do osłabienia państwa, jako całości.

Tej zmianie towarzyszy inna, niemniej doniosła. Przestawszy być wyłącznym udziałem pewnej nielicznej sfery, przechodząc coraz bardziej w ręce szerokich kół społecznych, mas narodu, polityka narodowa już nie może się zamknąć w gabinetach, wychodzi ona „na ulicę”. Zaczynają w niej działać masy. Ich nastrój, manifestacje ich opinii bądź wywierają nacisk na działania reprezentujących te masy polityków, bądź służą im za środek do wywarcia nacisku na przeciwników. Polityka coraz mniej polega na zręczności w pertraktacjach, na umiejętnym pisaniu kontraktów, a coraz więcej nabiera podobieństwa do walki w polu, gdzie umiejętna mobilizacja mas, ich liczba i ich psychika decyduje o wygranej lub klęsce.

Prawda, że państwo rosyjskie, do którego główna część ziem polskich należy, do dziś dnia jeszcze całkowicie w tę fazę nie weszło, skutkiem tego, że pozostało znacznie w tyle za Europą Zachodnią w przekształcaniu swego ustroju, że machina państwowa ciąży tu jeszcze bardzo nad społeczeństwem i trzyma je w mocnych karbach. Nie przeszkadza to, że stała się ona bezwzględnie narzędziem jednego, mającego przewagę narodu i służy wyłącznie jego interesom przeciw innym. I w tym państwie widzimy już wyraźnie po ostatnim przełomie akcję polityczną, polegającą na agitacji wśród mas i na ich mobilizowaniu, akcją odbywającą się swobodnie, niekrepowaną przez państwo o tyle, o ile odpowiada ona interesom narodowości panującej. Przykład jej widzimy w działalności „związku narodu rosyjskiego” i pokrewnych mu organizacji.

Natomiast w państwie austriackim ewolucja ta wśród licznych, składających je narodowości poszła bardzo szybko. Dość jest przyrzeć się dziejom walki Czechów z Niemcami, ażeby się przekonać, jak operowanie masami, ich nastrojem, ich energią polityczną, ich manifestacjami dawało przewagę to jednej, to drugiej stronie. I w Galicji samej Rusini, którzy mechanizm współczesnego życia politycznego znakomicie zrozumieli, służą za wyborczy przykład tej ewolucji. Nie darmo powiedziano, że polityka rządu austriackiego polegała od dłuższego już czasu na zatykaniu ust tym, którzy krzyczą, że w Austrii, im kto więcej krzyczy, tym więcej zdobywa. Jest to obrazowe, wulgarne w formie wyrażenie bardzo doniosłego i poważnego faktu, że pierwszą podstawą polityki współczesnej jest uświadomienie masom interesów polityki narodowej, uruchomienie ich i wyprowadzenie na pole walki politycznej o te właśnie interesy.

Na tym właśnie terenie austriackim, wśród mnóstwa rozbieżnych, ścierających się ze sobą interesów, główną swoją rolę odegrał konserwatyizm polski. Tam się on przede wszystkim zorganizował, tam doszedł do największej siły, tam zdobył niepodzielne rządy w polskiej dzielnicy i wyłączne kierownictwo polityki narodowej. Tam też wypadło mu zdać egzamin z orientowania się w położeniu i z umiejętności obrony polskiego dobra narodowego.

W Galicji też dokładnie została sprawdzona wartość metody konserwatywnej w polityce, którą to metodę stosowano tam przez długi czas konsekwentnie.

Polityka polska w państwie austriackim poprowadzona została metodami całkiem różnymi od polityki innych narodowości. Obóz konserwatywny, który ujął ster tej polityki nie rozumiał czy nie chciał zrozumieć mechanizmu współczesnych walk o interesy narodowe. Trzymał się on pojęć starych, polityki „gabinetowej”, polityki układów i kontraktów, prowadzonej za kulisami przez nielicznych poświęconych, zasłanianej przed oczami szerokiego ogółu. Ten ogół, te masy, w pojęciu konserwatystów miały tylko jedną rolę w polityce – dawać mandaty tym, którzy politykę prowadzą, poza tym zaś zachowywać się jak najbierniej i polityce nie przeszkadzać. To przestarzałe pojęcie metod polityki, skutkiem siły obozu konserwatywnego, skutkiem słabości żywiołów, które by mu się mogły przeciwstawić, przechowało się w Galicji aż po ostatnie czasy, co sprawiło, że Polacy pod względem swych zdolności do walki politycznej pozostali o dziesiątki lat

w tyle za wszystkimi innymi narodowościami w Austrii. Niezaprzeczenie ta stara polityka „gabinetowa” ma rozmaite wielkie dogodności w porównaniu z polityką nowoczesną, operującą masami; jednakże nie jest ona zdolna dotrzymać jej placu i w starciu z nią jest bita. Konserwatyści zaś galicyjscy tak się zakochali w jej komforcie, że wbrew bijącej w oczy rzeczywistości trzymali się jej uparcie i urządzali się w kraju tak, jakby uważali za zbawienie najdłużej przy jej metodach wytrwać. Nie robili nic dla uświadomienia szerszym masom społecznym interesów i zadań polityki narodowej, przeszkadzali nawet temu, powstrzymywali uruchomienie i zorganizowanie tych mas, i gdy wśród innych narodowości w państwie wzrastały armie, idące namiętnie do szturmowania o swoje narodowe interesy, oni się cieszyli, że polityka polska, pozbawiona armii, ma tylko dyplomację...

Wszelkie zapóźnienie w pojęciach, wszelkie niezrozumienie ducha i warunków czasu mści się zawsze okrutnie, najokropniej zaś w polityce. To też anachronizm pojęć i metod politycznych galicyjskiego obozu konserwatywnego przyniósł nieobliczalne straty sprawie polskiej w państwie austriackim. Ogół nasz nawet w części nie ocenia tego, do jakiego stopnia, skutkiem polityki konserwatywnej, polskość została tym osłabiona w stosunku do innych żywiołów w kraju i w państwie. Straty te zręcznie maskowano, uprawiano politykę pozorów; taka polityka wszakże może wystarczać tylko do czasu. To też dziś owoce jej zaczynają się ujawniać w sposób jaskrawy, a obawiać się należy, że to, co bliska przyszłość nam pokaże, będzie o wiele jeszcze boleśniesz dla naszej świadomości narodowej.

Konieczną jest rzeczą zdawać sobie jasno sprawę z owoców dotychczasowej polityki, z wytworzonego przez nią położenia, chociażby w najogólniejszych zarysach. Bez tego bowiem nie może być mowy o naprawie, ma się rozumieć, w takim zakresie, w jakim naprawa jest możliwa.

II. Owoce polityki gabinetowej

Anachroniczna, nierozumiejąca warunków nowoczesnych, czy też niechcąca się z nimi liczyć polityka konserwatywna w Galicji wytworzyła ciężkie i niebezpieczne położenie polskość w stosunku do wszystkich sił, z jakimi mamy tam w kraju i w państwie do czynienia – do Rusinów, Żydów, Niemców, do rządu austriackiego, wreszcie do rozkładowych, antynarodowych dążeń w samym społeczeństwie polskim.

Nie myślimy wcale zamykać oczu na to, że Polacy w swym stosunku do Rusinów mają położenie całkiem inne, niż młode, dobijające się dopiero praw narodowości w państwie. Położenie nasze we wschodniej Galicji jest raczej podobne do położenia Niemców austriackich w tych krajach, w których większość ludności stanowią żywioły nie niemieckie, słowiańskie, jak na Morawach lub w Krainie. Skutkiem tego i polityka polska nie mogła się całkiem wzorować na czeskiej lub słoweńskiej, nie mogła wyłącznie budować na uświadomieniu i politycznym uruchomieniu mas ludowych. W Galicji wschodniej naszą przewagę nad Rusinami stanowiła nie masa, ale kulturalna i ekonomiczna wyższość mniejszości polskiej. Jednakże łatwo było przewidzieć, że jeżeli tylko na tej wyższości budować będziemy, to przy dzisiejszym mechanizmie życia politycznego, w którym uświadomiona narodowo masa zawsze zwycięża – pozycja nasza w tej części kraju bardzo prędko będzie zniszczona. Polityka konserwatywna tego nie zrozumiała, chciała ona iść w obronie polskość wyłącznie dyplomacją, wyłącznie układami, zręcznym pisaniem kontraktów z partiami ruskimi. Nie chciała ona widzieć tego, że Niemcy austriaccy w tych krajach, w których stanowią mniejszość, nie ograniczali się do dyplomatyzyzowania, ale pracowali nad uświadomieniem i zorganizowaniem wszystkich żywiołów niemieckich w kraju, starali się na nacisk masy odpowiadać odporem masy, i chociaż ich armia była mniejsza liczbą, to jednak dzięki sprawnemu działaniu i poparciu czynników kulturalnie i ekonomicznie silnych, nie zawsze była bita.

Polityka konserwatywna polska lekceważyła całkiem lud polski w Galicji wschodniej, nie dbała wcale o jego uświadomienie narodowe, o rozwinięcie w nim energii politycznej, o zorganizowanie go do obrony przed naciskiem politycznym ruskim, ale nawet przed rutenizacją, która do niedawna czyniła wśród tego ludu podboje. Ignorowała ona fakt, że Galicja wschodnia liczy poważny odsetek ludności polskiej, że są powiaty, w których Polacy stanowią blisko połowę ludności, że zatem, gdyby żywioł polski był należycie uświadomiony i politycznie zorganizowany, obrona tego kraju przed zakusami ruskimi nie byłaby wcale beznadziejna. Ślepotą polityki konserwatywnej w tym względzie, zaniedbanie tej doniosłej pracy, która każdemu, choć cokolwiek myślącemu politykowi polskiemu musiała się wprost narzucać jako konieczność w nowoczesnych warunkach walki o byt narodowy, kosztuje naszą sprawę niesłuchanie wiele. Gdyby ta praca była w czas rozpoczęta, Rusini nigdy by się nie stali panami sytuacji w takim stopniu, a polskość we wschodniej Galicji, korzystając z poparcia czynników kierujących sprawami krajowymi, mając za sobą przewagę kulturalną i ekonomiczną, przy

samorzutnej nadto dążności chłopów polskiego do osiedlania się na wschodzie, byłaby nawet w liczbę poważnie urosła. Bardzo późno dopiero wzięto się do tej pracy, a wzięto się do niej bez udziału i poparcia kierowników polityki konserwatywnej. Stronnictwo krakowskie patrzyło na nią obojętnie, a nawet ubocznie jej przeszkadzało, zwalczając te kierunki, które ją podjęły.

Jeżeli dziś uświadomienie i organizacja ludności polskiej we wschodniej Galicji zrobiły pewne postępy, to jest to dziełem stronnictwa demokratyczno-narodowego, a pierwszym wybitnym organizatorem tego dzieła był właśnie Stanisław Głąbiński, który od działalności na tym polu zaczął swoją istotnie polską i po obywatelsku pojętą karierę polityczną. I trzeba to zrozumieć, że posunięciu naprzód tego dzieła pomogła ogromnie rzetelna praca duchowieństwa łańcuckiego w Galicji wschodniej. Nie należy również zapominać, że przez krótki okres rozwinął w tym kierunku żywą działalność jeden z przedstawicieli konserwatywności wschodnio-galicjijskiej, Włodzimierz Kozłowski, który wszakże w swych zamierzeniach nie doznał poparcia ze strony kierowników politycznych kraju.

Zaniedbawszy ludność polską w Galicji wschodniej, politycy konserwatywni nie również nie zrobili dla uświadomienia ogółowi polskiemu w zachodniej części kraju naszych zadań i interesów narodowych na wschodzie, przeciwnie, swym postępowaniem przyczynili się do zubożenia tego ogółu w kwestii ruskiej, do jego narodowej demoralizacji. Jest rzeczą wprost potworną zachowanie się Polaków w zachodniej Galicji wobec walki, jaką ich rodacy toczą na wschodzie, ich obojętność na ciężkie położenie, w jakim się polskość tam znajduje. Patrzą oni na stosunki wschodnio-galicjijskie, jakby na coś sobie obcego, a nawet często rodakom swoim przeszkadzają, podtrzymując moralnie Rusinów w poszczególnych sprawach. W takim trudnym i niebezpiecznym położeniu całe społeczeństwo polskie od Śląska Cieszyńskiego do Bukowiny powinno się zwartą masą przeciwstawiać dążeniom ruskim, w których nie chodzi tylko o osiągnięcie warunków kulturalno-narodowego rozwoju Rusinów, ale wprost o zniszczenie narodu polskiego przy współdziałaniu najzaciętszych naszych wrogów.

Skazani jedynie na dyplomację, na układy, na spisywanie umów z rozzuchwalającymi się coraz bardziej i przewrotnymi w swej taktyce prowodyrami Rusinów, Polacy musieli im ustępować pozycję za pozycją. Nie mając siły, o którą nie dbała, polityka polska musiała się przywiązywać do pozorów. Organizowano sobie partie Rusinów ugodowych, „inkamerowanych”, tym partiom czyniono ustępstwa, ich przedstawicielom dawano korzystne stanowiska i cieszą się z zawarcia ugody polsko-ruskiej. Gdy wszakże taka partia ugodowa zdobyła wszystko, co mogła zdobyć, schodziła w cień, a na jej miejsce przychodziła inna, która stawiała nowe, wyższe żądania. Najadła się grupa Barwińskiego, przyszła grupa Romańczuka, a gdy ta się najadła, przyszli po niej inni, radykalniejsi, którzy, jak się okazywało, jedynie mieli prawo przemawiać w imieniu narodu ruskiego. Chcąc sobie kupić prowodyrów ruskich, pomagano im w podbijaniu kraju, robiono nawet dla nich to, że władza polska samowolnie, przemocą przenosiła

dzieci ruskie z gimnazjów polskich... Polityka konserwatywna nie patrzyła w przyszłość, jej chodziło tylko o to, żeby na dziś móc się pochwalić zgodą z Rusinami.

Chcąc umotywić tę politykę systematycznego osłabiania polskośći bądź budowano teorie o doniosłej roli zewnętrznej, jaką Rusini mają odegrać z korzyścią dla sprawy polskiej, bądź posiłkowano się frazeologią o sprawiedliwości, o braterstwie dwóch ludów, będących zarówno dziećmi Rzeczypospolitej. Ogłaszane dziś dokumenty *Ostmarkenvereinu*¹³ ukazują nam to braterstwo ruskie w jaskrawym świetle. Rusini się okazali naszymi nieprzejednanymi wrogami, gotowymi konspirować z każdym, kto dąży do całkowitej zagłady narodu polskiego. Dziś już chyba każdy zrozumie, czym są w naszym bilansie narodowym owe, tak chętnie czynione Rusinom ustępstwa. I dziś wszyscy chyba zdajemy sobie sprawę z tego, iż żadne układy z nimi nas nie ocalą, że wszelkie, dziś już konieczne ugody z nimi, jak ostatnie w sprawie reformy wyborczej, nie zabezpieczają nas wcale, że jedyną drogą ratowania naszego dobra jest przeciwstawienie naszej siły ich sile.

Pół stulecia wszakże gospodarki konserwatywnej doprowadziło nas do tego, że organizacja polskośći w Galicji wschodniej pozostała znacznie w tyle za organizacją Rusinów, i że prowadzący walkę o byt rodacy nasi we wschodniej części kraju nie mają należytego oparcia w zachodniej, czysto polskiej Galicji. W tych warunkach akcja polska, chociażby organizowana z największym poświęceniem, przez ludzi najlepiej rozumiejących jej zadania, skazana jest przez długi czas na kalectwo i będzie ułomną dopóty, dopóki wielkimi wysiłkami nie będą zagojone rany, jakie zadała krajowi polityka konserwatywna. I żadna, najlepiej nawet pomyślana i najdzielniej przeprowadzona akcja nie wróci polskośći tego, co ta polityka straciła. Może być mowa tylko o skuteczniejszej obronie tego, co jeszcze posiadamy.

Żywiołem, który największe bodaj odniósł korzyści z polityki konserwatywnej polskiej w Galicji, są Żydzi. Nie robiąc nic dla istotnego rozwoju sił politycznych polskośći, gdy siły jej wrogie naokół rosły, polityka ta musiała coraz więcej operować fikcjami, coraz bardziej dbać o pozory. Jedną z największych jej fikcji było zaksięgowanie w jej rachunkach politycznych Żydów jako Polaków. Tym sposobem wytworzono pozór, że Polacy przedstawiają w Galicji znacznie większą siłę liczebną, niż to jest w istocie. Niewątpliwie dało to czasowo pewne korzyści, utrzymywanie wszakże tej fikcji stawało się coraz kosztowniejsze i łatwo było przewidzieć, że cena, jaką naród za nią zapłaci, w krótkim czasie te korzyści znacznie przzerośnie.

¹³ Deuthser Ostmarkenverein – Niemiecki Związek Marchii Wschodniej. Potocznie zwany Hakatą od pierwszych liter założycieli. Niemiecka organizacja nacjonalistyczna działająca na rzecz germanizacji ziem polskich w zaborze pruskim. [redakcja]

Dla kierowników polityki konserwatywnej bardzo było dogodną i ponętną rzeczą, że Żydzi z początku o wpływy polityczne się nie ubiegali. Dawali oni swe poparcie żywiolom, posiadającym władzę w kraju, żądając w zamian jedynie poparcia w interesach ekonomicznych. Gotowi byli służyć do wszelkiej politycznej roboty, dawali się używać za narzędzia do najgorszych nadużyć wyborczych, w zamian za to żądając tylko, żeby im pozwalano wyzyskiwać bez przeszkody ludność kraju w życiu ekonomicznym, żeby patrzono przez palce na wszelkie ich w tym względzie nadużycia. Mieli też prawdziwy raj w Galicji przez cały okres rządów konserwatywnych. Lichwiarstwo, rozpijanie ludu, wyzwanie go z ziemi oszukańczymi sposobami, omijanie ustaw w handlu i przemyśle – wszystko to bujnie kwitło, nie spotykając się z przeszkodami ze strony władzy, o ile było praktykowane przez Żydów. Kwitły też nadużycia w instytucjach publicznych, w zarządach miejskich i były tolerowane, gdy o Żydów chodziło. Polityka konserwatywna nie była zdolna tym wszystkim nadużyciom wypowiedzieć walki, bo potrzebowała Żydów, bo bez nich nie mogła się obejść. Płacono im nadto sownie wszelkiego rodzaju koncesjami, dostawami i robotami publicznymi. W tych warunkach siła ekonomiczna Żydów szybko rosła, panowanie ich w życiu społecznym kraju rozszerzało się w zatrważającym tempie. Stali się panami kraju nie tylko na rynku pieniężnym, w handlu i przemyśle, ale nawet ogromna część ziemi przeszła w ich ręce, w większej i drobnej własności. Sprzyjała temu i słabość mieszczaństwa polskiego, i ciemnota chłopów, którego nikt przed krzywdą żydowską nie brał w opiekę, i demoralizacja społeczna szlachty. Ta coraz mniej była ziemiaństwem, coraz bardziej lekceważyła sobie ten realny wpływ społeczny, jaki daje praca na własnej ziemi, coraz bardziej poświęcała ją dla formalnej władzy, dla kariery biurokratycznej, wyzbywając się ziemi w części na rzecz włościan, a w znacznej też części na rzecz Żydów.

Jak zawsze bywało w historii Żydów we wszystkich krajach – wzmógłszy się ekonomicznie i zajmąwszy wpływowe pozycje społeczne, Żydzi galicyjscy wreszcie sięgnęli i po wpływ polityczny. Zaczęli się domagać coraz poważniejszego udziału w przedstawicielstwie, coraz większej liczby mandatów dla siebie, przykładając nóż do gardła politykom konserwatywnym, którzy w tym względzie najmniej chętni byli do ustępstw. Ustępować wszakże musieli, bo wyhodowali z Żydów taką siłę, która, gdyby się zwróciła przeciw nim, mogła ich odsunąć od władzy. I oto polityka konserwatywna w Galicji staje się stopniowo coraz bardziej polityką żydowsko-polską, coraz bardziej z wymaganiami żydowskimi się liczy, aż doszła ostatnimi czasy do tego, że nie wiadomo, kto na nią ma większy wpływ – Żydzi czy Polacy. Jeżeli pp. Kolischerowie, Loewensteinowie i inni, obdarzani już dziś tytułami szlacheckimi, nie sięgają jeszcze po stanowiska prezesa Koła Polskiego lub wyższych urzędników rządowych i krajowych, to nie znaczy jeszcze wcale, żeby wpływy ich nie były nawet większe od wpływów polityków polskich.

Jeżeli ewolucja stosunków galicyjskich pójdzie dalej w tym samym kierunku i w tym samym tempie, jeżeli polityką polską w tym kraju rządzić będą te same cele i te same metody, co dotychczas, to niedługo czekać będziemy na chwilę, kiedy właściwymi

panami kraju okazał się Żydzi. Bankructwo polityki konserwatywnej w stosunku do Żydów jest mniej widoczne niż w stosunku do Rusinów, ale jest bez porównania większe: w tej dziedzinie zadała ona krajowi największe rany, zgotowała mu najgroźniejsze niebezpieczeństwa.

Nawiasem tu zaznaczymy, iż sprzężenie polityki konserwatywnej z Żydami ma dziś ten skutek, że nie może już ona mocno stanąć na gruncie interesów narodowych polskich, chociażby uznała tego potrzebę, bo Żydzi już jej na to nie pozwolą. I dlatego, żeby ich współdziałania i poparcia nie utracić, musi ona wypowiedać walkę wszelkim wyraźniejszym dążeniom narodowym, którym nie chodzi o frazes patriotyczny, ale o realny interes polski.

Wykreśliwszy ze swego programu zaprawianie szerokich mas społeczeństwa polskiego do walki narodowej, polityka konserwatywna w Galicji uczyniła polskość całkiem niezdolną do stawienia jakiegokolwiek oporu najazdowi niemieckiemu na zachodnią część kraju. Od granicy Śląska Cieszyńskiego i Śląska pruskiego, pod rządami polskimi, posuwa się w głąb kraju stopniowy podbój niemiecki. Przechodzi w ręce niemieckie ziemia, powstają niemieckie przedsiębiorstwa przemysłowe, sprowadzeni przez właścicieli ziemi i przez przedsiębiorców Niemcy osiedlają się w kraju, gminy kasują w urzędowaniu język polski, a zaprowadzają niemiecki, rośnie liczba szkół niemieckich, *Vereinów*¹⁴, a Niemcy tak się rozzuchwalają, że w galicyjskiej Białej tak traktują Polaków, jak w pruskich Katowicach. Całe właściwie, świeżo zbadane i ogromnie bogate zagłębie węglowe krakowskie zostało wykupione przez Niemców, i to przez Prusaków. Parę lat temu prezydent miasta Krakowa, dr Leo, w wygłoszonej publicznie mowie, nazwał stolicę Piastów i Jagiellonów miastem kresowym, z mimowolną szczerością stwierdzając stan rzeczy, do którego doprowadziły dotychczasowe, tak triumfalnie opiewane rządy polskie w Galicji. Społeczeństwo polskie w zachodniej Galicji nie tylko nie umie się przeciwstawić nacierającym coraz silniej Niemcom, ale nawet nie umie się poważnie zainteresować położeniem sprawy polskiej na zachodnich krańcach kraju. Najwpływowwsze jego sfery obojętnie patrzą na posuwający się podbój niemiecki, zadawałając się pozorami, posiadaniem administracyjnej władzy. Tak tedy, w okresie właśnie rządów polskich w Galicji, rządów, sprawowanych przez obóz konserwatywny, we wschodniej, większej części kraju wyrosła siła ruska, na zachodzie posunął się podbój niemiecki, a w całym kraju rozpanoszyli się, doszli do olbrzymich wpływów Żydzi. Te straty polskości, zwłaszcza na rzecz Rusinów, były w znacznej części nieuniknione. Ale w olbrzymiej mierze zawdzięczamy je systemowi polityki konserwatywnej, systemowi anachronicznemu, wynikającemu ze ślepoty na nowoczesne warunki życia narodów i na istotę dzisiejszych walk narodowych, systemowi utrzymującemu społeczeństwo polskie

¹⁴ (niem.) „Stowarzyszeń, związków, towarzystw” [redakcja]

w bezwładzie, podczas gdy wszystkie wrogi mu żywiły do walki z polskością się mobilizowały.

III. Na łasce rządu austriackiego

Od czasu ustalenia się życia konstytucyjnego w państwie austriackim wśród wszystkich narodowości tego państwa rozwinął się silny ruch, dążący do zaszeregowania wszystkich sił społecznych w walce o narodowy stan posiadania i o narodowe prawa. Uświadomienie interesu narodowego i poczucie obowiązku walki w jego obronie rozwinęło się nawet w najuboższych i najmniej oświeconych warstwach społecznych zarówno u Niemców, jak i u Czechów, Słoweńców, Serbów, Wołochów, nawet u najbardziej zacofanych ze wszystkich – Rusinów. Na obszarach, gdzie się stykają ze sobą różne narodowości, wre walka o każdą piędź ziemi, o każde przedsiębiorstwo, o każdą instytucję publiczną. Uświadomione narodowo masy wywierają nacisk na bieg ustawodawstwa i na politykę rządu, zmuszając ją do liczenia się z manifestowaną głośno ich opinią. Od tego ogólnego obrazu odcina się postawa społeczeństwa polskiego, postawa bierna, często wprost obojętna tam, gdzie wchodzi w grę najżywotniejsze nawet interesy narodowe. Bo gdy przywódcy wszystkich innych narodowości zdawali sobie doskonale sprawę z tego, jaką rolę w dzisiejszych walkach politycznych odgrywają zorganizowane masy, pracowali nad ich uświadomieniem i organizacją – kierownicy polityki polskiej w Galicji tę pracę zaniedbali. Skutek tego wyraził się nie tylko w ciągłych stratach na rzecz innych żywiołów, w stratach, o których wyżej mówiliśmy, ale także w niezdrowym stosunku do rządu.

Konserwatyzm galicyjski oparł całą swoją metodę polityczną na aksjomacie przychylności Korony i rządu. Wiara w tę wieczną przychylność była też jednym z głównych źródeł lekceważenia społeczeństwa i jego opinii, wyrzeczenia się pracy nad uświadomieniem i zorganizowaniem szerszych mas społecznych. Tu się uwydatniła fatalnie skłonność do liczenia na kogoś, zamiast na siebie, na swoje siły. Wyrzekając się rozwinięcia i wyprowadzenia na pole walki własnych sił narodowych, polityka galicyjska znalazła się na łasce rządu. Ten rząd przez długi czas Polaków potrzebował, nie mógł się bez nich obyć, ale łatwo było przewidzieć, że w miarę wzrostu sił innych narodowości, a upadku siły polskiej, Polacy mu będą coraz mniej potrzebni i coraz mniej będzie zmuszony do liczenia się z ich interesami. Sam on od dawna już się starał o to, żeby mniej być zmuszonym do liczenia się z Polakami i w tym celu popierał separatyzm Rusinów. Później, w miarę coraz silniejszego uzależniania się polityki austriackiej od Berlina, ta tendencja do popierania Rusinów przeciw Polakom nabrała szczególnej siły. Wreszcie, w ostatnich czasach, gdy Rusini już istotną siłę narodową rozwinęli, gdy zaczęli energicznie walczyć ogólnie przyjętymi w Austrii metodami, nadając im tylko swoje zabarwienie barbarzyńskie, rząd wiedeński zaczął się liczyć z ich żądaniami nawet więcej często, niżby sam chciał. Jak już powiedziano, w Austrii ten więcej dostaje, kto silniej naciera, kto głośniej krzyczy.

Okazało się z czasem, że rząd austriacki coraz mniej się z Polakami liczy, a stąd coraz mniej im jest życzliwy. Ale politycy konserwatywni i wtedy nawet nie chcieli

zrozumieć potrzeby emancypowania się z zależności od rządu przez oparcie się o społeczeństwo, przez zaprawianie go do narodowej walki. Nie chcieli, czy też nie mogli tego uczynić dlatego, że za daleko w tej zależności zaszli. Doprowadziwszy Galicję do tego, że tam już wyborów nie można przeprowadzić bez znacznych zasiłków pieniężnych od rządu, znaleźli się w tym położeniu, że muszą się rządu trzymać, chociażby ten najotwarciej godził w interesy polskie.

Polityka polska w rękach konserwatystów galicyjskich coraz bardziej tedy musiała zatracić swą niezależność. Jest ona o tyle polską, o ile jej rząd austriacki na to pozwala, i często, naginając się do widoków rządu, niezgodnych z interesami polskimi, musi wmawiać w siebie i w ogół, że to, co jest interesem rządu, jest dobrem narodu polskiego. Dopiero uprzytomnienie sobie tej jej zależności od rządu, pozwala zrozumieć jej kierunek w ostatnich czasach, jej chociażby zachowanie się wobec przewidywanej wojny.

Tu się ujawnia największe jej z polskiego punktu widzenia bankructwo. Polityka polska w coraz większej zależności od rządu wiedeńskiego, a rząd wiedeński w coraz silniejszym stopniu narzędziem Berlina. Piękne widoki dla sprawy polskiej! Czyż można było dojść do straszniejszego impasu? Wszystko, co się ujawniło ostatnimi czasy w polityce galicyjskiej, co ją skompromitowało i tak wstrząsnęło naszą opinią publiczną, jest wynikiem błędnych jej od początku założeń, przestarzałych pojęć, którymi się kierowali jej twórcy, lekkomyślności i lenistwa politycznego, które przetrwaniu tych pojęć sprzyjały.

Polityka konserwatywna w Galicji nie chciała uświadomienia i organizacji mas społecznych polskich do walki o interesy narodowe. Uważała, że dla jej metod najdogodniejsze jest społeczeństwo bierne. Nie mogła wszakże przeszkodzić uświadomieniu interesów innych. Właśnie brak silnego ruchu narodowego w Galicji sprzyjał wybuchaniu interesów klasowych i nawet osobistych w polityce tamtejszej. Gdy w imię tych właśnie interesów klasowych zorganizowano masy społeczne, gdy obok tego na widowni galicyjskiej porozpierali się rozmaici kondotierzy, patrzący na politykę wyłącznie jako na źródło korzyści osobistych, polityka konserwatywna musiała się oprzeć na kompromisie z tymi wszystkimi interesami. Zrozumiała ona nawet, że ten kompromis jest jedynym dla niej środkiem do utrzymania się przy sterze spraw krajowych.

W społeczeństwie galicyjskim coraz wyraźniej ostatnimi czasy zaczęto sobie uświadamiać to fatalne położenie, w jakie wpędziło kraj pół stulecia rządów konserwatywnych. Coraz silniej zaczęto odczuwać potrzebę niezależnej polityki polskiej, opartej o świadomość swych interesów narodowych i zorganizowane społeczeństwo. Rozwinął się w tym kierunku silny ruch umysłów, któremu właśnie zawdzięcza szybkie swoje postępy stronnictwo demokratyczno-narodowe. Politycy konserwatywni, z których jedni po dziś dzień nie mogą zrozumieć zasadniczych błędów swojego obozu i nowoczesnych wymagań polityki narodowej, inni zaś zatracili poczucie odpowiedzialności narodowej i jedyny cel polityki widzą w utrzymaniu się przy władzy – uznali ten ruch za największe dla siebie niebezpieczeństwo. Przed tym

niebezpieczeństwem znaleźli chwilowe ocalenie w sojuszu z ruchami klasowymi i z wszelkiego rodzaju politycznym kondotierstwem. Stworzyli koalicję, która była w istocie swej przeciwnarodową, antypolską, pomimo szumnych nieraz patriotycznych frazesów, jakimi uczestnicy jej okrywali swoje działania. Chcąc ocalić metodę konserwatywną, a raczej rządy partii konserwatywnej wyzbyli się do reszty w swej polityce konserwatywnych zasad.

Nie robimy tu bilansu polityki konserwatywnej w Galicji nawet w najbardziej pobieżnym zarysie. Nie wymieniamy jej zasług, których przecież w rozmaitych dziedzinach odmówić jej nie można, jej niewątpliwych nieraz powodzeń w zmaganiu się z rozmaitymi trudnościami państwowego życia Austrii, nie zatrzymujemy się; również nad jej bezpłodnością w zamierzeniach, dotyczących uzdrowienia stosunków kraju i ulepszenia jego urządzeń politycznych. Nie zastanawiamy się nad tym, dlaczego np. sprawa reformy gminnej i reformy administracyjnej, wywieszonych jako naczelne punkty programu partii krakowskiej od samego niemal początku jej istnienia, oraz stawianych przez nią wielokrotnie na porządku dziennym dyskusji w publicystyce i na zwoływanych w tym celu konferencjach, dlaczego ta sprawa przez dziesiątki lat nie ruszyła z miejsca i dlaczego dziś pozostaje w tym samym właściwie stadium, w jakim się znajdowała na początku ery autonomicznej. O tym wszystkim należałoby mówić, gdyby chodziło o wszechstronną ocenę okresu rządów konserwatywnych w tej polskiej dzielnicy. Nam wszakże chodzi tylko o wskazanie, jak się odbiło na losach naszej walki o interesy narodowe zastosowanie metody konserwatywnej w polityce jedynej dzielnicy, w której nasze prawa narodowe zostały w pewnej mierze uznane przez państwo, i w której mieliśmy do pewnego stopnia w działaniu politycznym rozwiązane ręce.

Gdy porównamy naszą pozycję, zakres naszego posiadania w tym kraju i naszych wpływów w państwie na początku ery autonomicznej i dziś, najbardziej nawet stronniczy na korzyść partii konserwatywnej sąd musi stwierdzić niesłychane straty. To, co przed pięćdziesięciu niespełna laty znajdowało się w naszych rękach, przeszło w ogromnej mierze w ręce Rusinów, Żydów i nawet Niemców. Polityka polska ze stanowiska sojusznika rządu zeszła na stanowisko niewolnicze: gdy na początku reprezentowała ona wobec tego rządu i wobec Korony naród, jako całość, i gdy ten rząd liczył się z nią jako z przedstawicielką interesów całego narodu, zeszła w końcu na służbę celom austriackim, stając się w ręku Austrii niebezpiecznym dla innych dzielnic narzędziem. Gdy przyjdzie kiedyś czas na spokojną, z dalszej perspektywy, ocenę zachowania się polityków galicyjskich w okresie ostatnich przygotowań wojennych Austrii, w związku z widokami polityki pruskiej, sąd o tym zachowaniu się będzie niewątpliwie fatalnym na nich ze stanowiska narodowego wyrokiem. Jeżeli przyszły historyk będzie przemawiał językiem, jakim posługiwała się partia krakowska w początkach swej kariery, to będzie musiał zakwalifikować postępowanie tych polityków jako zbrodnię wobec narodu.

Bankructwo metody konserwatywnej nie zależało właściwie od gatunku ludzi, którzy ją stosowali. Ta metoda, bez względu na charakter ludzi, stosowana ślepo, musiała

doprowadzić do takich wyników, musiała zbankrutować. Jeżeli ludzie byli coraz gorsi, to dobór ich był także wynikiem metody.

Naród polski, skutkiem niedawnej utraty swego państwowego bytu, tym się różni od innych, politycznie zawisłych ludów, że posiada w swej budowie społecznej niewynarodowione warstwy historyczne. Stanowi to ogromną jego wyższość, daje kulturze polskiej pozycję równorzędną do kultury narodów niezawisłych, sprawia, że jesteśmy w najpełniejszym tego słowa znaczeniu narodem. We współczesnej wszakże walce o byt, o interesy narodowe, tak jak ona się rozgrywa na tle dzisiejszych ustrojów politycznych, przy dzisiejszym mechanizmie politycznego życia, środek ciężkości spoczywa nie w tych warstwach, ale w szerokich masach społecznych, w ludzie. Pod względem zaś kultury mas, uświadomienia politycznego ludu Polska, z wyjątkiem dzielnicy pruskiej, pozostała daleko w tyle za innymi narodami. Jednocześnie, na skutek kierunku, jaki przybrała nasza ewolucja społeczna i polityczna w ostatnich stuleciach istnienia państwa, naród nie wytworzył w swym łonie silnego mieszczaństwa, a jego żywioły oświecone w ogóle bardzo nisko stoją pod względem dojrzałości politycznej. Z tych właśnie przyczyn w polityce dzielnicy austriackiej zapanowała bezwzględnie, nierozumnie stosowana metoda konserwatywna i w naszej dzielnicy, jakkolwiek obóz konserwatywny nie miał dość siły do zapanowania nad życiem kraju, myśl ogółu z trudnością przyswaja sobie nowoczesne pojęcia polityczne i daleka jest od zrozumienia tych metod polityki, jakie jedynie w dzisiejszych walkach narodowych zapewniają powodzenie. Można śmiało powiedzieć, że nie tylko narody państwowe, z którymi mamy do czynienia, jak Niemcy i Rosjanie, ale także wszelkie żywioły obce, wypowiadające nam walkę, dążące do wyzucia nas z tego, co posiadamy, jak Rusini, Litwini, nawet Żydzi, nie mówiąc już o Czechach, którzy także się pod nas podkopują na Śląsku austriackim, że wszystkie te żywioły wyprzedzają nas w swych metodach walki, korzystają z naszej bezwładności.

Źródłem naszej bezwładności nie jest brak aspiracji narodowych, bo te przecież nie zanikły. Nie jest nim także całkowicie nasze przysłowiowe lenistwo polityczne, bo przecież my przy całym tym lenistwie wyładujemy znaczną ilość energii politycznej, tylko wyładujemy ją w wysiłkach jałowych, bezowocnych, a jeszcze częściej ze szkodą dla swej sprawy narodowej, w próbach, skazanych z góry na niepowodzenie i prowadzących narodowe klęski lub w walkach wewnętrznych, które przybierają u nas o wiele szerszy zakres, niż tego wymaga sprzeczność interesów i dążeń w społeczeństwie. Najgłówniejszym źródłem naszej bezwładności jest zacofanie polityczne naszego społeczeństwa. Pojęcie o nowoczesnych metodach walki o byt narodowy z trudnością się u nas szerzy i pogłębia, liczne żywioły społeczeństwa bądź trzymają się myślą przestarzałych metod konserwatywnych, które dawno już należało złożyć do archiwum, bądź też tęsknią za przeżyтыми już także metodami demokracji europejskiej z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, za metodami rewolucyjnymi. Tym sposobem ścierają się w naszej polityce trzy typy, trzy metody, z których każda uważa się za jedynie patriotyczną. Nadto ostatnie czasy przyniosły zjawisko niesłychanie

niezdrowe, polegające na tym, że metoda konserwatywna, chcąc się utrzymać przy sterze spraw narodowych, zaczęła się zaprzyjaźniać z rewolucyjną, ażeby w sojuszu z nią położyć tamę rozwojowi tzw. nacjonalizmu, który u nas nie jest niczym innym, jak usiłowaniem uzdolnienia narodu do skutecznej walki o jego byt i o jego interesy w nowoczesnych warunkach. Uświadomienie zadań polityki narodowej szerokim masom społecznym, organizacja ich i uruchomienie do obrony dobra narodowego na wszystkich placówkach, na których jest ono zagrożone, dźwiganie tym sposobem siły politycznej narodu i rozwijanie stopniowe akcji politycznej w zakresie, w jakim czynne siły narodowe na to pozwalają – to jedyna droga, na której polityka narodowa polska ma przed sobą przyszłość.

Poczucie bankructwa metody konserwatywnej na terenie, na którym głównie zdawała ona egzamin, mianowicie w Galicji, jest dziś w opinii ogółu polskiego bardzo silne. Wiele danych przemawia za tym, że zbliża się jej likwidacja. Jeżeli ona nastąpi, niezawodnie i prądy radykalne, mniej lub więcej rewolucyjne, pozbawione protekcji obozu konserwatywnego, zejdą do swojej właściwej roli, stracą zdolność do pretendowania o kierownictwo spraw narodowych. Wtedy naród nasz zrobi ogromny krok naprzód w kierunku uzdolnienia swej polityki do skutecznej obrony jego dobra w trudnych i wielce skomplikowanych warunkach doby dzisiejszej. To przejście nie obejdzie się bez znacznych kosztów. Odsłonięcie, jak przy wszelkiej likwidacji, całej nędzy politycznej, do jakiej doszliśmy, nie wzmocni na razie naszego stanowiska wobec wrogów. Jest to wszakże operacja konieczna. Polityka bankrutów, utrzymujących pozory i zużywających na nie swe wysiłki, prowadzi zarówno narody, jak jednostki, do ostatecznej ruiny i upodlenia.

Koniec legendy

(Przegląd Wszechpolski, sierpień-październik 1905 r.)

I. Likwidacja moralna szkoły krakowskiej

*„Abstrakcyjne, doktrynerskie spory o najsubtelniejsze zagadnienia z przeszłości i przyszłości narodu ustąpią miejsca rozprawom o problematach żywotnych, widzialnych dla każdego...”
Czas, nr 251 (21 września 1905 r.)*

Słowa powyższe, wypisane w organie krakowskiego konserwatyzmu, są ważnym politycznym wypadkiem.

Przed laty jeszcze dziesięcioma byłyby one na tym miejscu zjawiskiem niezrozumiałym, a właściwie niemożliwym. Dziś nie dziwią nas wcale i stanowią dla nas publiczne wyznanie tego, o czym dawnośmy wiedzieli. Są one wyparciem się mistrzów ze strony uczniów, wyparciem się może uczynionym mimo woli w pośpiechu dziennikarskim, ale ogromnie brutalnym w swej szczerości.

Leżący od lat w grobie autor „Teki Stańczyka” nie ma już co prawda głosu, ale nie zamilkł przecież ten, co kazał narodowi „z doświadczeń i rozmyślań” ani nie uważa swej kariery politycznej za zamkniętą twórca „Dziejów Polski w zarysie”, tej cudownie zastosowanej do celów politycznych książki historycznej...

Założyciele szkoły krakowskiej całe swoje moralne stanowisko w społeczeństwie zaczerpnęli z wszczęcia „abstrakcyjnego, doktrynerskiego sporu o najsubtelniejsze zagadnienia z przeszłości i przyszłości narodu”, cały ich program, jak twierdzili, był oparty na głębokiej historiozofii, przez wszystkie dyskusje stronnictwa przewijała się historyczna doktryna, której używano i nadużywano przy każdej sposobności.

Cóż robili i na czym, jeżeli nie na „sporach o zagadnienia z przeszłości i przyszłości narodu”, wyrosli: Szujski, Tarnowski, Koźmian, Bobrzyński i inne filary szkoły? I oto dzisiaj, z ich własnej niegdyś kazalnicy padły słowa lekceważenia ich „abstrakcyjnego doktrynerstwa”, któremu przeciwstawiono „problematy żywotne, widzialne dla każdego”. Uczniowie, protegowani, spadkobiercy wpływów, stanowisk i korzyści oświadczają, że nie chcą się bawić w owe spory, że dla nich istnieją tylko rzeczy „widzialne dla każdego”, „dające się obliczyć i zmierzyć”.

Nie możemy mieć nic przeciw takiemu postawieniu rzeczy. W pracy politycznej narodu, ludzie niebiorący udziału w sporach zasadniczych, ale zajmujący się jedynie rozwiązywaniem „widzialnych dla każdego problematów”, są bardzo potrzebni, nawet ich potrzeba o wiele więcej niż badaczy owych „najsubtelniejszych zagadnień”. Dobra ekonomia nie pozwoliłaby żadnego z nich odepchnąć tam, gdzie idzie o rozwiązywanie żywotnych problematów, jeżeliby się tylko okazał istotnym w danej dziedzinie znawcą.

Ale takie postawienie rzeczy oznacza najwyraźniejszą i ostateczną likwidację moralną i umysłową szkoły krakowskiej czyli tzw. stańczykostwa.

Stańczycy oparli byli całe swoje moralne stanowisko w narodzie i cały swój wpływ polityczny – nie tylko w Galicji, ale i w innych dzielnicach, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, gdzie się pod ich natchnieniami narodzili ugodowcy – na tym, iż zdołali przekonać poważne koła społeczeństwa, że zgłębili istotę narodowej przeszłości, zrozumieli najgłówniejsze przyczyny upadku ojczyzny i odkryli najwłaściwsze drogi, jeżeli nie do podźwignięcia jej, to przynajmniej do uchronienia od ostatecznej zagłady. Jeżeli dzisiaj z łamów *Czasu*, który przemawia zarówno w imieniu konserwatystów krakowskich, jak i ugodowców Królestwa, słyszymy zdanie, że zagadnienia przeszłości i przyszłości narodu to abstrakcja i doktrynerstwo, to musi to znaczyć co najmniej, że ci, w których imieniu pismo przemawia, nie mają wcale ochoty, ani nie poczuwają się do obowiązku obrony podstawowych założeń krakowskiej szkoły. Szkoła nieposiadająca obrońców jest jak twierdza, z której załoga wymaszerowała: nie potrzeba jej brać szturmem, bo jej rola należy już do przeszłości.

Mógłby ktoś zarzucić, że jest to uczepienie się jednego zdania w dzienniku: gdybyśmy zechcieli brać literalnie każde zdanie w robionym pośpiesznie a nie zawsze z uwagą piśmie codziennym, daleko by nas to zaprowadziło. Prawda. Jestem nawet pewien, że gdyby autor artykułu w organie krakowskim zastanowił się dobrze nad głębszym znaczeniem taktycznym przytoczonego ustępu, skreśliłby go niezawodnie, a tym bardziej skreśliłby mu go każdy z tzw. „starych stańczyków”, gdyby artykuł cenzurował. Ale słowa te są tylko mimowolnym zadokumentowaniem od szeregu lat dla wszystkich widocznego faktu: wszelka krytyka założeń stańczykowskiej szkoły, wszelkie twierdzenia, usuwające jej grunt spod nóg najoczywiściej, spotykają się od dawna ze strony jej spadkobierców z milczeniem. Obóz, do którego należę, a który zwalczał założenia stańczykowskie, jako z gruntu fałszywe, w odpowiedzi miast argumentów spotykał się z tanimi frazesami lub, co gorzej, z insynuacjami i oskarżeniami, uwłaczającymi nieraz czci ludzi i stronnictwa. Nie było sposobu sprowadzić epigonów krakowskiej szkoły na grunt sporu zasadniczego. A nie jest wcale trafem, że słowa przytoczone padły właśnie dziś, kiedy zamykamy w zaborze rosyjskim półtoraroczny okres życia, w którym dzień za dniem przynosił fakty, wykazujące jasno jak na dłoni nicość teorii politycznych, stanowiących umysłową i moralną legitymację, krakowskich konserwatystów i warszawskich ugodowców. Jakby w przewidywaniu, że teraz będą powołani do wypowiedzenia się o owych faktach ze swego zasadniczego stanowiska, kierownicy krakowskiego organu z góry odpowiadają, że ich obchodzą tylko „problematy żywotne, widzialne dla każdego”.

Jak powiedziałem, nie można mieć nic przeciw takiemu stanowisku. Dzisiejsi politycy konserwatywni i ugodowi nie mają żadnego obowiązku obrony teorii krakowskiej szkoły, wdawania się w zagadnienia z przeszłości narodu. Ale to ich stanowisko, znane nam od dawna, a świeżo przez nich sformułowane, pociąga za sobą, jako nieuniknioną konsekwencję, inną ocenę ich postępowania w porównaniu z tym, jak oceniano politykę starszych stańczyków.

Stańcyzy powołałi naród do stłumienia w sobie najgorętszych uczuć, do wyrzeczenia się najświętszych ideałów, do złorzeczenia bojownikom narodowej sprawy w poprzednich pokoleniach, do zapomnienia o godności własnej, do upokarzającego kłamstwa – do gwałtu zatem nad najszlachetniejszymi popędami natury ludzkiej. Zażądali od społeczeństwa zadania sobie tego gwałtu w imię czegoś, co jest wyższe ponad to wszystko, w imię ojczyzny, w imię prawd rzekomych, wyciągniętych z badania dziejów, w imię zrozumienia przyszłości narodu. Stańcyzy zorganizowali się w zwarty, solidarny obóz, bojkotujący bezwzględnie ludzi innych przekonań, popierający wszędzie swoich – co znaleźć mogło usprawiedliwienie tylko w silnej wierze w pewne wielkie prawdy, w równie silnym dążeniu do utrwalenia w narodzie pewnej polityki, wpływającej ze zgłębienia zagadnień jego przyszłości. Politykę stańcyków otoczono wzniosłą legendą o naprawie Rzeczypospolitej, ratowaniu rozbitej nawy ojczyznej, budowaniu z resztek przyszłości narodu.

Dziś dowiadujemy się, że zagadnienia przeszłości i przyszłości narodu to „abstrakcja” i „doktrynerstwo”. Bodaj, że sama przeszłość i przyszłość narodu dla praktycznego, „żywotnego” polityka jest abstrakcją.

To koniec legendy.

A jeżeli tak jest, to społeczeństwo musi zapytać, w imię czego składano wieńce na grobie zmarłych carów, entuzjastycznie witano wjazd do Warszawy żyjących, składano przy każdej sposobności lojalne wynurzenia, wypierano się narodowych uczuć i ideałów?

Jeżeli takich rzeczy nie dyktuje wyższy, chociażby na błędnie oparty wzgląd na przyszłość narodu, jeżeli do nich się nie doszło z rozważania zagadnień tej przyszłości, to jak się one w słowniku moralnym nazywają?

A czymże będzie takie konspiracyjne popieranie się wzajemne i opanowywanie stanowisk przez ludzi, niezwiązanych ze sobą wspólną ideą, wspólnym dążeniem do budowania narodowej przyszłości i wspólnym na nią poglądem, chociażby ci ludzie byli najlepszymi specjalistami od „problematów żywotnych”?

Nie odpowiadam na te pytania, bo chciałbym usłyszeć odpowiedź ze strony przeciwnej.

II. Szkodliwy osad

Gdy tym sposobem sami spadkobiercy szkoły stańczykowskiej wypisali jej *epitaphium*, do nas może by należało zastanowić się nad jej działalnością czterdziestoletnią, poddać ją krytycznej ocenie. Dziś wszakże nie ma na to czasu, za wiele jest do zrobienia w teraźniejszości, aby obliczać zyski czy straty minionej doby.

Mnie w szczególności na tym miejscu idzie nie o rekryminacje bezpłodne, ale o zadania teraźniejszości, o nasze względem nich obowiązki. Nie obchodzą mnie w tej chwili działania partii stańczykowskiej w ubiegłej dobie ani to, jak się one w danym czasie odzywały w społeczeństwie, ale ten osad, jaki po niej i po jej działalności pozostał w pojęciach i nałogach ludzkich. Ten osad jedynie jako rzecz realna, aktualna, ma dla mnie znaczenie: odgrywa on dużą rolę w kształtowaniu się stosunków politycznych naszej ojczyzny i tak czy inaczej liczyć się z nim trzeba.

Należę do pokolenia działaczy politycznych, które z właściwymi stańczykami nie zetknęło się prawie wcale. Ci, którzy z nimi prowadzili swego czasu spór o zagadnienia przeszłości i przyszłości narodu, na ogół nie stanęli w naszych szeregach. Z nami rozmawiali epigonowie i spadkobiercy stańczyków: ugodowcy zaboru rosyjskiego i ich sprzymierzeńcy, młodo-konserwatyści krakowscy.

Myśmy zaczęli działalność nie od budowania teorii, nie od doktryn, ale od praktyki, od roboty wśród mas, dyktowanej przez instynkt narodowego samozachowania. W dobie, kiedyśmy wystąpili na widownię, narodowi naszemu zaczął się grunt spod nóg usuwać z tak szaloną szybkością, rząd rosyjski z dnia na dzień tak zaciekle niszczył wszystkie środki narodowej twórczości, że czasu nie było ni usposobienia do teoretyzowania. Byliśmy, jak wobec pożaru lub powodzi: trzeba było ratować, co się da, a jednocześnie robić wysiłki ku położeniu tamy niszczycielskiemu żywiołowi. Dla nas istniały wtedy tylko „postulaty żywotne, widzialne dla każdego”: oświecić chłopca i wyrwać go z rąk działaczy rządowych, usiłujących uczynić go wrogiem własnego narodu; uczyć młodzież po polsku, ratować ją od zruszczenia i demoralizacji; wyrwać społeczeństwo z bierności i apatii, zorganizować opór przeciw rusyfikacyjnej fali, której dobrowolnie z polskiej strony torowano drogę przez niedołęstwo i tchórzliwość; obudzić sumienie narodowe w tych, co mieli środki i wpływy w społeczeństwie, oraz zapał do pracy narodowej w tych, co z młodymi siłami wstępowali w życie. Byliśmy młodzi, więc nie mogło być mowy o doskonałości metod, ale w całej robocie był instynkt zdrowy, zdrowy sens i zapał szlachetny, które czyniły z niej silną podwalinę przyszłości.

W robocie tej przeszkadzało nam tylko prześladowanie rządu rosyjskiego i, co ważniejsza, bierność własnego społeczeństwa. Z daleka wprawdzie dochodziły nas echa gromów, ciskanych na nas z okopów krakowskich, ale były to tylko oznaki niezadowolenia, nie zaś bezpośrednia walka z nami.

W miarę, jak dojrzewaliśmy przy pracy i praca dojrzewała z nami, zaczęliśmy formułować myśli kierownicze naszej działalności politycznej, mierzyć je z zagadnieniami przeszłości i przyszłości narodu. Zaczęliśmy tworzyć literaturę polityczną, której treść w najważniejszych punktach zaprzeczała silnie założeniom stańczykowskiej szkoły. Nie ogłaszaliśmy grubych tomów z firmą naukową, bo nie siedzieliśmy na katedrach uniwersyteckich, ale staliśmy przy warsztacie pracy, przy którym rozkładać się z foliałami nie bardzo było można. Zresztą dobry smak nakazywał nam raczej rzucić czasem myśl głębszej wartości w skromnym artykule niż pisać pamflety polityczne pod naukowymi tytułami.

Spór z nami wszczęli już nie stańczycy właściwi, ale ich epigonowie. Nie będę zatrzymywał się nad tym, jak ten spór był prowadzony, bo powiadam, nie rekryminacje mam na celu; stwierdzę tylko, iż bardzo prędko zorientowaliśmy się, że stańczyków jako szermierzy krakowskiej doktryny, już nie ma. Zasadniczego sporu z nami nie podjęto, nasze najważniejsze, najbardziej zasadnicze enuncjacje pozostały bez odpowiedzi. Z początku próbowano rzucać nam frazesy w stylu Szujskich, Tarnowskich, Koźmianów – później i z tego zrezygnowano. Wszystko sprowadziło się do utrwalania w społeczeństwie poglądu, że nasza działalność grozi mu taką czy inną katastrofą. Do tego momentu sprowadziła się właściwie cała walka.

Tę walkę ugodowcy zaboru rosyjskiego, a z nimi ich sojusznicy krakowscy sromotnie przegrali. Okazało się, że wszystkie ich poglądy na naszą działalność były oparte na fikcjach, mniejsza o to – z dobrą wiarą przyjętych, czy celowo zmyślonych. Okazało się nadto, że ci politycy, pretendujący do prowadzenia narodu, nie orientowali się zupełnie w szerszej polityce, nie rozumieli sytuacji międzynarodowej, nie mieli pojęcia o tym czym jest Rosja, skutkiem czego najpierw wydawało im się śmiesznym przewidywanie, że Japonia ośmieli się jej wojnę wydać, później zaś nie mogli się wobec najoczywistszych faktów pogodzić z myślą, że Rosja może być pobita, lub że może się okazać wewnątrz zdeorganizowaną. Okazało się wreszcie – co ich już ostatecznie jako polityków unicestwienia – że nie rozumieją własnego społeczeństwa, że skutkiem tego czyny ich stały w takiej sprzeczności z jego pojęciami i uczuciami, iż najruchliwsi zostali przez opinię skazani na ostracyzm: uznano za rzecz niedozwoloną spotkanie się z nimi w działalności publicznej.

Póki wszelkie objawy życia narodowego były zduszone, póki panowała w Królestwie pozornie całkowita martwota, bo życie prawdziwe i istotna praca polityczna była ukryta pod powierzchnią ziemi – mogło się na zewnątrz do pewnego stopnia zdawać, że ci politycy prowadzą naród. Z chwilą wszakże, gdy pęta cokolwiek się rozluźniły, gdy naturalna prężność społeczeństwa ukazała właściwą jego polityczną fizjonomię – od razu stało się widocznym, że nie mają wcale gruntu pod nogami, że nie tylko nie kierują opinią, ale są przedmiotem powszechnej nienawiści. Złudzeniem jest, że źródłem oburzenia na nich był ów nieszczęsny „Memoriał dwudziestu trzech” – memoriał był tylko sposobnością, przy której wyładowała się nienawiść, gromadzona od lat dziesiątka, od chwili złożenia wieńca na grobie Aleksandra III.

Bo w tym kraju jest społeczeństwo, które czuje i myśli, które nie godzi się na politykę, przeciwną jego instynktom i pojęciom, nie pozwoli gwałcić swych uczuć.

Dlaczego ugodowcy tego nie zrozumieli? Doprawdy, z całą szczerością i głębokim przekonaniem twierdzą, że dlatego, iż są uczniami stańczyków, iż w ich mózgach spoczywa osad po krakowskiej szkole, tak nielitościwie dziś pogrzebanej przez krakowski organ. Doktryny historyczne stańczyków nie zajmują ich, tak jak nie zajmują młodo-konserwatystów krakowskich; szersza myśl, o ile istniała u właściwych stańczyków, tu zanikła. Zanikło więc to, co było umysłową i moralną racją bytu stronnictwa. Pozostało zaś to, co stańczykom wybaczano dla owej racji wyższej: samowolna reprezentacja społeczeństwa, ponížanie się w jego imieniu, *liberum abdicó*, lekceważenie opinii, konspirowanie przeciw niej, wstręt do narodowej walki w jakiegokolwiek postaci, warcholskie rozbijanie jedności wtedy, gdy wbrew ich myśli zjawia się ona w społeczeństwie, zgoda na wychowywanie naszych mas ludowych przez rząd obcy, wzmacnianie pierwiastku klasowego w polityce itd. Wszystkie te pierwiastki, wyrosłe na arystokratycznym gruncie galicyjskim, przenieśli oni na grunt Królestwa, kraju mającego liczną inteligencję niezależną, w którym nadto tzw. większą własność reprezentuje przede wszystkim niezawisłe, nieciążące do arystokracji ziemiaństwo średnie.

Mam wrażenie, że te pojęcia i nałogi pochodzenia krakowskiego tak unieruchomiły umysły panów ugodowców, iż nie zdają oni sobie nawet sprawy z tego, dlaczego przegrali. Nie rozumieją, zdaje się, wcale najgłówniejszych faktów życia swego społeczeństwa w ostatnich czasach. A te fakty są olbrzymiej doniosłości.

Przecież w ciągu ostatniego dziesięciolecia zmienił się zasadniczo w Królestwie wzajemny stosunek między dwiema tradycyjnymi warstwami narodu, ziemiaństwem i warstwą włościańską. Chłop, niedawno jeszcze prowadzony przeciw „panom” przez komisarzy włościańskich, a coraz częściej podjudzany przez socjalistów, pomimo wszystko dziś wyciąga rękę do szlachcica, okazuje mu zaufanie, powołuje na urzędy wyborcze w gminie i idzie chętnie za jego radą tak w gospodarstwie, jak w polityce. Z drugiej strony szlachcic, który niedawno tak sceptycznie patrzył na chłopa, tak obojętny był na jego sprawy, coraz chętniej się bierze do wspólnej z nim pracy, pomaga mu w dążeniu do oświaty, dobrobytu i obywatelskiej samoistności i liczy nań w walce o narodowe prawa. Ta zmiana niedawno, od lat kilku zaledwie czuć się w pewnej mierze dała, a już dziś stanowi bardzo wybitny moment naszych stosunków.

Co zbliżyło te dwie warstwy, między którymi tyle czynników przepaść kopało? Ojczyzna, przyszłość narodu, obudzenie się poczucia narodowego w ludzie oraz poczucia narodowych obowiązków i popędu do obywatelskiej działalności w młodszej generacji szlachty. Dla mnie, który wierzę, iż losy narodu nie od tego przede wszystkim zawisły, jak obce rządy nań patrzą, ale od tego, czym on sam jest dla siebie, ta doniosła zmiana, wzmacniająca jedność narodu w pracy i walce, więcej jest warta, niż cała autonomia Galicji z rozbiciem moralnym jej społeczeństwa, z dzikim wprost rozwydrzeniem antagonizmów klasowych. A czy panowie ugodowcy współdziałali jej? Nie, to się stało

wbrew ich usiłowaniom jako stronnictwa (bo trudno zaprzeczać najzacniejszego postępowania na wsi niektórych ludzi z tego obozu): oni oddawali lud na wychowanie policjantom w „kuratoriach trzeźwości”, gniewali się w *Czasie*, gdy zwalczano *Oświatę* (tygodnik rządowy dla ludu) i inne w tej dziedzinie przedsięwzięcia rządowe.

To się stało przede wszystkim dzięki patriotycznej propagandzie wśród ludu i dzięki temu, że w młodszym pokoleniu ziemiaństwa obudziła się chęć do narodowego czynu zwróconego w przeciwnym zupełnie kierunku, niż chcieli panowie ugodowcy.

Ten jeden fakt, dzięki któremu za uchwały językowe w gminie skazywani byli administracyjnie obywatele ziemscy obok włościan, dzięki któremu protest przeciw uchwałom komitetu ministrów, podpisany przede wszystkim przez przedstawicieli ziemiaństwa z całego kraju, poparty został w następstwie z górą 30 tysiącami podpisów, których większą część położyli włościanie – ten fakt powinien zmusić do zastanowienia wszystkich ludzi myślących, uświadomić im, że między tzw. ugodową polityką a kierunkiem, w którym przekształcało się ostatnimi laty życie kraju, istniała pogłębiająca się coraz bardziej przepaść.

Okres wojny przekonał społeczeństwo, że propaganda patriotyczna wśród mas ludowych może nie prowadzić kraju do katastrofy, ale raczej go od katastrofy ratować; że tajna organizacja i nielegalna praca może mieć w życiu narodu przeciwne zupełnie znaczenie, niż uczyli pp. ugodowcy i stańczycy; że działalność rządu może być pod względem społecznym burzycielską, a tajna organizacja, jeżeli jest istotnie narodową, może stać na straży ładu społecznego; że wreszcie jawne i dobitne wykazanie, iż społeczeństwo mocno stoi przy swoich prawach, i stanowcze sprzeciwienie się rządowi nie gubi wcale narodowej sprawy, ale zmusza rząd do zastanowienia się nad potrzebą ustępstw.

Politycy ugodowi mogą tego nie uznawać, ale muszą się zgodzić, że opinia to uznała.

Zdawałoby się wobec tego wszystkiego, iż powinni zamknąć historię swoją jako stronnictwa ugodowego i postarać się, żeby ogół o niej jak najprędzej zapomniał.

O ile który z nich chce ofiarować dziś swe siły społeczeństwu w służbie publicznej, winien wylegitymować się, z czym przychodzi, czego się ostatnimi czasy nauczył – bo przecież wszyscy przyznajemy, żeśmy się w ubiegłym roku wiele nauczyli – w żadnym zaś razie nie powinien się powoływać na swoje dawne, a tak wątpliwej wartości zasługi.

Czyż wobec tego nie ma się wrażenia jakichś drwin niesmacznych, gdy się czyta w *Czasie* (*loco citato*¹⁵):

„Jesteśmy pewni, że... społeczeństwo nieraz zwróci się do ludzi, którzy pierwsi od innych, bo już nazajutrz po śmierci Aleksandra III, zerwali się do roboty politycznej (złożenie wieńca na grobie cara ciemieżcy. Przyp. mój) i więcej też od innych nabrali doświadczenia...”

Gdy się taką rzecz czyta, człowiek doznaje uczucia jakby wstydu, że są u nas ludzie, wierzący, iż można w ten sposób do czytelnika polskiego przemawiać.

¹⁵ (łac.) „W miejscu cytowanym” [redakcja]

III. Podstawy polityki polskiej

W chwili wystąpienia na widowni szkoły krakowskiej, Galicja stawała się głównym warsztatem pracy politycznej polskiej. W tej pracy komendą niejako chwyciło stronnictwo krakowskie i utrzymało ją, nadając jednocześnie pewien ton całemu życiu polskiemu i całej polskiej sprawie. Wszystko, co było robione w duchu przeciwnym, miało bądź charakter, bądź pozory opozycji przeciw temu, faktycznie czy pozornie panującemu kierunkowi.

Ostatnie czasy skutkiem rozmaitych przyczyn są stopniowym przenoszeniem się środka ciężkości polityki polskiej do Królestwa. Dało się to już czuć silnie od lat paru, a ostatnia wojna i towarzyszące jej w Rosji zmiany sprowadziły silne w tym kierunku posunięcie. Jeżeli nie zajdzie jakiś przewrót nieoczekiwany, to można powiedzieć, że okres ciągłego wzmacniania środków rusyfikacyjnych i ucisku politycznego, oraz towarzyszącego mu zupełnego zduszenia publicznego życia w tej dzielnicy jest już zamknięty. Zaczyna się natomiast okres, w którym rusyfikacja powoli się cofa, a energia społeczeństwa polskiego zaczyna czuć pierwsze rozluźnienie pęt, które ją więziły.

I ugodowcy, i my pragnęliśmy tego.

Tylko oni liczyli, że otrzymają to od potężnej triumfującej Rosji, w której potęgę i ciągłe triumfy niezachwianie wierzyli, otrzymają wtedy, gdy rząd rosyjski się przekona, żeśmy istotnie słabi i bezbronni, żeśmy wyzbyli się wszelkich aspiracji, że nie pragniemy niczego więcej, jak równouprawnienia z resztą poddanych cara.

Myśmy zaś wierzyli głęboko, że ustępstwa dla Polaków w Rosji przyjdą tylko wtedy, gdy wykażemy silne dążenia narodowe, spójność organizacyjną i energię w walce z rusyfikacją, że wreszcie wszelkie niepowodzenia Rosji na innych polach (nie ukrywaliśmy, że liczymy na nie) tylko przyśpieszą te chwile.

Otóż ustępstwa są, nie tak wielkie, jak je zaczęła widzieć wyobraźnia kół niektórych, ale są i można je uważać za jaki taki początek. W jakich warunkach przyszły? Po haniebnym klęskach wojennych Rosji, po objawach powszechnego rozprężenia i buntu w wielu punktach państwa. Przy jakim zachowaniu się społeczeństwa polskiego? Abstrahując od anarchii i rewolucyjnego wrzenia wśród żywiołów, których rząd za reprezentację społeczeństwa nie uważa, z czymże się on ostatnimi czasy spotykał w naszym kraju? Z samoistnymi usiłowaniami opanowania własnej anarchii – to prawda – ale jednocześnie z akcją gminną, w której chłopcy wespół z ziemiaństwem stawili opór jego władzom, z powszechnym bojkotem jego szkoły, z bojkotem języka rosyjskiego na kolei, z protestem przeciw jego polityce i z wyrażeniem aspiracji do odrębności autonomicznej Królestwa, podpisanym przez najwybitniejszych przedstawicieli kraju i popartym później dziesiątkami tysięcy podpisów... A wszystko to bez żadnych zapewnień wiernopoddańczych, bez manifestacji lojalizmu i przywiązania do rosyjskich

interesów państwowych. I to wszystko nie przeszkadza dziś rządowi rosyjskiemu do zastanawiania się nad niezbędnymi dla nas ustępstwami.

Cóż to znaczy?

To znaczy, iż zaczyna się ziszczać cel, upragniony przez nas wszystkich, ale przy okolicznościach i za pomocą środków, wręcz przeciwnych tym, jakie przewidywali i głosili ugodowcy a wraz z nimi konserwatyści krakowscy. Nie sądzę, żeby mieli stąd powód do zmartwienia, bo wszak o poprawę położenia kraju przede wszystkim musi im chodzić, a nie o to, żeby ta poprawa była koniecznie wyżebrana przy pomocy upokarzających deklaracji.

Są ludzie, którzy nie rozumieją inaczej polityki, jak w postaci walk partyjnych, porażek jednych stronnictw a zwycięstwa innych. Czytając powyższe słowa, przypuszczają oni zapewne, iż oceniając tak nisko politykę ugodowców i mówiąc o ich porażce, mam na celu wywyższenie siebie i swoich, jako tych, którzy zwyciężyli. Tymczasem mnie zupełnie o co innego idzie.

Tu idzie o stwierdzenie, że w nowym, zaczynającym się dziś okresie, polityka naszego narodu wobec państwa i rządu rosyjskiego już się w najgłówniejszych liniach zarysowała, że wobec tego, iż stoi za nią całe prawie społeczeństwo, nie mamy żadnej wątpliwości co do jej głównych podstaw na długie lata; że następnie podstawy te są wręcz przeciwne programowi ugodowców, który całkowicie zbankrutował. Widzą to ludzie u nas, widzą w Rosji i za granicą, więc chyba i ugodowcy nie mogą zamykać oczu na to, co się stało.

Na tym się sprawa nie kończy. Ponieważ w Królestwie zaczyna się dziś koncentrować interes sprawy polskiej, ono dziś zaczyna promieniować na inne dzielnice, i te podstawy, na których się tam opiera polityka polska, prędzej czy później staną się podstawami polityki całego narodu we wszystkich zaborach. Nie ma w nich nic oryginalnego, są one podstawami polityki narodowej na całym świecie, a nigdzie tak łatwo nie było uczyć się ich, jak u najbliższych sąsiadów naszych, Czechów i Węgrów. Nie są one żadnym wynalazkiem „wszechpolskim”. To, co stanowi samoistny wytwór pracy umysłowej tzw. „wszechpolaków”, pozostanie na długo niezawodnie poglądem skromnej garści ludzi, którzy nadal będą pracowali nad wszczepieniem go w umysły kół szerszych. Te zasady, które zwyciężyły, były szerzone przez „wszechpolaków” tylko jako obowiązujące każdy naród, który chce żyć i ma zdolność do życia. To tylko ugodowcy chcieli dla Polaków przyjąć odrębne podstawy polityczne, jakimi żaden naród nie żyje i nikt do niczego nie dochodzi. Że zaś tak dziwne mieli zamiary, pochodzi to stąd, powtarzam, iż są uczniami szkoły krakowskiej.

Bo szkoła krakowska powstała w bardzo wyjątkowym momencie naszych narodowych dziejów, w momencie, który raz był i więcej się nie powtórzy. Była to doba klęski, rozpacz, braku sił, a jednocześnie niezdolności pogodzenia się z własną bezsilnością i z realnymi warunkami ciężkiego życia. Ta doba musiała minąć: pamięć

klęsk się zaciera, rozpaczy się nie dziedziczy, siły nowe, zwłaszcza w takich okresach, jak ostatnie czterdziestolecie, szybko narastają, a rzeczywistość ma to do siebie, że prędzej czy później ludzie muszą ją zrozumieć. Społeczeństwo się przetworzyło, staje się podobniejszym do innych, zdobyło nowe siły, a z nimi zdolność do prowadzenia takiej polityki, jaką by prowadził każdy inny naród w jego warunkach. I naturalnym jest zupełnie, że przemianę tę łatwiej było zrozumieć ludziom, którzy z tego społeczeństwa, w czasie jego przetwarzania się wyrosli i własnym rozumem politykę od zaczątków sobie organizowali, niż tym, którzy brali mądrość polityczną od krakowskiej szkoły. Nie jest to żadną ich zasługą, tylko wynikiem warunków, w których wyrosli.

Wszelkie ambicje, czy to zadowolone, czy urażone, możemy i powinniśmy w tej sprawie na bok odłożyć. Dziś zamknął się jeden rozdział naszego narodowego życia; zaczyna się nowy, w którym miejsce jest do pracy dla wszystkich, uzdolnionych moralnie i umysłowo.

Twierdzę, że w tym nowym okresie polityka polska już posiadała główne podstawy, na których się oprze, że są one zasadniczo przeciwne założeniom krakowskiej szkoły, że wynikają one z innego zupełnie pojęcia istoty narodu, innego stosunku do zagadnień jego przeszłości i przyszłości. Potwierdzeniem prawdziwości mego zdania są wszystkie akty dzisiejszej polityki polskiej w najważniejszej naszej dzielnicy, Królestwie: bankructwo i kompromitacja partii ugodowej, wreszcie stwierdzone na początku wycofanie się organów ugodowo-ściańczykowskich z wszelkiego zasadniczego sporu, ze sporu o zagadnienia przyszłości narodu.

Ta przemiana zaszła w dziedzinie, należącej do polityki zewnętrznej narodu: nie należy jej rozumieć jako przewagę jednej partii nad drugą, ale jako zwycięstwo pewnej, powszechnej zresztą u zdrowych społeczeństwach zasady w polityce całego narodu. Naród żywotny, posiadający istotne warunki do zdrowej polityki, nie może pozwolić, żeby przyjęcie tej zasady pozostało dowolnym, jako sprawa partyjna – to sprawa narodowa, i wszyscy winni się tej zasadzie poddać, działać zgodnie z nią, a przynajmniej nie przeciw niej.

Dlatego od dzisiejszej chwili w Królestwie nie ma miejsca na ugodowców. Nie znaczy to, żeby ludzie mieli zniknąć: ludzie mogą istnieć i działać we właściwym zakresie, ale zasady i metody, które zbankrutowały, trzeba odłożyć *ad acta*¹⁶. Trzeba zlikwidować stronnictwo ugodowe, tak jak w Galicji należałoby wyraźnie i stanowczo zlikwidować stronnictwo ściąńczykowskie. Tego wymaga sprawa narodowa, od tego zależy nasza jedność wobec obcych, a zatem i zdrowy rozwój naszej narodowej polityki.

¹⁶ (łac.) „Do akt sprawy, którymi nie trzeba się zajmować, do archiwum” [redakcja]

Nie znaczy to, żeby miało przestać istnieć stronnictwo konserwatywne krakowskie z takim czy innym stanowiskiem w sprawie reformy administracji, organizacji samorządu, polityki ekonomicznej kraju itp. stronnictwo, które realnie istnieje; nie znaczy również, żeby nie miało powstać takie, czy inne, pokrewne stronnictwo w Królestwie, o ile w wewnętrznych sprawach kraju będzie miało istotnie odrębny program. Ale czas jest dziś właśnie odrzucić pozory tej wielkiej polityki narodowej, która o ile w dawnym stronnictwie stańczykowkim istniała, dziś całkowicie należy do przeszłości. Kiedy się stoi na gruncie „problematów żywotnych”, trzeba stać konsekwentnie: nie trzeba w szerszej polityce narodowej ciągle zabierać głosu ze swoim *votum separatum*¹⁷, przeciwstawiając temu, co się dla przyszłości narodowej naprawdę robi, przestarzałe, odrzucone już zasady, których się nie chce nawet bronić oraz czyny, które usiłują sobie nadawać pozory poważnych aktów politycznych, a są tylko zwykłym narodowym warcholstwem. A to się właśnie po dziś dzień robi i to się bodaj – dla ratowania honoru wielkiego stronnictwa – zamierza na najbliższą przyszłość.

¹⁷ (łac.) „Zdanie odrębne” [redakcja]

IV. Łamanie solidarności narodowej

Gdyby mi chodziło o interesy partyjne, powinienem był jak najsilniej pragnąć, żeby tak zwane stronnictwo ugodowe przetrwało dzisiejszą chwilę i próbowało dalej działać na ten sam sposób, co dotychczas. Bo dla partii nie ma lepszego interesu, jak posiadać przeciwników, pozbawionych poparcia w opinii, ciągle ponawiających te same błędy, kompromitujących się i obrzydających siebie społeczeństwu. Sprawa publiczna może na tym tracić, ale stronnictwo górujące w opinii ma ciągłą sposobność do łatwych zwycięstw, do wykazywania swego rozumu politycznego, patriotyzmu itd. Zyskuje ono jak kokietka, ukazująca się stale w brzydkim towarzystwie. Taki partyjny kontrast stanowili dla nas ostatnimi czasy ugodowcy i tym bardziej będą stanowili nadal, o ile zechcą jako stronnictwo ponawiać próby utrzymania się na widowni.

Ale doprawdy te eksperymenty wyrządzają ogromne szkody naszej narodowej sprawie. Wszystkie ważniejsze zagadnienia polityczne chwili obecnej w zaborze rosyjskim należą właściwie do polityki zewnętrznej, a nawet sprowadzają się do jednej wielkiej kwestii, mianowicie do uzyskania ustępstw narodowych i zmian politycznych, pożądanych dla całego narodu. Cele nasze w tym względzie są właściwie jedne, co zaś do metod, to zdrowy rozsądek mówi, że musi w nich panować względna jedność, o ile mają do czegoś prowadzić. Dana droga polityczna może nie być najdoskonalszą, ale będzie skuteczną, jeżeli pójdziemy po niej zgodnie; najlepsze zaś drogi nie mają żadnej wartości, jeżeli jedni popchną tyłu, co inni naprzód pchnęli.

Wprawdzie ugodowcy dziś już nie mają sił do sparaliżowania akcji, jaką kraj uzna za stosowną, ale będą dużymi szkodnikami, o ile zechcą działać w dotychczasowym kierunku.

Taką rolę szkodników odegrali oni i ich krakowscy sojusznicy nieraz ostatnimi laty. Czasami można było mieć wrażenie, że chodziło im o popsucie, o zdeorganizowanie danej akcji dlatego tylko, że prowadzą ją tak zwani wszechpolacy. Przypomnę tylko podsycane przez *Czas* z gorliwością, godną lepszej sprawy, rozdwojenie opinii w sprawie, wymagającej tyle jedności, co walka o polskie mandaty na Śląsku pruskim.

W Królestwie dziś nie schodzi z porządku dziennego sprawa bojkotu szkolnego. Jeżeli co, to walka przy pomocy bojkotu wymaga bezwzględnej jedności. Tymczasem mamy całą akcję nielicznej garści ludzi – ugodowców pomimo wszystko – dążącą do rozbicia bojkotu, a tym samym usiłującą osłabić jego znaczenie w oczach rządu i opinii rosyjskiej. Jako motyw podają oni szkodliwość bezrobocia młodzieży dla samego społeczeństwa. Przypuściwszy, że istotnie ten i tylko ten motyw nimi kierował i że nie było nic nielojalnego, podstępnego w sposobie wzięcia się do rzeczy – czyż to ich postępek usprawiedliwia? Obok nich wielu ludzi widziało i widzi szkody, jakie to bezrobocie wyrządza. Ja osobiście do nich należę i nigdy tego nie ukrywałem. Co więcej, byłem przekonany, że społeczeństwo nie wytrzyma długo takiego stanu, a uważając, że nie

można takiej ofiary rodzicom wbrew przeważającej opinii narzucać, miałem prawie pewność, że bojkot od wakacji będzie przerwany. Tymczasem okazało się, że opinia pod tym względem o wiele mocniej stoi, niż żeśmy myśleli, że społeczeństwo gotowe jest nawet do daleko idących ofiar, byle raz szkołę polską w jakiegokolwiek postaci odzyskać. Bojkot stał się akcją narodową jako taki wywarł nadzwyczaj silne wrażenie na społeczeństwie rosyjskim i na rządzie, jakkolwiek na początku, po wybuchu bezrobocia młodzieży, lekceważono je jako rewolucję dziecięcą. Póki myślano, że to dzieci prowadzą starszych, uważano sprawę za dowód słabości naszego społeczeństwa, gdy się wszakże przekonano, że dojrzała opinia mocno stoi przy bojkocie, zaczęto w nim widzieć wyraz silnego poczucia narodowego, świadomości narodowych potrzeb i wytrwałości w walce. Na dowód, że takie właśnie wrażenie wywarł bojkot, można przytoczyć całą litanię wyjątków z prasy rosyjskiej. Na dowód zaś, jak solidarne jest w tej sprawie społeczeństwo, nic przytaczać nie potrzeba, wobec przyjęcia, jakiego doznała akcja przeciwna ze wszystkimi jej środkami pomocniczymi.

Czymże w tych warunkach jest powyższe wystąpienie, jak nie łamaniem solidarności narodowej w najważniejszym momencie i dezorganizowaniem narodowej akcji? Już się zaczyna okazywać, że bojkotem osiągniemy choć połowiczne ustępstwa szkolne, ale jego dezorganizatorzy będą się zachowywali zawsze tak, jakby nic złego nie zrobili. A w *Czasie* będzie się ciągle mówiło o ich poważnej, obywatelskiej akcji...

Teraz coraz częściej słyszymy, że ugodowcy mają zamiar kandydować do Dumy, że są zorganizowani w stronnictwo itd. Jak to, więc ci panowie po tym wszystkim, co ich spotkało, staną przed społeczeństwem, przedstawią mu się jako ugodowcy, powołają się na dotychczasowe czyny i zażądają, żeby im politycznie zaufano? Na co liczą w takim razie? Czyżby uznali za zgodne z moralnością narodową ubiegać się o mandaty wbrew wyraźnej opinii ogółu, pod protekcją urzędników i policji rosyjskiej? Czyżby istotnie sumienie im pozwoliło udawać się o pomoc do władz rosyjskich przeciw własnemu społeczeństwu? Nie chce mi się w to wierzyć: ani nie poniżam ich tak moralnie, ani nie uważam ich za tak nieostrożnych. Przecież wtedy nielegalna prasa, która rozporządza niemałym wpływem w Królestwie, stwierdziwszy fakt podobnych z ich strony zabiegów, czułaby się upoważnioną do rzucenia ich nazwisk ludowi z właściwą moralną kwalifikacją. Dla nikogo zaś chyba nie jest pożądanym, żeby walka wyborcza zesłała na te tory...

Ta dziwna wytrwałość w upieraniu się przy zbankrutowanej polityce, mająca rozmaite źródła, których tu bliżej charakteryzować nie chcę, możliwą jest w znacznej mierze dzięki moralnemu poparciu z tej strony kordonu, (tj. Galicji). Poparcie to zaś udzielane jest przy użyciu sposobów tak niepoważnych, jak np. wystawianie przez kilka dni w zeszłym tygodniu dwóch członków stronnictwa ugodowego niemal jako zbawców ojczyzny, z powodu pomnożenia mandatów z Królestwa do Dumy do liczby 36.

Czyż nie szkoda doprawdy tracić czasu i sił na obronę stanowczo już przegranej sprawy, na ratowanie pozycji stronnictwa, która żadną miarą utrzymać się nie da, zamiast

otrząsnąć z siebie stare nałogi i niezamglonym wzrokiem, a wolnym umysłem rozejrzeć się w nowej sytuacji, odsłaniającej wcale szerokie widnokreśli i otwierającej pole działania dla wszystkich sił, byle zdolne były tę sytuację zrozumieć i uczciwie sprawie narodowej służyć.

Gdybyśmy zapytali dziś ugodowców, które zasady, które punkty programu i które metody dotychczasowe mają zamiar utrzymać, postawilibyśmy ich w wielkim kłopotcie. Bo wobec tego, jak się wypowiedziała opinia, trudno dziś twierdzić, że nasze aspiracje mają na celu tylko odrębność językową i kulturalną, jak niedawno jeszcze mówiono; trudno wmawiać w rząd i opinię rosyjską, że Polacy chcą tylko równouprawnienia i tolerancji; niemniej trudno będzie czynić rozmaite dowolne deklaracje w imieniu naszego społeczeństwa, które znajdzie nadal drogi wypowiedzenia się, jak je znalazło ostatnimi czasy.

Mnie się zdaje – jest to moje zdanie osobiste – że o ile nie wejdą w grę niezdrowe ambicje osobiste i koteryjne, oraz interesy partykularne, nie tylko nic wspólnego niemające z interesem narodowym, ale niedozwolone w dobie, gdy on wszechwładnie zapanować musi – bo jemu największa dotychczas dzieje się krzywda – w Królestwie, w granicach zagadnień, stojących dziś na porządku dziennym, nie ma miejsca na politykę partyjną. Musi być jedna polityka narodowa i nie może być dozwolone iść za nią, lub przeciw niej.

Zdaje mi się też, że ta narodowa konsolidacja na gruncie uznania nowych dróg politycznych, stanie się w bliskim czasie koniecznością na całym obszarze ziem polskich.

V. Konsolidacja opinii narodowej

Jeżeli w krakowskim organie ugodowców czytamy, że dziś czas przyszedł na „problematy żywotne, widzialne dla każdego” oraz na „środki dające się obliczyć i wymierzyć”, że wszelkie, jak się tam mówi, „abstrakcyjne” zagadnienia będą na bok odłożone – to nie będzie chyba żadną insynuacją, gdy twierdzenie powyższe przełożę na następne dwa zdania:

1) po zawarciu pokoju przez Rosję i wydaniu ukazu o Dumie stosunki polityczne się ustalają i upraszczają, sprawa polska wchodzi na tory względnie gładkie, na których praca dla niej sprowadzi się do rozwiązywania „problematów widzialnych dla każdego” i

2) ludźmi najodpowiedniejszymi do tej pracy są właśnie działacze ugodowi, którzy „już jedenaście lat temu zerwali się itd.”.

Nie chcę kwestionować kwalifikacji działaczy ugodowych w zakresie „problematów żywotnych”, pewien nawet jestem, że niektórzy z nich mogliby przynieść sporo pożytku; jakkolwiek chyba w Krakowie miano sposobność przekonać się, że takich sił jest niewiele, że nawet ci, którzy podawani są jako autorytety w tej lub innej dziedzinie, nie zawsze umieją poprzeć swój tytuł znajomością rzeczy i zdolnościami. Nie wątpię również, iż niektórzy z nich mogli być przydatni swą znajomością dróg, którymi się trafia do tych lub innych władz petersburskich. Te rzeczy wszakże nie są nigdy najważniejsze i najtrudniejsze w polityce, do nich zawsze się ludzie znajdują i wyrabiają, gdy są potrzebni. O wiele ważniejsze jest, w jakim duchu się rozwiązuje „problematy żywotne” i na jakim gruncie się stawia stosunek do rządu.

Rozglądając się też dziś w ludziach, nabywam przekonania, że do wszystkiego znajdą się u nas działacze chętni i zdolni, którzy prędko zrozumieją, czego od nich położenie wymaga i nauczą się, czego potrzeba, a co najważniejsze, nie będą mieli przeszkody w nabytych poprzednio nałogach ugodowych.

Ale przecież stosunków politycznych i położenia sprawy polskiej nie można uważać za unormowane, za ustalone chociażby na czas krótki.

Prawda, że wojna się skończyła i że ma się ku końcowi ta trudna, skomplikowana sytuacja, jaka się podczas niej w Królestwie wytworzyła. Panowie ugodowcy, którzy w tej sytuacji stracili głowę i odegrali rolę, przy najpochlebniejszym jej określeniu, piątego koła u wozu, mogą powiedzieć, że takie sytuacje są nie dla nich: niech sobie w takich chwilach naród radzi przy pomocy tych, co pracują wśród mas, posiadają tajne organizacje, nielegalną prasę; ich to rzeczą jest pilnować, żeby na kraj nie spadła katastrofa, żeby w chwili osłabienia obcego rządu nie opanowała go obca anarchia, walczyć na noże z tą anarchią i jednocześnie skierowywać wezbraną falę uczuć i popędów na drogę działalności twórczej, płodnej dla przyszłości. Kiedy taka trudna sytuacja mija, czas jest znów na nas, ludzi od „problematów żywotnych”...

Przekonanie, że teraz położenie jest już łatwe, sprowadzające się do „problematów”, widzialnych dla każdego, panowie ugodowcy i konserwatyści krakowscy czerpią niezawodnie z jednej strony z faktu zawarcia pokoju i ustanowienia Dumy, z drugiej zaś stąd, iż rząd rosyjski okazuje pewną, słabą zresztą skłonność do ustępstw dla nas, w opinii zaś rosyjskiej nastąpił silny zwrot na naszą korzyść. Ich zdaniem widocznie teraz już tylko pozostaje nam żniwo w zakresie „problematów żywotnych”, najłatwiejsze, ma się rozumieć, dla ludzi, którzy zawsze szukali zbliżenia z rządem, nie narażali mu się, starali się go przejednać, a jednocześnie dobrze usposobić opinię rosyjską dla naszego kraju. Otóż sprawa ta wcale tak prostą nie jest.

Względna zmiana w stosunku rządu rosyjskiego do nas, a przede wszystkim niewątpliwa zmiana niezależnej opinii rosyjskiej w stosunku do naszej sprawy, nie nastąpiła wcale na skutek zabiegów ugodowych. Przeciwnie, przyszła w chwili, gdy się okazało, że ugodowcy nie mają żadnego gruntu w kraju. W opinii, rosyjskiej zawdzięczamy ją temu, iż rozumie ona, że w walce z biurokratycznym systemem ma w nas niezawodnego sojusznika, że przysły stworzone przez ugodowców pozory, jako byśmy byli gotowi z tym systemem się pogodzić; rozumie dalej, iż mamy silne dążenia narodowe, od których za żadną cenę nie odstępimy, i że tylko drogą ustępstw dla tych dążeń można dojść z nami do porozumienia. Co zaś do rządu, to pochodzące od niego ustępstwa z jednej strony są częścią i konsekwencją ogólnopaństwowych reform, wywołanych klęskami zewnętrznymi, z drugiej – wynikiem zrozumienia faktu, iż przy odpornym stanowisku wobec wszelkich naszych żądań, zdolni będziemy poważnie utrudniać mu i tak trudne jego położenie. Zarówno zaś w społeczeństwie, jak w rządzie rosyjskim, niewątpliwie zaważył przede wszystkim fakt, iż dowiedziano się naprawdę, kto są Polacy: przedtem myślano, że są w społeczeństwie polskim tylko ugodowcy i powstańcy (bo pan Scriptor i Rosjan zdołał okłamać, jak to mieliśmy sposobność nieraz stwierdzić), że ostatni czekają tylko na sposobność, by powołać naród pod broń i wszystkie sprawy przez to skomplikować lub wykoleić, pierwsi zaś, tj. ugodowcy, fałszywie deklarują wiernopoddańcze uczucia i przywiązanie do rosyjskiej idei państwowej; nadto rząd dosyć dobrze wiedział, że ugodowcy nie mają wpływu w społeczeństwie, że ten wpływ, zamiast rosnać, maleje. Tymczasem w okresie wojennym przekonano się, że Polacy powstania robić nie mają zamiaru, że o ile posiadają w kraju żywość, skłonne do bezcelowej ruchawki, sami jej kładą tamy; że natomiast mają oni wyraźny, realny program narodowy, do którego urzeczywistnienia dążą otwarcie i od którego żadną miarą nie odstąpią. Dowiedziano się w Rosji, że Polacy idą w swych żądaniach bez porównania dalej, niżby tam chciano, ale przynajmniej dowiedziano się naprawdę, czego chcą, podczas gdy od ugodowców nigdy się dowiedzieć nie było można, bo dyplomacja ostatnich mówiła, że nie trzeba przeciwnej strony zrażać wysokimi żądaniemi.

Czy ta zmiana w Rosji na naszą korzyść ma trwałe podstawy, czy nie nastąpi w tym względzie reakcja?

To zależy z jednej strony od nas, z drugiej zaś od całego szeregu okoliczności, których dziś przewidzieć nie można, ale na które ciągle trzeba mieć oko.

Do nas należy przede wszystkim zachować postawę konsekwentną, utrwalić w Rosji to przekonanie, że za naszymi postulatami narodowymi stoi całe społeczeństwo, które gotowe jest o nie walczyć na każdym kroku, że dopóki one nie będą urzeczywistnione, nie może być mowy o normalnych stosunkach między ludnością kraju a organami rządu. Do nas należy wykazywać, że umiemy nie tylko żądać, ale brać, że nie jesteśmy bierną niezadowoloną masą, ale społeczeństwem organicznie spójnym, czynnym, świadomym swoich celów, konsekwentnie do nich dążącym, niecofającym się przed ofiarami na tej drodze, wreszcie twórczym, umiejącym korzystać z osiągniętych zdobyczy. Do nas należy panować nad swymi ruchami, przystosowywać swe działanie do okoliczności, wywierać silny nacisk w warunkach sprzyjających, oszczędzać narodową energię wtedy, kiedy by miała być bezowocnie zmarnowana. Do nas należy tak zgrać postępowanie naszego przedstawicielstwa w Petersburgu z pracą i walką narodową na miejscu, żeby te dwie działalności nawzajem się nie paraliżowały, ale wspierały, idąc w jednym kierunku. Do tego wszystkiego trzeba dobrej organizacji, dobrego rządu wewnętrznego oraz zdolności skoordynowania wszystkich czynników narodowej polityki.

W tym kierunku uszliśmy już trochę, ale o wiele więcej drogi przed nami leży. Nie można się dziwić, żeśmy się od razu nie zdobyli na doskonałą organizację: szerokie koła społeczne dopiero niedawno zaczęły potrzebę jej rozumieć, tym zaś, którzy od szeregu lat w tym kierunku pracowali i którzy jednak sporo zrobili, ze strony ugodowej bez skrpułów rzucano kamienie pod nogi. Tym bardziej trzeba dziś robić, kiedy ugodowcy stracili wpływ na opinię.

To są wszystkie zadania zarówno trudne, jak ogromnej wagi.

Ale losy nasze zależą będą zarówno od okoliczności zewnętrznych.

Nie wiemy dziś, jakie będzie dalsze zachowanie się społeczeństwa rosyjskiego w jego dążeniach do politycznej emancypacji i nie wiemy po jakiej linii pójdzie polityka wewnętrzna rządu rosyjskiego. Czy Duma będzie tym, czym ją chce mieć ukaz, czy wkrótce atrybucje jej będą rozszerzone, czy może jeszcze prędzej będzie rozpędzona, czy wreszcie, co bardzo prawdopodobne, zamieni się w instytucję bez znaczenia, wegetującą jako zbyteczny departament maszyny państwowej? A od tego bardzo zależą dalsze losy sprawy polskiej w państwie rosyjskim.

Nie wiemy dziś również, jaka będzie w najbliższym okresie polityka zewnętrzna Rosji. Czy na dłuższy czas skwituje ona z wszelkiej ekspansji, a jeżeli nie, to jaki kierunek sobie wybierze? Na którą stronę przechylili się w związku z tym przy obecnym przetarasowywaniu międzynarodowych kombinacji? Jeżeli się zbliży do Niemiec i od nich w pewnej mierze uzależni, co się zdaje zapowiadać, to sprawa polska znacznie odmiennie

przybierze obrót, niż gdyby się stosunki z Niemcami zaostrzyły, gdyby Anglia pociągnęła Rosję ponętnymi widokami na Bliskim Wschodzie.

Z tym wszystkim polityka polska w państwie rosyjskim musi się liczyć i do tego kroki swoje dostosować, kładąc większy nacisk to na tę, to na inną stronę działalności. Żeby zaś móc się z tymi rzeczami liczyć, trzeba je jako tako znać, widzieć, co się dzieje, i przewidywać, co się stać może.

Czy naród może to wszystko, tę całą organizacyjną robotę, ten rząd wewnętrzny, to wreszcie czuwanie nad zewnętrzną sytuacją, powierzyć ludziom od „problematów widzialnych dla każdego”? Tacy ludzie mogą być lepszymi lub gorszymi wykonawcami poszczególnych prac, wynikających z ogólnego planu, o ile są przede wszystkim narodowo lojalni, ale powierzenie im kierownictwa polityki byłoby narodowym samobójstwem. W każdej trudniejszej sytuacji zachowywaliby się oni tak, jak ugodowcy podczas wojny rosyjsko-japońskiej.

To zaś dotyczy nie tylko naszej polityki wewnątrz państwa rosyjskiego.

Stosunki międzynarodowe w Europie wcale nie znajdują się w stałej równowadze, punkty zaś, w których równowaga zaczyna się naruszać, wcale daleko od nas nie leżą. Na porządku dziennym dziś mamy antagonizm angielsko-niemiecki, a przy innych antagonizmach, jakie mogą się zjawić, zdaje się, iż jakimkolwiek będzie pierwszy przymiotnik, drugim zawsze będzie „niemiecki”, bo Niemcy dziś są jedynym prężącym się państwem na naszym kontynencie i prężność ta daleko może zaprowadzić, ile że takie rzeczy w znacznej mierze nie zależą od dyplomacji, ale od sił żywiołowych. Tuż o miedzę mamy dziś nie tak bardzo znów odgraniczoną od spraw niemieckich kwestię węgierską, która nam bezpośrednio może zgotować bardzo poważne niespodzianki.

Gdyśmy w chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej zapewniali społeczeństwo, że nie pociągnie ona żadnych zmian na karcie Europy, mieliśmy słuszość; ale bardzo ryzykownym byłoby stanowcze twierdzenie, że w stosunkach międzynarodowych, jakie się obecnie wytwarzają, takie zmiany nie są możliwe w bliskim czasie. I sprawa polska wcale się nie znajduje na tak gładkiej drodze, ażeby polityka nasza sprowadzała się do „problematów widzialnych dla każdego”. Przeciwnie, wszystko za tym przemawia, że oczekują nas w bliskiej przyszłości poważne komplikacje, z których nasza sprawa może wyjść bardzo rozmaicie, a rezultat nie zawsze będzie od nas zależny.

Moim zdaniem polityka polska dziś już zaczyna wymagać bardzo subtelnego rozumowania, ścisłego rachunku i koordynacji w czynach. Jeżeli tego nie ma, to dlatego, że za wiele jeszcze w tej naszej nieszczęsnej polityce brużdżą interesy partyjne i za wiele głosu mają ludzie od „problematów żywotnych, widzialnych dla każdego”, którzy ze swego stanowiska nic w niej właściwie nie mają do powiedzenia.

W spuściznie po szkole stańczykowskiej we wszystkich trzech zaborach pozostali społeczeństwu tylko politycy tego rodzaju, którym jednak niedawne tradycje stańczykostwa nie pozwalają zejść otwarcie do skromniejszej roli. Skutkiem tego

wytworzyło się nader fałszywe, a dla sprawy narodowej niebezpieczne położenie. Nie mogąc stanąć na wysokości sytuacji, usiłują oni sytuację nagiąć do siebie, zamknąć sprawę polską w widnokręgu „problematów żywotnych”.

Dlatego ostateczna likwidacja tej, dziś już tylko negacją i pozorami żyjącej polityki jest najważniejszą koniecznością narodową obecnej chwili. Jest ona i tak już o kilka przynajmniej lat spóźniona. Na przyszłość ta polityka, o ile zechce jeszcze dawać znaki życia, może tylko ośmieszać reprezentujących ją ludzi lub zrobić ich przedmiotem powszechnej nienawiści.

VI. Polityka ugodowa w królestwie

Gdy legenda, otaczająca roboty stańczykowskie i ugodowe, rozwiąła się, gdy od dawna nikt już nie broni zasad, w imię których zostały rozpoczęte, gdy główny niegdyś pionier tych zasad, *Czas*, otwarcie już lekceważy „zagadnienia z przeszłości i przyszłości narodu”, gdy wreszcie na najważniejszym dziś polu doświadczalnym tych robót, w Królestwie, wykazana została tak dobitnie ich nicość – powstaje pytanie: czemu społeczeństwo polskie zawdzięcza ten upór, z jakim panowie ugodowcy chcą dalej swe dzieło prowadzić, i tę gorliwość, z jaką są popierani po tej stronie kordonu?

Nie mogę tu się wdawać w analizę charakteru osób i koteryjek, nie chcę się zastanawiać nad pobudkami moralnymi działaczy w stylu „SCRIPTOROWSKIM”, którzy ostatnimi czasy przymilkli, onieśmieleni oburzeniem opinii, którzy poszli niejako na dno, ale których w Krakowie, zdaje się, nie uważają za ostatecznie straconych – i nie oszczędzą pewnie wysiłków, by ich wydobyć na powierzchnię. Idzie mi o szersze przyczyny zjawiska, bez których żadne drobne ambicje, żadne interesy podrzędne nie zdołałyby utrzymać przy życiu zdyskredytowanego kierunku.

Uważam za konieczne wskazać na ten głębszy podkład rzeczy, bo inaczej wszelka dyskusja jest niejako grą w chowanego. W tak ważnej jak dzisiejsza chwili, kiedy naród nasz zakłada nową niejako robotą na warsztacie dziejowym, nie można się bawić w komedię, w przemawianie do galerii, ale trzeba się szczerze i otwarcie porozumieć.

Dlatego unikam przymówek, rekryminacji, oskarżeń, do których po takich polemikach, jakich używaliśmy w ostatnich paru latach, miałbym przeciw prawo, unikam drwin, do których tyle jest pola, oraz podkreślania faktów przykrych i drażniących, których nie brak – ale nazywam rzeczy po imieniu o tyle przynajmniej, o ile to jest potrzebne do zrozumienia dzisiejszej sytuacji, dzisiejszych błędów i zadań najbliższego jutra.

W walce kierunku ugodowego z zasadami, które obecnie zwyciężyły, jest coś więcej niż zastarzałe nałogi i przeżytki pojęć, które powinny były już dawno wyjść z obiegu.

Polityka stańczykowska, którą popularnie się pojmuje jako odrzucenie zbrojnych walk o niepodległość oraz pogodzenie się z realnymi warunkami i podjęcie realnych zadań na gruncie przynależności do państw obcych, była czymś więcej jeszcze, a pod niektórymi względami czymś zupełnie innym. Gdyby tym tylko była, nie różniłaby się tak gruntownie od polityki np. czeskiej, niewątpliwej polityki realnej, z którą program demokratyczno-narodowy ma w pojęciu walki politycznej duże pokrewieństwo. Politykę tę znamionował z jednej strony wstręt do walki w jakiegokolwiek postaci, choćby nawet w postaci silnych wyrazów niezadowolenia z postępowania rządu, z drugiej zaś strony – odgradzanie się od szerszych kół społeczeństwa, lekceważenie ich opinii, przeprowadzanie najważniejszych rzeczy po cichu, poufnie, z konspiracją przed ogółem.

Gdy zawsze i wszędzie politykę narodu względem obcych robiono wojną lub przynajmniej pogotowiem wojennym i dyplomacją, walką i kompromisem, gdy rozumiano, że dyplomacją, poza którą nie stoi gotowość bojowa, nic poważnego osiągnąć nie można – polityka stańczykowska odrzucała walkę, nie starała się o organizację szeregów bojowych nawet w postaci zwartej opinii kraju, ale przyjmowała tylko kompromis, tylko dyplomację. Była taką, bo nie była właściwie polityką narodową.

Ze względu na obronę interesów większej posiadłości rolnej nazwano ją polityką szlachecką – dosyć niewłaściwie, bo była to polityka arystokracji.

Demokracja polska przegrała walkę narodową w zaborze rosyjskim – na jej miejsce w austriackim wystąpiła polska arystokracja, opierająca politykę na dyplomacji i odrzucająca walkę.

I chwila i miejsce były do tego odpowiednie. Chwilę znamionował upadek narodowego ducha, miejscem zaś była Galicja, dzielnica z archaicznymi stosunkami społecznymi i archaicznym tonem życia polskiego, w którym, o ile się zjawiały nowe czynniki w dobie porozbiorowej, to były wprowadzone przez... austriacką biurokrację, a zatem nie mogły działać bardzo odświeżająco, natomiast silnie zdeorganizowały to, co przeszłość zostawiła. Na tle tych stosunków, przy braku w kraju silnego ekonomicznie i umysłowo mieszczaństwa, przy skupieniu większej posiadłości rolnej w rękach arystokracji i ciężącej do niej wielkiej szlachty, łatwo było politykę arystokratyczną zaszczerpić i narzucić krajowi. Zrobiono to bardzo umiejętnie, z przezorną rachubą na przyszłość. Arystokracja łożyła na stronnictwo i nadawała mu ton, ale potrzeba jej było teoretyków i ludzi do „postulatów żywotnych”: pepinię¹⁸ ich zrobiono Uniwersytet Krakowski, który umiejętnie opanowano. Pepinię funkcjonuje po dziś dzień – duszy jej wprawdzie zabrakło, ale za to jest więcej zręczności i rutyny w zabiegach, więc ludzie od „postulatów żywotnych” ciągle jeszcze są i, o ile mi się zdaje, mają to przekonanie, że zręcznością i rutyną można trwać bez końca.

Powodzenie tej polityki na gruncie galicyjskim zachęciło odpowiednie żywioły w Królestwie do przeniesienia jej na grunt tamtejszy. Powstała polityka, zwana ugodową, oparta również na arystokracji przede wszystkim i szukająca sobie ludzi do „postulatów żywotnych”. O ostatnich, przy braku własnej pepiniery, było z konieczności bardzo trudno i, o ile się znaleźli w niewielkiej liczbie, przedstawiają gatunek o wiele słabszy od galicyjskiego.

Nie można się dziwić, że taka dążność powstała. Wcale nie jest zbrodnią ze strony arystokracji, że chce kierować sprawami krajowymi – jest to bardzo szlachetna ambicja; nie można również odsądzać jej od wszystkiego za to, że robi politykę tak, jak to leży w jej

¹⁸ Pepinię – ośrodek przygotowujące przyszłe kadry. [redakcja]

usposobieniu; wreszcie nie można się dziwić, że w Królestwie przedstawiciele arystokracji i ludzie do niej ciężący lub od niej zależni, zostali olśnieni powodzeniem i zdolnościami politycznymi stańczyków krakowskich, że ich sobie za mistrzów obrali.

Tu muszę zrobić zastrzeżenie, że mówię o genezie polityki ugodowej w Królestwie. Jej początki petersburskie mają źródło w rusyfikacji moralnej, wnoszą sporo ideologii rosyjskiej. Później te dwa strumyki spłynęły do wspólnego łożyska. Dokoła petersburskiego organu ugodowego zaczęli się gromadzić ludzie od „postulatów żywotnych” i znawcy dróg zakulisowych nad Newą, których w Królestwie zaczęto cenić, w Petersburgu zaś, przy całym liberalizmie tamtejszych inicjatorów ugody zrozumiano, że może ona posiadać siłę tylko przy oparciu się o arystokrację. Zresztą petersburscy ugodowcy uczyli się także niemało od stańczyków krakowskich, dziwnie łącząc wytwory ducha arystokratyzmu polskiego z demokratyczną po rosyjsku ideologią w zakresie wielu zagadnień, jak np. w sprawie ruskiej w Galicji.

Dzięki tej domieszce z petersburskiego źródła, polityka ugodowa w Królestwie w swych koncepcjach i metodach nie była tak stylowo jednolitą, jak stańczykowska w Galicji, przed scedowaniem jej interesów na rzecz młodokonserwatyzmu. Musiała ona wszakże być i była polityką arystokratyczną, unikającą walki, budującą wszystko na dyplomacji, lekceważącą, o ile można, opinię publiczną, konspirującą przeciw niej, uprawiającą zakulisowe zabiegi i intrygi, widzącą dla ludu wcale dobrego opiekuna w policjancie itd.

Ale cóż? Nie rozumiano, czy nie chciano rozumieć, że Królestwo jest zupełnie czym innym niż Galicja, że społeczeństwo jego, pomimo barbarzyńskich warunków politycznych, w jakich się znalazło, jest bez porównania bardziej współczesnym społeczeństwem, niż galicyjskie, bardziej od niego zbliżonym w swej budowie i w sposobie myślenia do społeczeństw zachodnich. Już w osiemnastym stuleciu, między pierwszym a ostatnim rozbiorem, przeszło ono przez wpływy, które pozostały obcymi dla Galicji; następnie, dzięki utworzeniu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, żyło w nowoczesnej państwowości polskiej; wychowuje się od stulecia na kodeksie Napoleona; ma tradycję narodowych powstań, ogarniających kraj cały, w których brały udział właściwie wszystkie warstwy społeczeństwa. Dzięki innemu rozkładowi posiadłości ziemskiej, arystokracja jest tam względnie słaba, a rozwój ekonomiczny wytworzył liczną i niezależną inteligencję miejską, która wespół z ziemiaństwem nadaje ton życiu. Nie mogło przecież być mowy o narzuceniu temu społeczeństwu polityki arystokratycznej. Jeżeli mogła ona w ogóle powstać i trzymać się pozornie przez lat dziesiątek, to tylko dzięki stłumieniu wszelkiego życia przez rząd rosyjski, skutkiem czego mogło się zdawać, iż kraj ten ma równie słabą, jak Galicja, opinię publiczną, że można mu także narzucić, co się tylko podoba. Identyfikowanie pod tym względem Królestwa z Galicją było równie wielkim błędem, jak stawianie Rosji, zwłaszcza przed wojną japońską, na równi z Austrią i stosowanie względem jej rządu takiej samej, jak tam, polityki.

Przedstawiciele polityki ugodowej nieraz mieli sposobność przekonać się, iż są znienawidzeni w szerokich kołach społeczeństwa, że za nimi w kraju idą tylko najbardziej zdemoralizowane żywioły. Ale przykład stańczyków ich uczył, iż można być nienawidzonym i pomimo to rządzić. Nie rozumieli różnicy pomiędzy społeczeństwami tych dwóch dzielnic.

I oto pierwsze osłabienie żelaznej kłapy systemu rosyjskiego, pierwsza chwila, w której społeczeństwo odruchowo się wypowiedziało, zmiotła ich z powierzchni w oka mgnieniu. Nie rozumieli wszakże, za co ich spotkało nieszczęście, ba, nawet wyraźna kara ze strony opinii.

Niektórzy z nich, właśnie należący wyłącznie do arystokracji, zrozumieli, że kompromituje ich zbratanie się z petersburską grupą, której najruchliwszy działacz może się pochwalić, że nikogo w Polsce takim jak jego nie obdarzają wstrętem. Postanowili się wtedy odsunąć i uczynili dobrze. Ale nie zrozumieli wszystkiego. Nie zrozumieli, że trzeba zerwać z wszystkimi tradycjami ugody, a więc wyperswadować sobie politykę arystokratyczną – zarówno jej koncepcje, jak metody. Skutkiem tego, właśnie we wspomnianej sprawie szkolnej, pograżyli się ponownie. Jest obawa; że to doświadczenie im nie wystarczy, że, wierząc ślepo w swych mistrzów krakowskich, spróbują jeszcze nieraz ich naśladować. I w tym tkwi nieszczęście.

Byłoby krzywdą dla narodowej sprawy, gdybyśmy chcieli usuwać arystokrację od pracy narodowej i polityki, jeżeli chce im ona swe siły poświęcać. Przeciwnie, ludzie z tej sfery, ze względu na swe pozycje, majątki, stosunki, ze względu nawet na kulturę, której nasz ogół nie ma za wiele, mogą przedstawiać wielką wartość, zwłaszcza w stosunkach zewnętrznych, ze sferami rządowymi, które są skłonne więcej się z nimi liczyć. Nawet republiki demokratyczne, rządzone przez radykałów, posyłają chętnie ambasadorów spośród arystokracji. Tym bardziej naszej sprawie, w stosunkach z takim rządem, jak rosyjski, przedstawiciele jej olbrzymie mogą oddać usługi. Ale o tyle tylko, o ile są wykonawcami woli ogółu, o ile trzymają się w granicach swych pełnomocnictw, o ile nie są ambasadorami, bawiącymi się w politykę na własną rękę, wbrew planom tych, w których imieniu przemawiają.

Arystokracja nasza wydawała i przypuszczać należy, że będzie wydawała poszczególnych ludzi, zasłużonych narodowej sprawie. Ale jako warstwa nie może ona prowadzić swojej polityki w społeczeństwie nowoczesnym, jakim pomimo wszystko jest społeczeństwo Królestwa. Nie może ona prowadzić polityki dobrej, zgodnej z interesem narodu, choćby nawet była tym samym, czym jest arystokracja krajów, na zachód od nas leżących, gdyby jej tytuły posiadały tę samą co tam treść historyczną, gdyby zawierały tradycję prawowitej władzy i złączonej z nią odpowiedzialności z czasów feudalnych, następnie tradycję wiernej służby narodowo-państwowej, gdyby nie miała tradycji polskiego możnowładztwa, tradycji wpływów i korzyści, zdobywanych zabiegami, intrygami, kaptowaniem „braci-szlachty”...

Polityka ugodowa temu właśnie, że jest arystokratyczną, zawdzięcza prawie wszystkie swoje wady. Mówię – wady, bo zbrodnię, zaprzaństwo narodowe wnieśli do niej ludzie bądź nieuczciwi, bądź wynarodowieni. I jej arystokratyzm pozwala na taką walkę z własnym społeczeństwem. Bo w podstawie jej leży lekceważenie opinii, pogarda dla ogółu narodowego, dla jego myśli i uczuć, uważanie sobie za nic narodowej woli.

I za to jest przez opinię karana. Społeczeństwo, które ma poczucie swego „ja” zbiorowego, spójne, myślące, zdolne do wyrażania swej woli, nie pozwoli, by mu narzucano bezkarnie rzeczy wstrętne, by mu burzono jego własną pracę i kompromitowano je na zewnątrz. Kto tego nie może zrozumieć od razu, zrozumie po szeregu przykrych doświadczeń.

Czyż nie lepiej oszczędzić tych doświadczeń i sobie, i krajowi?

VII. Walka polityczna narodu

Jeszcze wczoraj nasze położenie narodowe było tak straszne, że ludzie słabsi duchem woleli nie myśleć o nim wcale, bo nie czuli w sobie dość energii i hartu, aby prawdzie w oczy spojrzeć. Dziś otworzyły nam się widoki poprawy, widzimy coś w rodzaju drogi do niej, ale nie możemy na chwilę nawet zapominać, że wielką siłę musimy z siebie wydobyć, aby się po tej drodze posuwać.

Najpotężniejsze, jedyne zdolne dziś do zaczepnej polityki państwo kontynentu europejskiego, Niemcy, są naszym nieprzejednanym wrogiem. Stoimy im na drodze w ten sposób, że nie ma między nami i nimi kompromisu. Starają się one niszczyć nas nie tylko bezpośrednio w swym zaborze, ale pośrednio i w dwóch pozostałych. Musimy walczyć z ich przemocą w państwie niemieckim, a z ich wrogim wpływem w Austrii i Rosji. To sprawa niełatwa i nie tak prosta, jak to się zdaje wielu w nieskomplikowany sposób myślącym politykom, którzy sądzą, iż na to dosyć jest krzyknąć: „niech żyje Rosja!”.

Nas nikt przeciw Niemcom bronić nie będzie. Co do Austrii, co do możliwości odegrania przez nią jakiejś dodatniej roli w polityce zewnętrznej, nikt nie ma, zdaje się, złudzeń. Dobrze, jeżeli przez czas dłuższy sama się uchroni od stania się niemieckim protektoratem. Co zaś do Rosji, to ta, choćby się pozbyła przyrodzonego łakomstwa w stosunku do nas i chciała się naprawdę kierować w polityce sentymentami słowiańskimi, o które zaledwie jest posądzana, choćby wreszcie widziała swój bezpośredni interes we wzmacnianiu nas przeciw Niemcom – nie jest wcale i długo nie będzie w tym położeniu, żeby się mogła zbytnio w antyniemieckiej polityce awanturować. Jeszcze nie wiemy, ile ją będą kosztowały przekształcenia wewnętrzne oraz czego potrzeba do przywrócenia porządku w armii i do odbudowania floty. Musi ona mniej lub więcej liczyć się z Niemcami, a nawet prawdopodobne jest, że wybierze drogę ścisłego z nimi sojuszu. Gdy trzeba będzie, co więcej jest niż prawdopodobne, zapłacić za tę przyjaźń tamowaniem na wszelki sposób rozwoju polskości, to rządowi rosyjskiemu, o ile nie napotka z naszej strony przeszkód, poświęcenie to przyjdzie łatwo.

W tych warunkach mniej niż we wszelkich innych, może być mowy o skuteczności zjednywania sobie Rosji, przejednywania jej rządu i wyjednywania łask: trzeba będzie wszystko ogromnym wysiłkiem wywalczać, bo walka, prowadzona z rządem rosyjskim, będzie pośrednio walką z Niemcami, podtrzymującymi jego upór przy systemie antypolskim. Takie położenie jest możliwe równie dobrze przy postępie reform liberalnych w Rosji, jak i przy reakcji.

Gdybyśmy przynajmniej w tym trudnym i skomplikowanym położeniu mieli świadomość, że jesteśmy bezwzględni panami u siebie, że w walce o polskość Królestwa spośród mieszkańców samego kraju nie zjawi się przeszkoda! Ale już widzimy, że tak nie jest: już Żydzi podają petycje o utrzymanie języka rosyjskiego w szkołach i nie poprzestaną niezawodnie na tych pierwszych wrogich objawach.

Jaki mamy sposób w tych warunkach do walki z potężnymi wrogami, do wywierania nacisku na rząd, do onieśmielenia wewnątrz obcych żywiołów, zuchwale występujących przeciw naszym najżywotniejszym, najprawowitszym interesom? Pierwsza rzecz to zszeregować się tak, ażeby wszyscy poczuli, że za żądaniami i dążeniami polskimi stoi cały naród polski, bez względu na różnice społeczne. Czy jest możliwość tego?

Panowie tu w Galicji powiadacie: nie! Przyzwyczailiście się do polityki, w której pierwszym i ostatnim przykazaniem jest solidarność partyjna. Rzeczywiście, tu ma się wrażenie, że klasa społeczna, że oparte na niej stronnictwo – to rzeczywistość, naród zaś – to fikcja. I dlatego tak łatwo płaci się szkodą narodową za korzyść partyjną, jak choćby przy niedawnym rozporządzeniu wiceprezydenturą Krakowa.

Ale tam, po tamtej stronie kordonu, jest trochę inaczej. Tam możliwe jest stronnictwo, w którym równie dobrze rej wodzą ziemianie, jak inteligencja miejska, które się opiera na ludzie wiejskim, organizuje masowo robotników, w którym nawet przedstawiciele arystokracji można spotkać. Mogą panowie powiedzieć, że to jest nieprawidłowe, że sprzeciwia się waszemu pojęciu polityki: na to jest argument, że to stronnictwo pobiło ugodowców, a w ich osobach i was, jako ich sprzymierzeńców i adwokatów. Nie będziecie zaś chyba, jak ów austriacki oficer, który nazwał Napoleona bardzo lichym generałem, a kiedy mu zwrócono uwagę, że ten jednak Austriaków pobił, odrzekł: „Tak, ale wbrew wszelkim prawidłom nauki wojskowej!”

Wszystko pochodzi stąd, iż ludzie, aspirujący do kierowania polityką kraju, nie mogą zrozumieć, że społeczeństwo nasze, przy wszystkich swoich słabych stronach, ma jeden olbrzymi kapitał, który, właściwie użyty, może dać nieobliczalne narodowe zyski. Tym kapitałem jest idea narodowa.

Uświadomić instynkty narodowe, oprzeć na nich wyraźną ideę polską, uchronić ją od zboczeń, nad których wytworzeniem tyle, niestety, pracowano – oto pierwsze zadanie polityka, pragnącego donioślejszych rzeczy dla przyszłości kraju dokonać.

W imię idei narodowej ludzie biedni i nieoczekujący żadnych korzyści osobistych przez lat kilkanaście szamotali się w nadludzkich wysiłkach, siejąc pod kopytami niszczycielskiej hordy siew dla przyszłości, aby jutro kraj nie zginął na głód moralny – mając za jedyną nagrodę, ruinę materialną, więzienie, no i... oszczerstwa, i nie płacąc sobie nawet taką satysfakcją, jak historyczny rewolucjonizm i tanie radykalne frazesy. W imię tej idei młodsze pokolenie szlachty zbliżyło się do ludu, aby pomóc mu w pracy i dzielić jego walkę; chłop zaczął się narażać na prześladowania rządu, zbliżył się z zaufaniem do szlachty, a w chwili ogólnego bezrządu nie dał ucha podszeptom wicherzycielskim. W imię tej idei pracownicy kolejowi wszystkich poziomów i stanowisk złączyli się w czynie, nie zważając, że się niektórzy narażają na utratę chleba dla sprawy żadnych korzyści osobistych nieobiecującej; dla niej robotnik zaczął się wystawiać na śmierć od noża towarzysza-socjalisty. W imię jej rodzice poświęcili swój spokój i karierę swoich dzieci, a ludzie na wydatnych stanowiskach narazili się na szykany rządu, podpisując znany

powszechnie protest. Na gruncie pracy dla narodowej przyszłości oraz walki o narodowe prawa i interesy, zeszyły się wszystkie bez wyjątku warstwy polskiego społeczeństwa w Królestwie.

Zdawałoby się, że ten potężny ruch w kierunku zespolenia moralnego narodu, skupienia się, wystąpienia zwartym frontem, zarówno przeciw wewnętrznej anarchii i zuchwałym zamachom na nasz byt społeczny, jak zewnętrznemu uciskowi, tamującemu nasz rozwój narodowy – powinien pociągnąć ku sobie wszystkich, którzy się za Polaków uważają. A przynajmniej w każdym, nawet w obcym powinien budzić szacunek. Tak, w obcym, ale nie w pewnym gatunku ludzi u nas, którzy uważają, że prawdziwy mąż stanu drwić sobie powinien z drgnień narodowej duszy... To jest właśnie osad szkoły krakowskiej w mózgach ludzkich po tej i tamtej stronie kordonu.

Jedni lekceważą społeczeństwo i jego opinię, uważając, że im to jako wielkim panom przystoi, inni – bo czują wielkich panów za sobą. Ci zawsze idą o wiele dalej, dochodząc czasami wprost do cynizmu...

Mam swoje zdanie o bezpośredniej szkodliwości polityki dawnych stańczyków, muszę wszakże przyznać, iż zawsze zwalczali jedne i te same rzeczy, w imię jednych zawsze zasad, z jednym zawsze celem na widoku. Od czasu wszakże, jak reguły taktyki dla ugodowców Królestwa i konserwatystów krakowskich zaczęto ustanawiać w petersburskim *Kraju*, zaczęło się zwalczanie wszystkiego, co nie swoje, wszelkiej inicjatywy politycznej, rodzącej się poza obozem ugodowym, z wszelkich, najsprzeczniejszych nawet punktów widzenia; dla celu – bo ja wiem – poza ratowaniem swego partyjnego interesu nie mogłem żadnego innego celu dopatrzeć. I nie widzę go dzisiaj w tych zjawiających się po wszystkim, co zaszło, próbach mówienia o stronnictwie ugodowym, jako o organizacji poważnej, mającej wszystkie legitymacje w porządku.

Wchodzimy w okres narodowego życia, kiedy na najważniejszym naszym terenie, w Królestwie, występuje do pracy i walki politycznej organizujący się w zwarte szeregi naród we wszystkich swoich warstwach.

Tak, proszę panów, naród, bo tego nie można uważać za robotę stronnictwa. Stronnictwo, które nazywacie „wszechpolskim”, tylko przygotowało wypowiedzenie się opinii narodowej, przyspieszyło swą pracą jej konsolidację, nawiązywało w praktyce węzły łączności między poszczególnymi warstwami, wypróbowało metody działania, formułowało dojrzałe do tego dążenia, wreszcie dawało organizację, gdzie jej było potrzeba. Wątpię, czy może ono o sobie powiedzieć, że było zwrotniczym, wprowadzającym myśl narodową na dane tory, jak to chętnie stańczycy o sobie mówią. Myśl narodowa po tych torach prędzej czy później iść by musiała – myśmy jej tylko oszczędzili pewnych niepotrzebnych a krótkotrwałych może zbroczeń.

Otóż właśnie w chwili, kiedy ta polityka narodowa ustala się, na boku staje grupka ludzi, którzy pytani i nie pytani, wewnątrz i na zewnątrz powtarzają, że się na nią godzą. Dlaczego? Bo oni chcieli inaczej, bo są obrażeni na społeczeństwo, że ich nie posłuchało

i nawet odniosło się do nich surowo, bo ich gustom odpowiada polityka zabiegów u rządu bez względu na ich skutki, bo uważają, że szersze koła narodu do polityki brać się nie powinny, ale pozostawić ją im, którzy sobie sami mandaty wzięli, bo prawdziwa polityka ich zdaniem jest taka, którą się niezależnie od opinii i nawet wbrew niej prowadzi...

Czyż tak musi być koniecznie?

Stańczycy zarzucali swego czasu narodowi, że się nie chce pogodzić z rzeczywistością, wytworzoną przez obce rządy. Ja sobie pozwolę zarzucić dzisiejszym ugodowcom, że się nie chcą pogodzić z rzeczywistością, wytworzoną przez własny naród. Mają zaś obowiązek to zrobić ze względu na sprawę publiczną i na samych siebie.

Pogodzenie się zaś z tą rzeczywistością oznacza zlikwidowanie całej dotychczasowej polityki i zajęcie stanowiska lojalnego względem własnego narodu, względem jego interesów, jego godności, względem opinii publicznej; zaniechanie praktyk zakulisowych i wycieczek przeciw przyjętym ogólnie zasadom politycznego działania – co stanowi tylko poniżające nas jako naród widowisko dla obcych, zachętę do lekceważenia nas i naszych interesów.

To postępowanie narobiło już wiele szkody: ugodowcy wraz z socjalistami tak rozluźnili pojęcia o narodowej moralności, że dziś, gdy opinia się organizuje, trzeba będzie chyba skodyfikować na piśmie jej zasady dla ludzi, którzy ulegli temu rozkładowemu wpływowi. Czas już, żeby to szkodnictwo się skończyło.

A jeżeli się nie skończy?

To trudno. Wszyscy będziemy musieli ponieść jego konsekwencje. Organizm społeczny, który pomimo wszystko dał jednak sporo dowodów zdrowia, znajdzie środki przeciw czynnikom szkodliwym. Będzie go to kosztowało, ale trzeba się będzie na nie zdobyć. Opinia raz przebudzona nie pozwoli już na taką jak dotychczas anarchię moralną w sprawach narodowych. Są też ludzie – sam do nich należę – którzy będą się starali wskazywać jej właściwe po temu środki.

Na tym szczerym wyznaniu kończę. Jeżeli mój głos pozostanie głosem wołającego na puszczy, tym gorzej dla naszej publicznej sprawy. Pozostanie mi przynajmniej poczucie spełnionego obowiązku.

*Dixi et salvavi animam meam*¹⁹.

¹⁹ (łac.) „Ostrzegałem i uspokoiłem swoje sumienie”. Parafraza z Wulgaty. [redakcja]